ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **13.**

Druk ukończono d. 1 Sierpnia 1895 r.

ZAMKI NA LODZIE.

Otóż, przeczekawszy, aż przejdzie huragan słusznego oburzenia, wywołanego niewczesnym konceptem strindbergowskim; przeczekawszy, aż zamknięty zostanie kwestyonaryusz obrony godności niewieściéj, szlachetnie przez szanowne reprezentantki naszego ruchu kobiécego podjętéj, a nie czując się na siłach stanąć w ich rzędzie, przytoczę choć pobieżnie rozprawkę poniższą, zdradzającą zbyt jasno usposobienie młodego pokolenia dziewcząt, ich aspiracye, jak się zapatrują na równouprawnienie kobiéty, czego się od niego spodziéwają, o czém marzą.

* * *

Do pokoju profesorowéj wbiegła młoda jéj synowica z radosnym uśmiechem na karminowych ustach i promiennym wyrazem w modrych oczach.

— Ciociu — ozwała się Zosia z dziwnym akcentem w głosie — czy ciocia wié, jadę na uniwersytet? Poczciwa matuchna zdołała nareszcie złamać upór ojca i wymódz na nim pozwolenie; tym sposobem, ciociu, za kilka tygodni wyjeżdżam napewno do Genewy, albo do Paryża, z którego to powodu czuję się nad wyraz szczęśliwa! Ach, ciotko — dodała z entuzyazmem — jakżem szczęśliwa, — i lica młodéj adeptki, jaśniejące nadzieją wyrwania się na świat ów ponętny, pełen rozkosznych tajemnic, otaczała świetlana jakaś aureola... wiary, czy szczęścia?

Zofia, córka zamożnego obywatela ziemskiego, okazywała od lat najmłodszych niepospolite zdolności; wychowywała się na wsi, rozwojem zaś i kształceniem jéj umysłu zajmowała się gorliwie biegła i światła nauczycielka pod czujném okiem ciotki Zofii, wdowy po profesorze matematyki, kobiéty bardzo energicznéj, inteligentnéj i wszechstronnie wykształconéj. Skoro dziewczę skończyło lat szesnaście, wyprawiono je z inicyatywy profesorowéj do miasta, do wyższego zakładu naukowego, gdzie, przebywszy rok, otrzymała chlubny patent dojrzałości, z którym téż rychło pośpieszyła do domu. Tu kształciła się systematycznie w dalszym ciągu, wchłaniając w siebie wyborowe dzieła z biblioteki profesorowéj, czytając najprzedniejsze pisma peryodyczne i chciwie śledząc wszelkie objawy i artykuły publicystów współczesnych. Wkrótce atoli spostrzegła, że duchowa strawa powyższa jéj nie wystarcza, zaś atmosfera czterech ścian różowego pokoiku stała się stanowczo dla niéj za duszna; a że newroza XIX w., oraz gorący, niespokojny temperament, stanowiły charakterystyczną jéj właściwość, oddała się tedy myśli téj całą istotą, przyczém naturalnie marzyć zaczęła o zaszczytach, sławie, wysokiéj karyerze. I oto naraz wpada jéj w ręce artykuł Strindberga „Niższość kobiéca". — „Jakto, — woła z obrażoną dumą niewieścią — kobiéta jest fizycznie i umysłowo niższą od mężczyzny! Czy to być może? czy to dowiedzione?"

Rozegzaltowała się do tego stopnia, iż, owionięta nagłą żądzą wywyższenia się, uderzyła z prośbą do ojca, iżby jéj pozwolił udać się na uniwersytet.

Ale szanowny rodzic, zaśniedziały konserwatysta, wyśmiawszy młodego wojownika, odmówił. „Ani babka, ani matka twoja do uniwersytetów nie zaglądały, to i ty siedź w domu" — brzmiała obojętna odpowiedź jego. Wówczas dziewczyna, nie zrażona bynajmniéj stanowczą opozycyą ojca, zwróciła się do matki i obie jakoś, wspólnemi siłami natarłszy na poczciwego szlagona, wymogły aprobatę.

Zofia, zachwycona i upojona, wnet z nowiną do profesorowéj pobiegła; ta nie była tak konserwatywna, jak brat; wprawdzie patrzała nieraz krzywém okiem na wyłamywanie się młodych dziewcząt z pod opieki rodzicielskiéj, ale bądź co bądź zgodziła się z emancypacyą, zwłaszcza protegowała dążenie kobiéty do równouprawnienia, uważając je za naturalny i konieczny wynik ewolucyi społecznéj, a z żadném prawem natury w sprzeczności nie pozostający. „Kobiéta ma także prawo do bytu — powtarzała niejednokrotnie — ona także żyć musi."

— Na uniwersytet, ty, Zosiu? — zapytała ciotka — no, no, proszę...

— Tak, ciotko, ja. Przeciem nie gorsza od innych, głowy też ciasnéj nie mam i... kto wié... kto wié... ach, ciociu, chcę być wielką, bardzo wielką! Nie chcę, aby mię do niższych policzono istot, jak to obecnie czynią publicyści, a przytém brak mi nauki i wiedzy!

— Więc tylko dlatego, aby się wywyższyć, chcesz udać się na uniwersytet? Boć na chléb, chwała Bogu, pracować nie potrzebujesz, jak również nie masz chyba zamiaru zostać studentką, dla któréj cygaro w ustach i ostrzyżone włosy są ostatnim wyrazem emancypacyi. Jeśli zaś pragniesz się wywyższyć, możesz i tu dosięgnąć celu, działając dla dobra ogółu, témbardziéj, iż środków ci nie brak.

— Ale ciocia zapomina, że mi o coś więcéj chodzi, pragnę dyplomu. Ciotko, zostać doktorem, adwokatem, czy głośnym profesorem — stało się teraz jedyném mojém marzeniem. Toż statystyka wszechświatowa stwierdza, że kobiéty najdalszych zakątków ziemi oddają się już wyższym studyom: Japonki, Chinki, Indyanki, Murzynki nawet starają się okryć dzikie swe imiona sławą i rozgłosem, gdy ja pleśnieję w domu bezczynnie. Czyż jestem tak nieudolną? Czyż od nich niżéj stoję?

Profesorową jeden tylko wyraz uderzył.

— Doktorem chcesz zostać?—podchwyciła skwapliwie — doktorem? o, to dobrze. W siłę i naukę uzbrojona, wrócisz za lat parę, Zofio, do wsi naszéj, by stać się może opatrznością prostaczków; bogata w wiedzę lekarską, lecz nadewszystko pewna siebie, będziesz mogła śmiało wówczas wystąpić do walki z potępianém powszechnie znachorstwem, będącém niemałą naszego ludu plagą. Cieszy mnie, dziecko, twój pomysł i dodam, iż chyba wybranką być musisz do szczytnego owego posłannictwa. Wprawdzie walka z czarodziejami i owczarzami będzie dość ciężka, albowiem przesąd i wiara w czary w wysokim stopniu są rozwinięte u kmiotka, wszelako energia, głównie zaś słuszna pewność siebie wszystkiego dokazać mogą. Wiem, że dobre z ciebie dziecko i że, uprzytomniwszy sobie niektóre wypadki, zdarzające się wskutek zgubnego leczenia znachorów, nie zawahasz się stanąć w obronie ciemnych i maluczkich. — Tylko na nas, Zofio, spoczywa obowiązek tępienia owych szkodników ciemnych mas ludności, wierzącéj ślepo i fanatycznie niemal w zaklęcia i uroki; tylko my powinniśmy oświecać prostaczków. W porę i umiejętnie zastosowane lekarstwo potrafi zawsze zaimponować i, rzecz prosta, skoro uczone i wykwalifikowane lekarki zdołają rozbudzić w biédakach zaufanie do siebie, ci, miasto w nagłych wypadkach, czy w czasie jakiéjś epidemii, zwracać się do znachorów, garnąć się zaczną do lekarek prawdziwych. Jesteś zamożną, Zofio, i nie masz potrzeby walczyć o byt, możesz więc

pozwolić sobie na podobny zbytek, a kto wié, może niejednego uda ci się uchronić od kaléctwa, albo i od śmierci. — W takim razie, jedź Zosiu na uniwersytet, pracuj dla społeczeństwa i niechaj Bóg zamiary twoje pomyślnym uwieńczy skutkiem.

Szlachetna niewiasta z uwielbieniem patrzała na synowicę; podniecona własnemi nadziejami uśmiéchnęła się na myśl, iż jéj krewniaczka tyle kiedyś dobrego, tak doniosłe spełni posłannictwo. Chciała przyciągnąć Zofię, aby ją uściskać, lecz młoda aspirantka do dyplomu, mnąc niecierpliwie koniec błękitnego fartuszka, wysunęła się lekko z objęć ciotki. W modrych oczach dwudziestoletniéj dziewczyny płonął przykry zawód, czy gniéw; czuć było, iż jest mocno rozdrażniona, gdyż cofając się o krok w tył, przemówiła z pewną goryczą:

— Że téż ciotka właśnie teraz wystąpić musiała z tą swoją perorą! Jakto, więc, zdaniem ciotki, ja powinnam opuścić dom rodzicielski, pracować kilka lat na obczyźnie, wreszcie dobić się sławy na to jedynie, aby potém osiąść na wsi i na nic się zmarnować? Piękna karyera, nie ma co mówić! I to ciotka mi radzi, mnie, swojéj kochanéj Zosi... rzeczywiście, ciocia mnie bardzo kocha, o czém teraz dopiéro się przekonałam... Przytém, dlaczego właściwie mnie spotkać ma owo szczytne posłannictwo szlachetnéj siostry miłosierdzia? Tyle wszak jest wypraktykowanych i doświadczeńszych doktorek, niechaj więc staną do apelu i niechaj działają w myśl filantropii, lecząc wieśniaków... Moja ciociu — dodała nieco łagodniéj — czyliż koniecznie muszę zostać doktorem? bardzo być może, iż poświęcę się prawu, a wówczas, ciotko droga, nie trudno mi będzie zostać sędzią, mecenasem, ach, nawet ministrem, podobnie, jak kobiéty w Ameryce i Anglii!

Profesorowa zmarszczyła brwi; widocznie chciała skarcić dziewczynę za tylko co wygłoszone teorye, ale uczucie niemal macierzyńskie dla krewniaczki wzięło w niéj górę, dlatego przyciągnąwszy słoneczną jéj główkę ku sobie, szepnęła pieszczotliwie:

— At, pleciesz niedorzeczności tylko, boś jeszcze młoda i źle, widzę, pojmujesz nowe prądy. Przeczytałaś kilka artykułów o emancypacyi i zdaje ci się, iż szlachetna idea równouprawnienia kobiéty z mężczyzną do sławy i zaszczytów tylko wiedzie. Tak jednak nie jest — kobiéta XIX-go wieku zniewolona różnemi okolicznościami żyć o sile własnéj i szukać pracy, a widząc zbyt ciasne szranki dla swéj działalności, stanąć musiała w obronie praw osobistych, przyczém wyższe umysły niewieście wystąpiły z pretensyami, któremi bądź co bądź pragnęły wywalczyć kobiécie — byt, co znaczy jakie takie stanowisko na polu pracy ogólnéj. Tymczasem zaszła omyłka; rozpalona

emancypantka, uniesiona zbytniemi nadziejami, źle oceniła doniosłą dążność wysokiéj propagandy: wiedziona wrodzoną próżnością, sięgnęła po jakieś urzędy, godności, zaszczyty; nabiła sobie głowę fałszywemi zasadami, jakiemi rzekomo mogłaby dojść do upragnionego celu, a lubo jestem moralnie przekonaną, że wszelkie szalone jéj marzenia o sławie i karyerze na zawsze himerą i mrzonką pozostaną, ona jednak coraz wyżéj sięga. Prócz tego przyznać, niestety, musimy, że w jakiekolwiek by kształty kobiéta chciała przystroić wygórowane swe wymagania, czy to w kształty praw osobistych, — wywalczenia sobie bytu, — chęci służenia krajowi... z pod każdej formy powyższéj wynurza się jasno wysoka ambicya i żądza błyszczenia... nawet na arenie urzędów publicznych.

Ruch kobiécy jest bardzo pięknym objawem cywilizacyi współczesnéj, ale stać winien w zgodzie z charekterem ustroju społecznego... kobiéta może oddać hołd nauce i wyższéj wiedzy; może uszanować konieczność pracy samodzielnéj; powinna otrząsnąć się z puchu marnego i silnym stać się człowiekiem, naprzekór takim panom Strindbergom; lecz pod żadnym pozorem nie wolno jéj zostawiać w cieniu zalet indywidualnych, cnót, cechujących niewiastę na całym świecie; zaś, miasto prym oddawać ambitnym złudzeniom i nigdy niedoścignionym nadziejom, powinna mimo uczoności i dyplomu, pozostać kobiétą, pomna na to, iż tkliwość serca jest najlepszą w jéj ręku bronią.

— Niedoścignionym nigdy nadziejom!—wtrąciła nagle Zofia dość gwałtownie. — Doprawdy, ciekawa jestem, dlaczego ciocia wszystko w tak ciemném widzi świetle? Przecież Amerykanki i niejedna emancypantka europejska zamieniają wszelkie mrzonki w rzeczywistość: *mistress* Belva Lockwood np. zajmuje katedrę prawa w Waszyngtonie, przyczém nie przestaje i dziś namiętnie walczyć o prawa polityczne kobiéty. Dwa razy już spoczywało nazwisko jéj w urnie wyborczéj pośród nazwisk kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a lubo sama oświadczyła, iż nie pragnie bynajmniéj zostać prezydentem, wszelako dowiodła silnéj połowie rodu ludzkiego, że nie ma absolutnie żadnego stanowiska, po któreby kobiéta sięgnąć nie mogła. Albo panna Sarmisa Bilcesco... cóż to za dzielna dziewczyna! Już w 24 wiośnie życia wywalczyła sobie prawo stawania przed kratkami sądowemi w roli adwokata w Rumunii. Panna Lydya Poët, kandydatka prawa w Turynie, czy nie okryła się sławą i czy nie ma nadziei uzyskania w przyszłości teki ministeryalnéj?—A więc widzi ciocia, że szalone wymagania emancypantek w rzeczywistości inaczéj jakoś wyglądają; przynajmniéj do mrzonek nie są podobne.

Profesorowa uśmiéchnęła się pobłażliwie:

— A jednak — poczęła poważnie — znowu patrzysz na zwyczajne dążenia do zarobku przez różowe okulary. Więc cóż, że rezolutna Amerykanka, przywdziawszy biret prawnika, stanęła w rzędzie kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych? czy któréj z emancypantek ofiarowano za to krzesło na kongresie, lub tekę ministeryalną? Że zaś dzielna Rumunka osłoniła swą piękną postać togą uczonego, inna dobiła się prawa na mocy dyplomu, — dowodzi to poprostu, że kobiéta walczy o stanowisko i pracę, co, wobec wzrastającéj konkurencyi stanowi fakt całkiem naturalny — jestto środek do życia tak samo dobry, jak igła, nie zaś dążność do sławy i zaszczytów.

— Przypuśćmy — wtrąciła żywo Zofia — że ciocia ma słuszność... dyplom do sławy nie wiedzie, imienia chwałą nie okrywa, ale temu chyba ciotka nie zaprzeczy, że świadectwo uniwersyteckie do wielkiéj, do wysokiéj prowadzi karyery. Cóżbym tedy robiła na wsi, pośród chłopów ja, z moim dyplomem doktorskim, z chęcią wywalczenia sobie czémprędzéj rozgłosu! Pragnę wznieść się po nad tłumy, zająć miejsce w szeregu apostołek sprawiedliwéj idei, broniąc także słusznych praw kobiéty! Pragnę dowieść wszystkim Strindbergom, że kobiéta nie jest istotą niższą, a ciotka radzi mi, abym była najlepszą, ba, nawet świętą; abym chorych chłopów léczyła, zajęła się ich dolegliwościami, ale o sobie, o przyszłéj karyerze nie pomyślała!

Młoda dziewczyna rozprawiałaby Bóg wié, jak długo jeszcze na temat powyższy, ale surowe spojrzenie profesorowéj ostudziło nieco jéj zapał krasomówczy.

— Zofio — rzekła poważnie, przyczém głos jéj brzmiał ostro i sucho — przestań i nie mów nic więcéj, gdyż jawne przyznanie się do podobnie egoistycznych zasad sprawia mi wiele przykrości. Jakto, więc ty, córka zamożnego ojca, wychowana przez dobrą i bogobojną matkę, kształcona i kochana, już nie jesteś w stanie rozetlić w twém sercu choćby iskry współczucia i dobroci? — A jednak takeś się unosiła nad główną bohatérką „Emancypantek” Prusa, ową szlachetną Madzią, tak wysoko ceniłaś charakter jéj prawy i samodzielny, że byłam pewna, iż przyswoiłaś sobie zasady téj emancypantki. Tymczasem, nietylko, iż nie rozwijasz w sobie owych prawdziwych zalet niewieścich, lecz starasz się natomiast przytłumić je, pomimo, iż je wpajano wszak w ciebie od lat najmłodszych i pomimo, iż przygotowywałaś się na przyszłą obywatelkę kraju.

Wprawdzie wiem, że usposobienie twoje dzisiejsze jest sztuczne, wywołane zapewne świéżo przez cię przeczytanym artykułem Strindberga, który zdołał rozbudzić w twéj wyobraźni nieprzepartą żądzę wywyższenia się, niemniéj jednak wstydzę się za ciebie, przed taką zaś

dobrą, uczynną i tkliwą na dolę bliźniego Madzią schylam czoło z uszanowaniem.

Prócz tego jeszcze dodać chcę jedno: nasze gremialne oburzenie na zgorzkniałego tetryka za niepochlébne o nas zdanie, wołanie w niebogłosy, że Strindberg jest stronny, energiczna obrona, wreszcie potężne projekty takich jak ty, młodych panien,—nie są bynajmniéj dowodem niesłuszności przeciwnika. Mojém zdaniem należałoby inaczéj się bronić.

Kobiéta, uczyniwszy już znaczny wyłom w uświęconym wiekami ustroju społecznym i uzyskawszy wstęp do wszechnic wiedzy — powinna czémś zaimponować panom świata. Miasto tonąć w falach życia, miasto chować zdobyty dyplom na najgłębsze dno szuflady, niechaj każda (przynajmniéj zamożniejsza) z młodych adeptek osiądzie w charakterze doktorki, prawniczki—istotnie pośród wieśniaków, gdzie, spożytkowując swe wiadomości specyalne, rozumną swą działalnością ochroniłaby wielu prostaczków od biédy i choroby.

Tym sposobem, przestając marzyć o tekach ministeryalnych i innych podobnych zaszczytach, nietylko pracowałaby dla dobra ogółu, lecz, co główniejsza, nikt nie nazwałby — jak to świéżo uczynił prof. Rydigier w Krakowie — ruchu kobiécego „nonsensem". Działalność nowych pionierek niezawodnie wywołałaby konkurencyę ze strony mężczyzn fachowych; kobiéta więc miałaby podwójną za to zasługę: najprzód, że pierwsza roznieciła iskrę światła wśród ciemnych mas; następnie, że społeczeństwo zyskałoby téż wiele na nowéj walce, albowiem, gdzie dwóch się kłóci, trzeci zwykle zyska — dodała z uśmiéchém, patrząc badawczo w oczy dziewczęcia.

Atoli młodociana córa XIX-go wieku zacięła się dziś w roli oponentki; dowodzenia profesorowéj żadnego nie wywarły na niéj wpływu, przeciwnie, modre oczy błyskały siłą i stanowczością, całe zaś oblicze *fin-de-siècle*-istki zdradzało nieubłagany pesymizm i materyalizm naszych czasów. Zmarszczyła brwi i rozchyliła koralowe usta, nie rzekłszy jednak ani słowa, wybiegła z pokoju. Nie ucałowała ręki ciotki, jak to czyniła zazwyczaj, jeno, skinąwszy jéj zlekka głową, mruknęła „do widzenia" i pofrunęła.

Profesorowa długo wzrokiem śledziła błękitny fartuszek przyszłego ministra; pogrążona w głębokiéj zadumie, zastanawiała się nad usposobieniem moralném teraźniejszéj generacyi. Każde z młodzieży, nie poczuwając się do najmniejszego względem społeczeństwa obowiązku, oczekuje od niego bardzo wiele... Zofia wymaga wiedzy i nauki, karyery, sławy nawet, lecz w zamian za wszelkie one faworyzowania sama nie chce dać nic, absolutnie nic...

— Przytém—szepnęła półgłosem profesorowa do siebie—jakiż to smutny objaw, że młode dziewczęta, pragnące poświęcić się studyom, takim urokiem otaczają ów dyplom uniwersytecki, nie mający nic wspólnego z geniuszem i sławą. Gdyby jednak uprzedzano każdą z aspirantek, że czeka ją niezawodne rozczarowanie, tém przykrzejsze, im wyższych rojenia jéj sięgają krain, wiedziałaby wówczas, iż, jeśli będzie wytrwałą i pracowitą, znajdzie w przyszłości tylko—sposób do życia; inna znów, jeśli zamożna, uzyska świadectwo dojrzałości i nic... więcéj...

Wszakże miejmy nadzieję, może potężna cywilizacya, ów prąd drgający żywém, gorącém tętnem, kiedyś dopełni aktu sprawiedliwości i taki uczyni wyłom w odwiecznéj rutynie przesądów społeczeństw, iż nawet niższa połowa rodu ludzkiego znajdzie na ogólném polu działalności dla siebie... równą połowę miejsca! Istoty skrzywdzone i wydziedziczone, ale nie niższe... czekajcie!

Helena Ros...



ALFRED DE VIGNY.

ELOA

albo

SIOSTRA ANIOŁÓW [1].

Doktorowi Józefowi Buszyńskiemu w dowód wdzięczności i szacunku poświęca
Tłomacz.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Narodziny.

1.

Wonczas, gdy dla zbawienia ziemian na świat schodził
Pojednawca,—na ziemi Anioł się urodził.
Z orszakiem, jak On, nędznym, co, jak On, wygnany,
Jezus właśnie opuścił Betanii ściany,

---

[1]) W r. 1892 pomieściło „Ateneum“ (t. III) artykuł p. Ignacego Matuszewskiego o stosunku Eloi Słowackiego, do Eloi Alfreda de Vigny; obecnie podaje sam przekład poematu francuskiego.

I, uchodząc przez błonia, kroków nie przyśpieszał:
Przystając, by się modlił, nauczał, pocieszał;
Tu, siadłszy na pól miedzy, za symbol brał rolę,
Lub o mężu z Samaryi głosił parabolę,
O pastérzu niedbałym ku owcom zbłąkanym,
O potwarcy podobnym grobom pobielanym;
Dalej, podbój pokoju szerząc coraz bardziéj,
Niewiasty chananejskiéj żądaniem nie gardzi
I nieświadomą dróg swych córę jéj oświéci,
Lub kładzie święte ręce na głowiny dzieci.
Ślepiec przejrzał—i próżno się cud pojąć kusi,
Trędowaty dotyka siebie, słyszą głusi,
I wszyscy go żegnali ze łzami u powiek;
Opuszczając pustynię, gdzie wygnan Bóg-człowiek.
Syn człowieczy, poddany nędzom swego rodu,
Zaczynał od najcięższéj—tułactwa,—i z grodu
Swego uchodzić musiał na edyktu mocy,
Aby się wypełniło, co rzekli prorocy.

2.

Tymczasem wpośród druhów w Judei krainie
Zaszedł skon dotąd przezeń odraczan jedynie:
Nieodwiedzany Łazarz, co mu był tak miły,
Zmarł—albowiem dni jego dokonane były.
Lecz przyjaźń z Bogiem czyliż nie jest samém życiem?
Jezus puścił się w drogę pod nocy przykryciem
W dom, kędy w niebezpieczeństw dniach miéwał gospodę,
A za nim umarłego szły dwie siostry młode.
Były to Marta z Maryą, tą, co za rozlane
Na stopy Pańskie wonie ściągnęła naganę.
Smucono się; napróżno, Mistrz mówił: „Uśpiony“.
On sam nawet, gdy ujrzał śmiertelne zasłony,
Zapłakał. O łzo Boska, przyjaźni święcona,
Tyś nie była na wiatru podmuchy rzucona!
Niewidzialni śmiertelnym, schyleni z pokorą,
W dyamentową urnę cheruby cię biorą
I jak cud, co zdumiéwa nawet niebo—niosą
Pod stopy Przedwiecznego, o promienna roso!
Tam z wiecznie otwartego oka promień łaski
Wstrząsł ów dar niewymowny i wzniecił w nim blaski;

A Duch Święty, moc swoją zléwając obficie,
Tchnął duszę w płyn ów Boski i zbudził w nim życie.
Jak kadzidło, przy blaskach słonecznych płonące,
Zmienia się w płomię czyste, różowe, błyszczące,
Tak ujrzano naówczas, jak się postać biała
Z olśniewającéj urny wzniosła, wybujała
I głos zabrzmiał: „Eloa!“—a na to wołanie
Ukazując się anioł, odrzekł: „Otom Panie!“

3.

W obliczu nieb, w czar strojna, szła ona do Boga,
Niby oblubienica do świątyni proga;
Skroń pogodną i czystą, jak śliczna lilia,
Lazurowa zasłona fałdami owija;
Jak gdyby płowe snopy—złotych włosów zwoje
Topią we mgle powietrznéj miękkie fale swoje,
Tak kometa, błądząca po niebios przestrzeni,
Roztapia w mrokach nocy blask świetnych promieni;
Róża przy blaskach jutrzni jakże bladą zda się
Przy świéżości jéj lica i dziewiczéj krasie;
A księżyc, kiedy puszczom swych blasków użyczy,
Nie dorówna jéj spojrzeń łagodnéj słodyczy.
Skrzydła srébrne; z pod mglistych szat to się wychyli
Nóżka biała—to znowu kryje się po chwili,
A łono falujące, lecz ledwo widoczne,
Wznosi tkanki niebieskiéj zarysy obłoczne.
Bo to niewieścia postać w kształtach cherubina;
Gdyż ten lud duchów, pełna miłości rodzina,
Co w modłach wiecznie czuwa przy nas, huf ochrończy
W świętéj miłości czyste swe istoty łączy.
Ongi anioł Rafael pod drzewy rajskiemi
Tę słodką tajemnicę odkrył dzieciom ziemi.
Lecz z żadnéj z siόstr stworzonych ku radości bratniéj
Nie była radość w niebie, jako z téj ostatniéj.

4.

Huf płomiennych cherubów sześćkroć oskrzydlony,
Czułe serafy—wiernéj miłości patrony —

Cnoty, Książęta, Moce i święte Zapały,
Panowania i Straże, Blasków huf wspaniały,
Sny pobożne z świętemi Pochwały wespoły,
Wszystkie czyste anioły, wielkie archanioły,
Ilu mieszkańców w niebios liczy się krainie,
Wszyscy złotemi skrzydły osłonieni—ninie
Do jéj stóp śnieżnych swoje pochylili czoła;
A dziewice, jéj siostry, związawszy się w koła,
Jako wokół księżyca gwiazd wieczornych krocie,
Pobiegły, by się przyjrzéć téj cudnéj istocie.
U przepasek dziéw harfy złociste—a z dłoni —
Ręką przyrody siane tylko na nieb błoni
I niewidziane nigdy, w żadném ludzkiém lecie —
Hojnie, niby obfity dészcz, sypie się kwiecie.

5.

„Błogi świat—tak śpiéwały niezrównane głosy —
Kędy ku pocieszeniu zawiodą ją losy!
Bo gdzie śród nieszczęśliwych przejdą święte kroki,
Duch pocieszyciel zleje balsamów potoki.
Jaki glob na nią czeka? Jaka wzywa era?
Zrodziż się dla jéj rządów nowych niebios sfera?

6.

W pewien dzień... (I któż nazwać dniem będzie miał śmiałość
Tę wieczystę—bez cofnień i bez zwrotów trwałość?
Toż, wyzywając ludzkich mów niedostateczność,
Przed umysły naszemi osłania się wieczność,
I, gdy jedna z jéj krótkich chwil ma być wskazana,
Musimy w ziemskim czasie szukać dla niéj miana).
W pewien dzień nieśmiertelnéj monarchii mieszkańce
Zeszli się, nieoględni, nieść rady niebiance:
„Eloa, bacz na siebie"—i anioł upada:
Piękniejszy, niźli cała niebianów gromada,
Nie jest z nami, a przecież w blaskach pierwszéj chwały
„Roznosicielem światła" zwał go wszechświat cały;
Bo niósł miłość i życie wszędy, gdzie mu droga;
Gwiazdom roznosił wszystkie rozkazania Boga,

A ziemia, czcząc w nim urok krasy iście Bożéj,
Lucyfera nazwisko dała rannéj zorzy,
Która, jak lśniący brylant, na różowiejące
Czoło—śród złotych włosów złożyło mu słońce.
Dziś—mówią, że dyadem skroni mu nie wieńczy,
Że go dziś nikt nie kocha, że sam jest, że jęczy,
Że ciężar zbrodni oczy znużone przymyka,
Że zapomniał niebieskich swych braci języka;
Że, gdy mówi, jad śmierci ze słów jego zionie,
Czego dotknie—to zwiędnie, na co spojrzy—spłonie
Że nie czuje różnicy dobra od bezprawi,
Że się nawet nie cieszy z klęsk które sam sprawi.
Niebo, gdzie mieszkał, trwoży się na wzmiankę o nim,
My, anioły, ci jego dziejów nie odsłonim,
Żaden nie chce wymówić raz jego imienia".
Sądzono, że Eloa go przeklnie;—złudzenia!
Jéj spokojne oblicze od zgrozy nie blednie
I stąd już miano w niebie trwożną przepowiednię.
Jéj pierwszym ruchem nie był wstręt, który odpycha,
Ale raczéj zbliżenia, pomocy chęć cicha;
Smutek ściął drętwiejące wargi, gdy jéj duszy
Przedstawił się ten obraz bolesnéj katuszy;
Kiedy pochyla czoło—od tych nowych wrażeń
Niewinna skroń kraśnieje, zna już światy marzeń;
Na powiece błyszcząca łezka promienieje.
Szczęśliwy, czyje serce tak pierwsze wyleje!

7.

Anioł miał chwile nudy, z tych, co nam dni mroczą,
I, wśród przepychu dworów, w ślady możnych kroczą.
Lecz—tam, gdzie kipią uczty, gdzie tłumy się roją,
Odnajduje cierpiący duch samotność swoją;
Gwar, jaki czynią króle, gwar ludów chaosu
Nic nie stłumi mu w sercu silniejszego głosu.
Harfy rajskie, stracone waszych cudów moce!
Wozy o oczach żywych, w których czar migoce!
Zbroje Pańskie, przybytku najświętszego stropy,
Zórz pastérzy z rąk Bożych lecące potopy,

Złoto sklepień niebieskich, kadzielnic szafiry,
Zapachy cynamonu, dźwięki nebel-liry [1],
Harmonia waszych szmerów, blaski z woni czarem,
Dla smutnego anioła wyście dziś ciężarem;
Mącą jego marzenia świętych hymnów tony,
Bo nic w nich nie odpowie duszy rozrzewnionéj.
Czy Bóg—zwoławszy duchy chwale swojéj gwoli—
Zdumionym wielkość swoją oglądać pozwoli,
Czy—przez ognisko życia, przez nieb wiodąc kręgi—
Wskaże głębie bez nazwy swéj trójnéj potęgi,
Czy to zechcą przedstawić cherubów drużyny
Sceny z życia Chrystusa lub wybranych czyny,
I każdą nową tajnię powtórzyć im zda się,
Jaka się gdzieś na ziemi pełni w tymże czasie,
Żłób, do którego trójka obcych magów bieży,
Świętą rodzinę w puszczy lub pokłon pasterzy,
Eloa od tych boskich widowisk daleka,
Od rzesz bratnich, od świetnych przybytków ucieka,
Szuka spojrzeniem chmurki, by mogła w jéj cieniu
Przynajmniéj na swobodzie oddać się marzeniu.

8.

Mają noc swą Anioły jako ludzkie noce.
Jest w Niebie zdrój, co czystym kryształem migoce,
I po różowych piaskach bieży lśniącym szlakiem;
Anioł, gdy zeń zaczerpnie, uśnie, lecz snem takim,
Że najbardziéj kochany z oblubieńców ziemi
Nie rozstałby się z jego czary samotnemi,
Chociażby miał oglądać przy sobie uśpioną
Piękną głowę kochanki, wspartą mu na łono.
Lecz napróżno Eloa pije z onéj fali,
Jéj boleść niespokojna tém głębiéj ją pali;
W snach jéj Anioł nieszczęsny staje każdéj nocy
Błagający zdaleka ulgi i pomocy.
Niekiedy znagła, zbadać chcąc boleść tajemną,
Dziewice ją otoczą z prośbą nadaremną,

---

[1]) Nebel — starożytne narzędzie muzyczne Hebrajczyków — coś w rodzaju liry.

I — z troskliwością, która udręcza i rani —
Pytają—jakie skarby miałyby znieść dla niéj?
O ile ceni wieczność życia swego całą,
Jeśli ją szczęście Niebios przynęca tak mało?
Lub—nakoniec—dlaczego nie szuka uroku
W spojrzeniu Archanioła czy w Serafa oku?
Eloa jedném słowem odrzecze dziew rzeszy:
„Czyż z nich kto potrzebuje téj, co smutnych cieszy?
Ach mówią, że jest jeden..." Lecz dość o nim wzmianki,
By—zamilczawszy imię—pierzchnęły niebianki.

9.

Jednak lękliwa siostra ich po Niebios błoni
Pewnego dnia samotna tęskném okiem goni,
Uśmiecha się i wzbija skrzydłami chyżemi
Gdzieś do gwiazd jeszcze pustych lub ku miłéj ziemi.

10.

Kołysane w rozległych lasach Luzyany,
Pod trzciną bambusową i długiemi ljany,
Rozbiwszy złote jaje, gdy je dojmie słońce,
Z łoża kwieci wzlatują kolibry błyszczące;
Zielony szmaragd wieńczy młodą ptaka głowę,
Na grzbiecie już goreją skrzydła purpurowe,
A lazurowy pancerz na piersi mu świeci,
Kiedy do walk powietrznych ptak zwycięsko leci...
Lękające się kurzu koralowe pierze
Kąpie on w sferze światła, w bliskiéj słońca sferze;
Dziwi się gołąb leśny w swém ustroniu dzikiem,
Gdy się na palmie z śmiałym spotka wędrownikiem.
Pełna woni dolina zaniedbana zrazu;
Dumne ptaszę ulata od klonu do ślazu,
Zda mu się, iż nań wszelkich uczt czekają czary
Na skroni palm lub między cyprysu konary;
Lecz dla młodziuchnych skrzydeł las zbyt jest rozległy,
Nie ma w nim kwiatów, które mu kolébki strzegły;
Więc na zieleń Sawany po nie się opuszcza;
Mniéj mu straszny wąż-ptasznik niż ta dzika puszcza,

Choćby się pod kwietnemi ukrywał krzewiny.
Ptak ściga nad zdrojami Florydy jaśminy
Gwoździki śród ich cichych a czystych ustroni,
Albo wonną poziomkę śród murawy goni.

11.

Tak—mocna od dni pierwszych, które jéj zalśniły,
Eloa srebrnych skrzydeł swych probując siły,
Mknąc białą drogą, kędy się nakształt ołtarzy
Tłum ogni nieśmiertelnych u stóp Bożych żarzy,
To na dwóch młodych planet kołysząc się grzbietach,
To opierając stopy na błędnych kometach
By odkryć w innych światach poczęte istoty—
W końcu—samotna—w niższe nieba zwraca loty.

12.

Eter ma stopnie—każdy z nich cała kraina—
Aż po mrok wieczny, gdzie się chaos rozpoczyna.
Gdy jakiś anioł rzuca lazurów odmęty,
Strop szafirowy pełny chwały Trójcy świętej.
Powietrze dlań mniéj czyste; tam chmura po chmurze,
Tam mgła kłębi się wirem, wężem lecą burze
Jak straż czujna; powietrza głębokie obszary,
Którém Bóg dyszy—burz tych łagodzą nam żary.
Lecz za naszemi słońca i pod atmosfery,
Gdzie w ciasném kole nasze kołyszą się sfery,
Przestwór jest pusty, smutny, ciemny i pocięty
Przez czarnego tumanu wlekące się skręty.
Chwiejna, blada dnia jasność dla tych chmur zbyt marna,
Pod niemi tylko chaos i noc władnie czarna,
A kiedy wiatr ognisty rozedrze jéj łono
Czujesz niedotykalną próżnię, niezgłębioną.

13.

Nigdy nikt z czystych duchów, tych światłości dzieci,
Ostatniego z trzech kręgów niebios nie doleci;

Nie zabłąka się Seraf, śliczny nieb mieszkaniec,
Po schodach mroki piekieł mających za kraniec.
Nawet Cherub tak silny, tak wierny—drży trwogą,
Iż w tém strutém powietrzu skrzydła zawieść mogą,
Że gdy jego oparcia pod skrzydła nie stanie,
Runą w zgubnym polocie w ciemności otchłanie.
Cóż naówczas wygnaniec pocznie bez obrony?
Cel nieprzerwanych zniewag, szyderstw, gdy demony
Śmiechów i urągowisk powolną katuszą
Spuszczać oczy, a czoło rumienić go zmuszą?
I—zgrozo stokroć większa!—gdyby się wysnuły
Nuty pieśni tęsknoty rozkosznéj i czułéj!
Jakiś żal za niebiosy i smutne powieści
Szeptem słodkim głosem Anioła boleści!
A gdy w słuch rozrzewniony dźwięk taki się wśliźnie,
Możnaby o niebieskiéj zapomnieć ojczyznie
Upodobać mrok nocy, ukochać serc spójnię
Przez litość i moc pieśni związanych podwójnie.
I jakże ku lazurom niebios wzbić się potém?
Jak ukazać w niebieskiém świetle jasném, złotém
Włos spłowiały, co falą bezładną się wije,
Skrzydła bez barw, ściemniałe ramiona i szyję,
Czoło zbladłe, a na niém ślady rysów mrocznych,
Nieznanych jasnym czołom mieszkańców obłocznych,
Oczy, którym płacz długi powieki czerwieni
Stopy zczernione ogniem nieczystych płomieni?
— Dlatego to — mądrością oświeceni swoją,
Roztropni aniołowie tych miejsc tak się boją.

14.

A przecież tamto na mgłach ciemności złowrogiéj
Oparła się dziewica Eloa bez trwogi, —
I tylko ją zmieszała jéj własna potęga,
Widok łask błogich kędy jéj obecność sięga.
Tam świat jakiś skarany przejęła otucha,
Jakiś glob się zatrzymał i jéj lotu słucha;
A gdy po nowych drogach krążąc między niemi
Którą z tych kul musnęła skrzydłami srebrnemi

Chwilę milkną tam wszelkie zgryzoty i żale:
Dziwiąc się sami—wzajem ściskają rywale,
Nienawiść zapomniane sztylety z rąk roni;
Więzień idzie z uśmiechem, sam, więzy nie dzwoni;
Zbrodniarz w świątyni prawa rad powraca ściany;
W pałacu swego króla zasiada skazany;
Niespokojna bezsenność swych łupów nie trzyma;
Nigdzie—krom łez radości—innych łez już nie ma;
I—zdumionych tém szczęściem, co rzadko świat darzy—
Rozdzielonych kochanków znów ołtarz kojarzy.

PIEŚŃ DRUGA.

Uwiedzenie.

1.

W pośród gór królujących nad ziemią z wysoka,
Często się naturalna, ustronna, głęboka
Otwiera studnia—wód zbiór dészczowych—w niéj na dnie,
W ciemném zwierciedle, dojrzysz gwiazd chociaż dzień [władnie.
Tam, gdy wieśniaczka spuści na ruchoméj linie
W głąb' wody urny kruche gliniane naczynie,
Długo stoi bezczynna i patrzy w zachwycie
Na obraz czarodziejski, na to gwiazd odbicie.—
Co zda się skroń jéj zdobią w ciemnéj toni owéj
Przepaską godną chociaż warkoczy królowéj.
Tak—dziewicy wpatrzonéj w głębie chaotyczne—
Zda się, iż drugie niebo widzą oczy śliczne.
Zrazu wzrok, od słońc mnogich doznawszy olśnienia,
Nie mógł nic dojrzeć okrom przepaści i cienia.
Lecz wkrótce błędne, sine dostrzega ogniki
Jak nad chłodnemi bagny ruchome płomyki;
Te uciekają, wrócą, znów mkną innym torem;
Rzekłbyś—każda z gwiazd goni w ślad za meteorem;
A anioł uśmiechnięty przed dziwnym widokiem
Ich lot lekki, kolisty ścigał chętnym wzrokiem.

Wkrótce—patrząc jak płomień z płomieniem się łączy—
Zda mu się, iż z nich czysta harmonia się sączy;
Tak smętny, nieokreślny i czysty dźwięk roni,
Tak w przeciągu powietrza rząd kryształów dzwoni,
Wieszanych, aby młodéj Włoszce wypieszczonéj
W jéj dworcu grały do snu harf eolskich tony.
Ten szmer daleki w śpiew się nadludzki przemienia
I coraz niebios córy bliższe jego brzmienia,
Wszystkie ognie się w jednéj jutrzni zbiegły błyski
Dnia niespodziewanego, co już świtu bliski.
W tych brzaskach—krętym szlakiem—obłok cudnéj woni
Wił się zwolna w powietrza płonącego toni,
Tworząc stopniowo pokład z ambrozyi usłany,
Jak łoża miękkiéj Azyi—rozkoszne dywany.
Tam, jak anioł siedzący—młody, smutny, śliczny
Błysł postaci niebiańskiéj zarys eteryczny.

2.

Nieraz łowiec z nad Clydu, co pianami ciska,
Gdy w skokach swych gór mglistych przebiega urwiska,
Goniąc daniele—dźwiękiem rogu zadziwione—
Od lodowców Arwenu po tumanną Kronę,
Skacze po mszystych skałach, po bezdennych jarach,
By przebyć potok na drzew zawisa konarach,
Spada z nich pewną stopą i otwiera drogi
Aż do śniegów ludzkiemi niedeptanych nogi;
Lecz wkrótce zabłąkany w jakiéjś gęstéj chmurze
Rozgląda się za ścieżką zakrytą przez burze;
Tam, pod tęczą, co wieńczy modrą toń potoku,
Gdy w niewyraźnéj sieci mglistego obłoku
Ujrzy pled lekki młodéj, zabłąkanéj Szkotki,
Jeśli go w mrących echach dojdzie głos jéj słodki,
Staje oczarowany i śledzi jéj śladów
Pewien, iż ujrzał siostrę swoich prapradziadów,
Cień jeszcze rozkochany, który z arfy-cienia
Przezroczystemi palce wywoła strun drżenia;
Więc szuka jak ją Ossjan w swych pieniach nazywa
I—stojąc na urwisku—Ewir-Comę wzywa.

3.

Niemniéj piękny, lecz również niemniéj był zamglony
Kształt anioła ciemności jeszcze oddalony,
Niemniéj rozkoszne czary zabłysły źrenicy
Zapatrzonéj w ten obraz niebiańskiéj dziewicy.
Jako łabędź uśpiony, sam, zdala od brzegu,
Puszcza swe białe skrzydła wedle wody biegu,
Tak nieznany młodzieniec wspierał się niedbale
O mgły z pod ramion jego uchodzące fale.
Opalowemi barwy wzrok nęcą szkarłaty
To jaskrawsze, to bledsze strojącéj go szaty.
Włos kruczy, lecz przepaską objęty do koła;
Była-li to korona, czy ciężar dla czoła?
Złoto jéj żywe—niby te mistyczne, lśniące
Starożytnych trójnogów ognie wirujące.
Śmiałe skrzydła zwinięte; bladość ich koloru
Naśladuje zmierzch szary mglistego wieczoru.
Na delikatnych nogach objętych w obręcze
Złote—skrzą się brylantów niezliczonych tęcze;
Tajemnicze pierścienie, rozkoszne opaski
Palców, ramion cudnemi olśniewają blaski.
Porusza złotém berłem, które w ręku trzyma,
Jak król wojska ze wzgórza śledzący oczyma,
Co w trwodze, by w zamiarach swych nie doznał zwłoki
Niecierpliwemi gesty przynagla wojsk kroki;
Na czole ma niepokój, lecz wzrok rzęsą kryje:
Czy świadom czarnoksięskiéj mocy, co zeń bije,
Chce stopniowo odsłaniać przed boską istotą
Blaski jeszcze niepewne a tchnące pieszczotą?
Czy sam przed mimowolnym drży onym płomieniem
Co duszę duszy jedném odkrywa wejrzeniem?
Jak ranny wiatr łagodny śród leśnych obszarów
Zaczyna swe westchnienia od niepewnych gwarów,
Budząc ziemię, wstrząsając dreszczem odmęt wodny;
Tak zwolna głos podnosząc głęboki, łagodny,
Brzmiący smutkiem jak nuta pożegnań grobowa,
W takie do córy Bożéj przemówił on słowa:

4.

„Skąd ród twój? Jakim szlakiem, o piękny aniele,
Płyną twe srebrne skrzydła? Jakie dróg twych cele?
Czy na jakiegoś słońca odpocząwszy jądrze
Ogniskiem kół różanych masz kierować mądrze?
Czy mącąc myśl kochanków trwogą idealną
Ukazywać im nocą zorzę borealną?
Kwiaty obdzielać rosą? czy tęczowéj wstęgi
Po szczytach gór wyginać siedmiobarwne pręgi?
Czyli ci powierzono miéć pieczę nad duchy
I do serc młodych niewiast szeptać w wieczór głuchy?
Jak marzenie w ramiona ich w one godziny
Schodzić i w pocałunku przynosić im syny?
Taką twa słodka rola, jeśli twéj wspaniałéj
Piękności mam dać wiarę i blaskom twéj chwały,
Lecz może mam nowego wroga w tobie widziéć?
Zbyt potężny mój rywal może nienawidziéć
Cię uczy? Może niosąc mnie samemu rany
Zapragniesz pod chrztu wody wieść moje pogany?
Bo zawsze przeciwstawi méj mocnéj prawicy
Wróg zwycięski głos dziecka, spojrzenie dziewicy.
Wygnańcem jestem—możeś poszła za wygnanym?
Jeśli tak?—strzeż się! Bóg twój jest zazdrosnym panem;
Wszak za to, żem chciał zbawiać, wszak za miłość świętą
Dziś jestem potępiony; za to mię wyklęto.
Czysta piękności, niesiesz bój czy rozgrzeszenie?
Schodzisz z nieb, skąd mi grom padł, lecz twoje zjawienie
Tak mi słodkie, aniele, że nie wiem dlaczego
Przeciw mnie i ty także schodzisz z nieba twego?

5.

Tak mówił duch. Na dźwięki mowy miodopłynnéj,
Czar zgotowany przeciw jéj duszy niewinnéj,
Na blask luby, na przystrój magiczny postaci
Anioła podobnego jéj niebiańskiéj braci,
Mieszkanka niebios, w srebrnych skrzydeł swych osłonie,
Cofając się wzbijała przez gwiazdziste błonie,

Jak kąpiące się dziewczę w sitowia ucieka,
Gdy młodzieńca pływaka zaoczy zdaleka.
Lecz próżno obie stopy od obloku rąbka
Oddalała z pośpiechem, z jakim mknie gołąbka
W dwa dni z Alepu wieży białéj, skąd sułtanka
Śle z poselstwem miłośném, z listem do kochanka:
Jeden błysk oka łamie jéj moc i lot sidła;
A widząc jak opuszcza ujarzmione skrzydła,
Nieprzyjaciel zwodziciel szeptał do złamanéj;
„Jam jest ten, co obudza miłość sam nieznany.
Na człowieku-m wsparł państwo me, co żarem bucha,
Na pożądaniach serca, na snach jego ducha,
Żądzach ciała, pociągów tajemniczych mocy,
Na skarbach krwi, na spojrzeń potędze. Ja w nocy
Wywołuję namiętny szept sennéj małżonki;
Dziewczę uczy się szczęsne snuć błogich kłamstw mrzonki;
Ja po dniu je pocieszam czarem nocy ciemnych,
Jam jest król tajemniczy miłości tajemnych.
Ja łączę serca, twarde rozrywam łańcuchy,
Jak motyl z upylonérn skrzydłem, co na puchy
Traw wzruszonych rozsiewa kwiatów miryady,
Niosąc miłość bezpieczną, bez łez, cierpień, zdrady.
Jam z rąk Stwórcy twór słaby wydrzéć się ośmielił;
Wbrew jego woli—jam z nim przyrodę podzielił:
Niech on dumny różowym dniem i jego wrzaskiem
Kryje złociste gwiazdy pod słonecznym blaskiem;
Dla mnie cień niemy,—ziemi ja z mojéj skarbnicy
Daję rozkosz wieczorów, dobro tajemnicy.
Możeś z anioły z nieba zleciała jasnego
Podziwiać jak rozkosznie moje noce biegą?
Znasz-że ich skarby, cuda, co śród tych padołów
Towarzyszą czuwaniom ciemności aniołów?

6.

Ledwie na widnokręgu w przestrzeni bladawéj,
Chwiejąc się krasne słońce opuści murawy,
My duchy niezliczone lecimy śród cieni
Strząsając ciemne włosy w powietrznéj przestrzeni;
Wówczas to wonna rosa spada aż do ranku
Na kwiaty pomarańczy, i bzu i tymianku.

Przyroda—na me prawa baczna—w nocnéj ciszy
Przyjmuje mię z miłością, słucha mię, mną dyszy;
Znów staję się jéj duszą—i—by słodkie plany
Spełniać—z głębi żywiołów zzywam lud poddany.
Zwykłych spółuczestników méj nocnéj biesiady
Z piosenką się na ucztę gotują gromady.
Dumny swojemi loty—w gwiazdziste lazury
Pierwszy wylata słowik, ten pieszczoch natury;
Jego głos fali, ziemi, chmurom—uroczyście
Zapowiada najmilszéj mi godziny przyjście;
On bladym jarzębinom me przybycie wróży,
On o tém szepce rosą zlanym krzakom róży;
Dźwięczny herold—me imię wszędzie głosi pieniem;
Ptak w cieniu otwarł oczy iskrzące płomieniem;
Robak błyszczy; jak zorze śród niebios bławatów
On djamentowém czołem jest zorzą śród kwiatów
I walczy swą jasnością z jasnym meteorem,
Który jak blada jutrznia krąży nad jeziorem.
Rozpętana mą ręką ta gwiazda bagniska
Spada i przez powietrze świetlną linią błyska.

7.

Gardząc sumienia zmorą—jeżeli odbieży
W pośród nocy dziewica łoża swéj macierzy,
Te ognie naturalne promienią jéj ślady,
Ich jasny płomień wiedzie ją, a nie zna zdrady.
Jeśli z wargą spragnioną—miast czary kielicha
Szuka muszli głębokiéj nad rzeką—toń wzdycha
I wrąc—konchę Wenery swojemi zatopy
Rzuca na brzeg piaszczysty pod jéj nagie stopy.
Tysiąc cudownych zjawisk duchy jéj odsłonia
Wpośród gajów różaną przepełnionych wonią;
Dojrzy w trawach, po których wiedzie ją ich ręka,
Niejeden kwiat czarowny, co w noc tylko pęka,
Któremu, jak jéj, srogą będzie jasność dniowa
I co—jak ona—miłość w czystém łonie chowa.
Milczenie w ślad jéj idzie; cały świat w uśpieniu;
Mrok słucha tajemnicy w głębokiém skupieniu.
Wiatr woń upajającą z łąk pobliskich niesie
Na łoże przez kochanka zgotowane w lesie.

Wkrótce dwóch młodych głosów szmer pochwyci ucho,
Który wesoło przerwie gajów ciszę głuchą.
Na wiązie, co w swéj gęstwie schronieniem ich darzy,
Nuci zbudzone ptaszę i śród liści gwarzy.
Hym rozkoszy powietrze wstrząsa: pieją drzewa,
Każde ma swą pieśń, krzewów gąszcz swój koncert śpiewa,
A nad strugą, co płynąc jęczy nieprzerwanie,
Słychać nocnéj gołąbki żałosne gruchanie.

8.

Oto przed tobą zbrodniarz i dzieł jego grzechy;
O złość skarżon on przecież jest duchem pociechy,
Co płacząc niewolnika wykrada go panu
I przez miłość wyzwala od nędz jego stanu,
A gdy wspólną złą dolą oba są objęci,
Daje mu chwilę czaru, czasem—niepamięci."
Słuchając słów tych—trzykroć nieb archanielica
Ledwie zrodzona—młode zrumieniła lica,
Trzykrotnie, gdy z nieczystym wzrokiem walkę toczy,
Złote powieki modre przesłoniły oczy.

PIEŚŃ TRZECIA.

Upadek.

1.

Skromności, sromie zacny, tajemnico święta,
Ziemia cię zna w dzieciństwie swém kiedyś poczęta,
Ty kwiecie jéj dni pierwszych, który śród nas wschodzisz,
Różo rajska, skromności, powiedz, skąd pochodzisz?
Jednaś zdolna stać jeszcze za niewinność białą,
Lecz zakazane drzewo początek ci dało;
Cnoty wdziękom ty swoim równasz się urokiem,
Ale téż jesteś pierwszym ku otchłani krokiem;

Rąbkiem wstydliwéj szaty twe łono się słoni,
Lecz Ewa—nim wąż przyszedł—nie myślała o niéj;
I chociaż się czystemi okrywasz welony,
To zasłona,—a zbrodnia téż szuka osłony.
Wszystko wzrusza, spojrzenie twą powiekę drażni,
Lecz dziecię szuka światła, a nie zna bojaźni.
Pod tą nową potęgą gięła się dziewica —
Już chwiejna,—bo rumieniec już skrasił jéj lica.
Już przez ducha ciemności prawie ujarzmiona
Zstępuje, wzlata, znów się spuszcza w cieniów łona.
Tak nad startemi kłosy krąży kuropatwa
Rada zebrać z nich ziarno, bo czeka ją dziatwa,
Gniazdo jéj; lecz choć lotem wzbije się w przestworze,
Od wpatrzonego wzroku wzrok jéj ujść nie może...
To wyżeł—stróż ponury—tak w ślad krok za krokiem
Ściga ją swém utkwionėm, błyszczącém swém okiem.

2.

O szały chwil miłości! Gdzież słowa was godne?
Jako powietrze lirze tak dwa serca zgodne
Wtórzą sobie. — Jak młodzian tłómacz uwielbiany
Żądz, które sam obudził w sercu ukochanéj,
Wspierając ją, gdy walczy ze skromnością ona,
Oczarowaną słabość pociąga w ramiona,
Pjany nadzieją, prawie pewny swéj potęgi,
I głosi już w jéj sercu złożone przysięgi,
Tak głos książęcia duchów stłumiony a tkliwy
Tłómaczył skryte myśli dziewicy lękliwéj.
Eloa bez wyrazów mówiła: „Jam twoją”;
A duch ciemności szeptał do niéj: „O bądź moją!
Bądź moją, bądź mą siostrą, jam twój; jam zasługą
Zdobył cię; kocham dawno, kocham już tak długo.
Bom cię raz widział.—Omglon jako w zimie słońce
Wmieszałem się śród synów powietrza, świecące
Niebo cudne raz jeszczem oglądał na nowo,
Tę ojczyznę świetlanych ludów lazurową,
I nie uczułem żalu, żem rzucił te progi,
Gdzie obawa króluje wiecznie między bogi.
Tyś mi się tylko zdała zorzą, młodym świątkiem,
Co nocy płaszcz ogromny przedziera ukradkiem,

Tyś mi się jedna zdała celem upragnienia,
Tém, za czém goni człowiek śród dni swoich cienia,
Bóstwem, świadomém szczęścia zagadki istotnéj
I królową, czekaną przez mój tron samotny.
Nakoniec, gdym twym czarom ulegał powolny,
Twa obecność odkryła mi, żem kochać zdolny.

3.

I czy twe oczy, smutku oslonione cieniem,
Odgadły moje, co ich szukały spojrzeniem,
Czy—jak ty sama słodkie—źródło twego bytu
Dało-ć ojczyznę bliższą mnie od sfer błękitu?
Nie wiem, lecz odkąd błysły twych narodzin zorze —
Zdało mi się, iż w każdym poznaję cię tworze.
Trzykrotnie przeleciałem wszechświat, wciąż łzy roniąc,
Wszędzie szukałem ciebie: w tchu powietrza goniąc,
W promieniu, jaki spływa od tarczy miesiąca,
W gwiaździe, znudzonéj niebem, co zeń spada drżąca,
W łuku tęczy, po którym chadzają anieli,
Lub na śniegu lodowca puszystéj pościeli.
Kędy przeszły twe loty czułem je po woni;
Daremniem pytał globów: globy, mówcie o niéj;
Wozów gwiazd czystych osie nieraz cień mój mroczy,
Przyćmiéwałem ich blaski, by ściągnąć twe oczy,
Niekiedy nawet—nowym uzuchwalon szałem —
Złote struny niebieskiéj liry trącać śmiałem.
Lecz tyś mię nie słyszała, wzrok twój mię nie zoczył. —
Więc wróciłem na ziemię, w schrony-m ludzkie wkroczył,
Miejsce twoich narodzin—myśląc, iż twa czynność
To anielską opieką otaczać niewinność,
Kołysać śpiące dziecię, co w kolébce leży,
Tchnąc lubym tchem, co drobne usteczka odświéży;
Lub—jak firankę—skrzydła lękliwéj strażnicy
Przeciwko mnie rozpinać nad łożem dziewicy,
Którą ujrzysz przy boku jéj siostry uśpioną,
Gdy ta ją przez sen słodko przytula na łono.
Lecz zawszem wracał we łzach, jak tu z mą tęsknotą,
Do mych świetnych przybytków, aż z szelestem oto
Twych skrzydeł—jak kapłana, przyjęła mię trwoga,
Czującego, iż zabrzmiéć ma głos jego Boga.

4.

Duch mówił; a jak płonie młoda monarchini,
Któréj tytuł królowéj błogą radość czyni,
I wdzięcznym gestem wita, z uśmiéchem na twarzy,
Uniesienia poddanych, wejrzeniem ich darzy,
Tak Eloa, zasłonę uniósłszy z nad głowy,
Gotuje się z uśmiéchem słodkim do rozmowy,
Schodzi, skłania się k'niemu, wpatruje niebianka
Z dumą—w nieśmiertelnego oblicze kochanka.
Jak fala mórz, u brzegów kona szemrząc zcicha,
Jéj łono po raz pierwszy wzdyma się i wzdycha;
Jako lilia zwieszona nad jezior rozłogi,
Jéj ramię się doń zbliża, wyciąga bez trwogi;
Otwarła wonne wargi,—zda się, że rozkwita
Z pączka młodziuchna róża, gdy blask jutrzni świta,
Gdy ranek ją ros świéżych napawa ochłodą,
A złoty promień słońca wniknie w pierś jéj młodą...
Przemawia—i w jéj głosie lubym się jednoczy
Chór wszechdźwięków najmilszych, chór tonów uroczy:
Liry, którą z fujarki w lesie zgodnie stroją,
Ptaszka, co pierwszą skargę zléwa w piosnkę swoją,
Morza, gdy pieśń wieczorną swemi falmi gwarzy
Pod stopami wędrowca, co na brzegu marzy,
Wiatru, który kołysze wiejskich dzwonów spiżą,
Lub trzcinom każe wzdychać za wód falą chyżą.

5.

„Gdyś tak piękny—więc dobrym musisz być zaiste;
Bo skoro jaka dusza w niebiosa świetliste
Wchodzi—zaraz jéj dobroć na kształt szaty świętéj
W wiekuistéj piękności stroi ją ponęty.
Lecz czemu twoja mowa przejmuje mię trwogą?
Czemu na skroni twojéj widzę boleść srogą?
Jakeś mógł tak odlecieć od świętego proga?
I jak możesz mię kochać, gdy nie kochasz Boga?

6.

Skromności wdzięk—zmieszanie w oczach—towarzyszy
Tym słowom, jak niewinność mocnym—on je słyszy
Z ust jéj takie łagodne i takie przeczyste,
Jak na ustronnych wzgórzach zim zaspy śnieżyste;
A iż anieli, bóstwa pierwiastkiem żywieni,
Mają w swych sercach źródła światłości promieni,
Przeto, kiedy mówiła, światła aureola
Jéj skrzydła, i ramiona, i łono okola:
Tak połyskuje dyament wpośród nocnych cieni.
Archanioł strwożon—wpośród kędziorów pierścieni
Szuka gęstéj zasłony dla oczu olśnionych,
I duma, iż u kresu wieków dopełniowych
Będzie musiał tak stanąć przed oblicze Boże
I że Pan rzutem oka w proch zmiażdżyć go może.
Wspomina, co wycierpiał, odkąd, jak pokusa,
Stanął ongi na puszczy przed oczy Jezusa;
Drży—i na serce, w którém znów piekieł ogniska
Wrą—niby płaszcz ogromny, wielkie skrzydła ciska;
Chce uciekać.—Strach wszystkie przebudził w nim troski.

7.

Na gór wyniosłych śniegu, który wieńczy wioski,
Orła asturyjskiego ranił Hiszpan młody,
Kiedy groźnemi loty spuszczał się na trzody.
Ptak zjeżył pióra, wzbił się, dészcz krwi zeń wytryska,
Jego lot w niebo szybki, jak grom kiedy błyska,
Patrzy w słońce, dziób otwarł, żar słoneczny pije
I wierzy, iż w tém państwie płomiennem ożyje;
Pławi się w złotym płynie w całéj skrzydeł sile
I śród powodzi światła kołysze się chwilę;
Lecz strzał, którym go człowiek zranił, był zbyt celnym;
Ołów mu w ranie cięży pociskiem śmiertelnym;
Traci pióra ze skrzydeł, płaszcz królewski zdarty,
Leci, jak puch pod nożem. Z powietrza wyparty
Upadek w dół ciężarem swym przyśpiesza jeszcze;
Padł, w śniegu grzęźnie, już ostatnie drżą w nim dreszcze,

Aż lód ziemski snem ciężkim zwarł oko żarzące,
Oko potężne, które oszczędzało słońce.
Tak, w pamięci swe męki odnajdując żywe,
Anioł wyklęty skłonił czarnych włosów grzywę
I szeptał, czując bólów piekielnych torturę:
Smutna miłości grzéchu! Złe żądze ponure!
Pycho, wy pragnień wiedzy olbrzymie pomysły,
Jakże mi bezrozumnie szały wasze błysły?
Klątwa ci, chwilo, gdy się z Bogiem zmierzyć śmiałem!
O, ty, prostoto serca, którą zrozumiałem!
Drżę przed tobą, a jednak z czcią obraz twój pieszczę;
I jestem mniéj występny, gdy cię kocham jeszcze;
Lecz w pierś shańbioną twoje nie wróci wesele!
Od méj przeszłości dzieli mię, ach! kroków wiele!
Tak straszliwą sam w sobie przebieżałem drogę,
Iż dziś słów niewinności pojąć już nie mogę;
Cierpi, duch mój przybity złem i nieszczęść groty,
Już dziś niezdolen wzbić się aż do takiéj cnoty.

8.

Gdzieście wy, dni niebiańskie, spokojnych dni biegu?
Gdym śród skromnych aniołów szedł pierwszy w szeregu,
By na klęczkach nieść modły praw powadze staréj
I myślą nie wykraczał za granice wiary!
Wieczność stała przedemną niby upojenie;
Kwiaty miałem w mych dłoniach, nad czołem promienie,
Uśmiéchałem się, byłem... Może znałbym miłość!"
Sam kusiciel wpadł prawie w tych marzeń zawiłość;
Zapomniał swéj ofiary, swéj sztuki.—swobodniéj
Serce jego na chwilę wytchnęło od zbrodni.
I tuląc czoło w dłonie sercem swojém całem
Szeptał: „O, wy, łzy ludzkie, czemuż was nie znałem!"

9.

Gdyby go wówczas mogła słyszéć dziéwa święta,
Gdyby jéj dłoń niebiańska, śmiało wyciągnięta
Skruszonego, zmiękłego wzniosła do błękitu...
Kto wié? Czy dla zła wówczas nie byłby kres bytu?

Lecz ta—-na zadumaném gdy ujrzała czole
Odbite konwulsyjne srogie serca bole,
Zdumiona wzniosła w niebo źrenice ze drżeniem,
Zda się silniejszą, wsparta niebios przypomnieniem,
Dwakroć wstrząsnęła skrzydły i cichemi skargi
Jęcząc, zaczarowane swe otwiéra wargi;
Tak dziecię, tonąc—trzciny chwyta się i kusi
Wydawać słabe krzyki, które fala dusi.
On widzi ją, iż bliska ujść mu w światła kraje.
Tak tygrys, zbudzon z prochu, skok szalony daje,
On odnajduje w sobie wzmożoną zaciętość,
Wiekuistą swojego ducha nieugiętość,
Ducha złego, któremu niewinność w ohydzie,
I płonie, że o mocy swéj wątpił—o wstydzie!
Znów w spokój skroń promienną obleka i lice,
Nagła zuchwałość jego zapala źrenice,
Długo w milczeniu topi wzrok, co mu się żarzy
W ofierze nieb wybranéj dla swoich ołtarzy,
Jak gdyby chciał jéj wskazać, iż walczyć nie zdoła,
Albo się sam zatwardzić w wejrzeniu anioła.
Bez miłości w zastygłém sercu, bez zgryzoty
Obmyśla miejsce, aby wycelować groty,
Jak rycerz, co udając spokój, zda się mierzyć
I szukać wad pancerza, by tam w pierś uderzyć,
On układa swe rysy według jéj życzenia;
Wyraz twarzy, głos, ruchy, cały układ zmienia;
I nie z serca idące, nie szczere, jak wprzódy
Łzy błysły mu u powiek, ale łzy obłudy.
Nieznająca łez w niebie strwożona dziewica
Przystanęła; westchnieniem on jéj lęk podsyca.
On płacze gorzkim płaczem człowieka tułacza,
Lub wdowy, co nad synem zabitym rozpacza;
Włos mu opadł w nieładzie; wstrząsa skroń schyloną
Niepowstrzymane łkanie, co mu szarpie łono.
Ona się zbliża we łzach; mówili w te słowa:

10.

— „Co ci? Com zawiniła? Jam słuchać gotowa“.
— „Chcesz ujść, może nazawsze? Czuję to z obawą.
Za to, żem się dał poznać, karzesz mię tak krwawo!“

— „Wolałabym pozostać, ale Pan mię wzywa.
Będę błagać za tobą, on k'nam łaskaw bywa".
— „Nie ku mnie, — On w mych losach nic zmienić nie
Tyś Bóstwo, ty masz jedna moc zbawić anioła". [zdoła.
— „Cóż mam czynić? Niestety! Mów, czy zostać trzeba?"
— „Tak, znijdź ku mnie, bo ja się nie wzbiję w twe nieba".
— „Daru żądasz?" — „Nas samych, — więc najpiękniejszego.
Pójdź!" — „Na wygnanie z niebios?" — „Kochasz — więc cóż
Pójdź, dotknij mojéj ręki. — Wkrótce jednakowo [z tego?
Pogardzisz tém, co dobrém i tém, co złém zową.
Nie rozumiałaś czaru, czém jest łcno swoje,
Podać, — aby ktoś na niém mógł ukryć łez zdroje.
Ja-ć jeden nowe szczęścia ukażę koleje,
Pójdź! Otwórz mi swą duszę, ja ci je w nią zleję.
Jak na zachodzie księżyc i świt złotowłosy
Mieszają swe promienie, albo jako rosy
W jedną perłę zléwają swych łez dyamenty,
By wchłonąć wonny balsam z kwiatów wyzionięty,
Jak podwójna pochodnia łączy dwa płomienie,
My nie mniéj ściśle złączym nasze dusz istnienie".
— „Kocham cię i zstępuję. — Lecz cóż w niebie rzeką?"

11.

W téjże chwili w powietrzu, od ich ócz daleko,
Przeleciał chór anielski — i wśród hymnów chwały
Oto, jakie z niebiańskich pień słowa zabrzmiały:
„Chwała na wieki wieków na ziemi i w niebie
Temu, kto dla zbawienia innych oddał siebie!"
Ten głos zdawał się z niebios. — Ten głos ją zwycięża.

12.

Jeszcze wznosi niewierne powieki, wytęża
Dwukrotnie wzrok niepewny i z trwogą daremną
Szuka swych niebios próżno. Przed nią było ciemno.

13.

Czerpać światy z chaosu leciały anioły.
Z trwogą mijając jego bezdenne rozdoły,
Wszyscy, podczas, gdy pełnią polecenia Boże,
Widzieli, jak ognisty obłok spadł w przestworze.
Skargi bólu z okrutnych odpowiedzi słowy
I szum skrzydeł słyszane z téj chmury ogniowéj.

14.

— „Dokąd, piękny aniele, wiedziesz mię?“—„Idź ze mną!“
— „Jakże głos twój jest smutny, a mowa twa ciemną!
Czyż nie Eloa dźwiga żelaza twych oków?
Sądziłam, że cię zbawiam“.—„Nie! Ja cię w świat mroków
Porywam“.—„Gdyśmy razem, o miejsce nie stoję!
Powiédz mi jeszcze: siostro!—powiédz: bóstwo moje!“
— „Niewolnicą-ś, ofiarą—nie gwiazdą przewodnią!“
— „Zdawałeś się tak dobrym! Czémże czyn mój?“
— „Zbrodnią“.
— „Czyś przynajmniéj szczęśliwszy? więcéj z losem zbratan?“
— „Smutniejszym, niźli kiedy“.
— „Ktożeś ty?“
— „Jam szatan!“

Przełożył *Adam M-ski.*



NARODZINY POETY-ROMANTYKA.

O życiu Seweryna Goszczyńskiego nie wiele mieliśmy dotąd wiadomości; najmniéj zaś wiedzieliśmy o latach jego młodzieńczych, mianowicie o warunkach, w jakich kształtowała się jego indywidualność. W pracy niniejszéj starałem się skreślić przebieg pierwszych 18-tu lat jego życia, od urodzenia aż do chwili opuszczenia szkoły (1801 — 1819). Materyał biograficzny czerpałem przeważnie z pamiętnika [1]), spisanego przez poetę w Paryżu 1859 r., a przechowywanego w oryginale w jednéj z bibliotek polskich.

I.

Józef Goszczyński, potomek niezamożnéj rodziny szlacheckiéj, osiadłéj na Mazowszu, przeniósł się w ostatnich latach zeszłego wieku z pod rządu pruskiego na Wołyń. Był on już przedtém na Wołyniu w r. 1792 jako artylerzysta. Wspomnienia z tych czasów głęboko zachował w sercu na spuściznę dla potomności. Nic nadto nie miał jéj do przekazania. Wykształcenia posiadał tyle, ile potrzeba było dla dowódcy dwóch armat; podobno zawdzięczał je szkole rycerskiéj. Majątku po rodzicach nie odziedziczył (nie wiadomo nam, czy żył wtedy jeszcze ojciec jego, Andrzéj). Gdyby nie świéże zmiany w ustroju społeczeństwa, trzymałby się żołnierki, lub dostał się do służby na

[1]) Fakty biograficzne, przytoczone w téj pracy bez wskazania źródła, wzięte są ze wskazanego pamiętnika.

dworze magnackim, a stąd na urząd publiczny; lecz teraz, gdy magnaci klienteli nie potrzebowali, pozostawało mu dorabiać się chleba pracą. Udał się tedy na wschód, gdzie rozległe majątki ziemskie stanowiły ziemię obiecaną dla oficyalistów rolnych. Każdy szlachcic był z przyrodzenia rolnikiem, tém lepszym, im lepiéj znał się na chłopstwie pańszczyźnianém w technicznem znaczeniu, jako sile roboczéj. Człowiek, który w służbie wojskowéj rękę do dyscypliny miał zaprawioną, posiadał przez to samo kwalifikacye na oficyalistę.

Karyerę swoją rozpoczął Goszczyński w majątku Antoniego Pruszyńskiego, szwagra Hieronima Sanguszki [1]). Pruszyński posiadał między innemi wieś Siomaki w pobliżu Sławuty. Być może tam służył Goszczyński. Przypuszczenie, że przebywał w pobliżu tego miasta, nasuwa ta okoliczność, że wszedł w stosunki z rodziną Gurowskich, mieszkających w Sławucie, stolicy niezmierzonych dóbr sanguszkowskich. Stosunki musiały być częste i bliskie, jeśli Goszczyński żeni się z panną Franiszką Gurowską. Kiedy się to stało i w jakich okolicznościach, nie mamy na to danych; wiemy tylko, że pierwsze dziecko z tego małżeństwa przyszło na świat w listopadzie 1801 r.

W licznéj rzeszy służby książęcéj w Sławucie, Gurowscy zajmowali stanowisko jedno z pośledniejszych. Głowa rodziny, Józef Gurowski, był strzelcem dworskim. Żona jego, Maryanna (z domu Troczewska), pracowała na swoją rękę, zarządzając pralnią pałacową. Mieli Gurowscy sześcioro dzieci: trzech synów i trzy córki [2]). Z jedną z tych córek, Franciszką, ożenił się Józef Goszczyński. Być może, Gurowscy, jako zbliżeni do pałacu i administracyi dóbr ks. Sanguszki, pomogli mu swoją protekcyą do wystarania się o posadę w dobrach sanguszkowskich, bo w r. 1801 widzimy Goszczyńskiego gorzelanym w miasteczku Ilińce (albo Iliniec — w powiecie lipowieckim, na Ukrainie), mieszkającego z żoną, koło gorzelni, na przedmieściu Borysówku.

Ilińce, liczące teraz około 6,000 mieszkańców, podówczas były znacznie mniejsze. Ludność co najmniéj w trzeciéj części katolicka obyczajem i mową, w wybitniejszych domach nadawała miastu charakter polski [3]).

Tutaj powiła Goszczyńska pierwsze dziecko. W dniu 23 paź-

---

[1]) Agaton Giller w „Sobótce“, księdze zbiorowéj na uczczenie S. Goszczyńskiego. Lwów, 1875, str. 2.

[2]) Imiona ich: Antoni, Grzegorz, Stanisław; Franciszka, Aniela i Dorota (z notatek Goszczyńskiego).

[3]) T. Stecki. „Wołyń“. Lwów, 1864, I, 157.

dziernika starego stylu (4 listopada podług stylu nowego) 1801 r. przyszedł na świat syn, przynosząc sobie imię Seweryn [1]. Dziecko to, jak widzimy, fizycznie należy całkowicie do XIX stulecia.

Chrzest chłopca odbył się w kościele miejscowym 13 (25) listopada t. r. [2]. Na rodziców chrzestnych zaprosili Goszczyńscy znajomych co znakomitszych, więc lekarza z Iliniec, Józefa Gallika i żonę głównego administratora dóbr ks. Sanguszki, Maryannę Piotrowską. Obrządku dopełnił proboszcz ilieniecki, kanonik i dziekan, ks. Tomasz Staroszkiewicz. Udział pani Piotrowskiéj w uroczystości téj był zapewne aktem uprzejmości zwierzchników względem podwładnego, zwykle praktykowanym w podobnych razach; jest rzeczą wątpliwą, czy i z lekarzem Gallikiem łączyły Goszczyńskich stałe stosunki towarzyskie. Na chrzciny syna pierworodnego zaprosili rodzice niewątpliwie wiele innych osób z miasteczka, bliskich znajomych, a między nimi geometrę Padurrę, mieszkającego również na przedmieściu, przy młynie Litwinowym [3]. Jeżeli tak było w istocie, Goszczyńscy mieli możność odwzajemnić się rychło Padurrom udziałem w chrzcinach, przez nich wyprawianych, w krótce bowiem, 21 grudnia t. r., w dzień św. Tomasza urodził się im syn, znany nam dobrze pod imieniem Tymka.

Z Iliniec nie zachował Seweryn Goszczyński żadnych wspomnień; liczył zaledwo kilka lat życia, kiedy rodzice opuścili to miasto, kierując się z powrotem ku Sławucie. Zanim ich wyjazd z Iliniec

---

1) Datę urodzin Seweryna Goszczyńskiego wyjąłem z odpisu metryki, nadesłanego mi przez konsystorz w Żytomierzu. Podawana dotychczas przez biografów data: 1803 r. daje w porównaniu z niniejszą różnicą dwóch lat, dość znaczną i ważną, zwłaszcza, gdy chodzi o pierwsze lata rozwoju umysłowego poety.

2) Metryka chrztu S. Goszczyńskiego brzmi w oryginale, jak następuje: „Annus Domini Millesimus Octingentesimus Primus. Anno ut supra die decima tertia Novembris Mensis Ego Thomas Staroszkiewicz, Decanus Lipovicensis, Canonicus Smolescensis, Praepositus Ilincensis baptisavi infantem nomine Severinum natum v i g e s i m a t e r t i a O c t o b r i s m e n s i s v e t e r i s s t y l i, anni currentis, filium parentum generosorum Josephi Goszczyński et Franciscae de Gurowskie legitt. Conjugum. Patrini fuerunt Magnifici Josephus Gallik, consiliarius medicus, cum Marianna Piotrowska, uxore commissarii bonorum Ukrainensium Celsissimi Principis Sanguszko de Ilińce“, etc.

3) Giller pisze: „Chrzcił go proboszcz ks. Gallik, ojcem zaś chrzestnym Seweryna był Padura, ojciec Tomasza“ („Sobótka“, str. 2). Szczegóły te, jak się pokazuje, fałszywe, podawał Gillerowi sam Goszczyński około r. 1874. Starca zawodziła pamięć rzeczy, opowiadanych mu zapewne w dzieciństwie, dokumentów zaś osobistych nie miał z sobą zagranicą.

nastąpił, rówieśnicy, Seweryn i Tymko, mogli się byli poznać, bawić razem w piasku, lecz czy kolegowali z sobą w szkółce parafialnéj w Ilińcach, czy służyli razem do mszy tamże, jak utrzymują biografowie Padurry [1]), jest rzeczą bardzo wątpliwą, skoro sam Goszczyński w autobiografii swojéj zapewnia, że w chwili opuszczania Iliniec, był małém dzieckiem i dopiéro z czasem na nowéj siedziebie rozpoczął naukę czytania.

Goszczyńscy przenieśli się około r. 1806 do Siomak, wspomnianych już wyżéj, leżących w pow. zasławskim, o kilkanaście wiorst od Sławuty, na pograniczu właściwego Wołynia i Polesia wołyńskiego. Siomaki leżą w równinie, wśród urodzajnych pól pszennych. Ludność téj okolicy opływa w dostatek, widoczny z zewnętrznéj fizyognomii wiosek, zdobiących równiny rzędami obszernych chat o murowanych kominach i zielenią sadów. Do tego tła dostraja się lud wiejski, dorodny, strojnie odziany, względnie inteligentny, wesoły. Jednėm słowem, „pełno tu życia i świéżości na ziemi i w powietrzu, wszędzie dostatek, spokój i zadowolenie...” [2]). Znawcy Wołynia utrzymują, że do podniesienia kultury miejscowéj przyczynili się najwięcéj Sanguszkowie, których posiadłości nie ustępują obszarem wielu dawnym księstwom udzielnym. Rezydencya Sanguszków, Sławuta, teraz pełna fabryk i ruchu, wówczas przedstawiała oryginalny widok ładnego miasteczka, zbudowanego wśród lasu. Przecina je wstęgą Horyń, wypływający do miasta z lasu, który chyba nie ma od siebie w kraju piękniejszego. Na rynku ratusz, daléj kościół z krzyżem złotym, na wzgórzu ciemny pałac książęcy—dodawały świetności téj osadzie.

W tych dwóch miejscowościach, w Siomakach i Sławucie na przemian, spędził Seweryn kilka lat życia.

Rodzina Goszczyńskich szybko się powiększała. Matka, zajęta drobnemi dziećmi, nie mogła opiekować się najstarszym Sewerynem tak, jakby należało; chłopiec tymczasem potrzebował bardzo pilnego dozoru: bujnie się rozwijał, żywy był, swawolny, popędliwy. Ojciec nigdy, jak zobaczymy niżéj, nie interesował się zbytnio dziećmi, tém bardziéj małoletniemi, które wedle zwyczaju pozostawały do lat siedmiu wyłącznie na pieczy matki. Trudność kierowania chłopcem wzrastała, w miarę jak zbliżał się czas edukacyi początkowéj. Kobiéta téj sfery, co Franiszka Goszczyńska, nie miała prawie możności

---

[1]) W. Przyborowski. „Tomasz Padurra“ w „Bibl. Warsz.“, 1872, IV, 410 i w „Tyg. Ilustr.“, 1872, N. 229.

[2]) Stecki. „Wołyń“, I, 56.

[3]) Tamże, 347—350.

uczyć dzieci osobiście, sama bowiem wykształcenie posiadała bardzo skromne. Nie była pewno staranniéj chowaną od ciotek pana Micowskiego, a ten świadczy, że one (wzorem ogółu kobiét ówczesnych) „umiały czytać, lecz tylko na Heroinie, lub innéj nabożnéj książce; na innych z trudnością, bo téż i książek nie było. Pisać jeszcze mniéj; litery były jak haftki, a zaś o pisowni i arytmetyce ani mówić; czytanie bowiem i pisanie było wyłącznie mężczyzn własnością" [1]).

Wiadomości o rodzicach Goszczyńskiego posiadamy zresztą bardzo mało. W jego własnych wspomnieniach, spisanych w późnym wieku, nic znajdujemy prawie żadnych danych do ich charakterystyki, co dziwniejsza jednego słowa ciepłego, poświęconego ich pamięci. Sięgając pamięcią w przeszłość, rad wydobywał z niéj to wszystko, co ją opromieniało, o rodzicach zaś—trudno orzec, czemu — nie miał w takich razach nic do przypomnienia. Stało się to może i dlatego, że naogół krótko przebywał z rodzicami w dzieciństwie. Po wstąpieniu do szkół, widywał się z nimi podczas wakacyi tylko, a przedtém w wieku, w którym zwykle dzieci nie wychodzą z pod oka rodzicielskiego, przebywał więcéj u dziadków Gurowskich w Sławucie, niż w Siomakach u rodziców.

Dla matki to sąsiedztwo jéj rodziców było bardzo na rękę. Niebawem po zamieszkaniu w Siomakach oddała Seweryna pod wyłączną ich opiekę. Chłopiec do domu bynajmniéj nie miał powodu tęsknić. Gurowscy, ludzie łagodni i poczciwi, kochali wnuka i pewno więcéj mu dogadzali, niż rodzice. Przytém Sławuta była weselsza od Siomak.

W owym czasie dziadek Gurowski, z powodu podeszłego wieku, przestał spełniać obowiązki strzelca i odpoczywał w domu na łaskawym chlebie. Babka podawnemu zarządzała pralnią. Pralnia dworska stanowiła osobny budynek, wzniesiony na wysepce wśród Horynia; tutaj było mieszkanie Gurowskich. Przy nich chowała się najmłodsza ich córka, Dorota, która dla Seweryna była w zasadzie ciotką, lecz że wyprzedzała go wiekiem zaledwo o lat parę, a z usposobienia pono bardziéj była dziecinną od niego, przeto w rzeczywistości nie mogła być dla niego niczém inném, jak Dosią i towarzyszką zabaw dziecinnych. Gdzieindziéj, zdaje się w pałacu, mieszkała siostra babki, Ulatowska, dozorczyni bielizny pałacowéj. Z pierwszego męża, Ogilby, miała ona syna Ignacego, z Ulatowskiego zaś (nie wiadomo, czy żyjącego wtedy), drugiego syna, Fortunata, prawie równego wiekiem z Sewerynem. Największą sympatyą Seweryna cieszył się naj-

---

[1]) M. Grabowski. „Pamiętniki domowe". Warszawa, 1845, str. 204.

starszy z tego grona Ignacy, wszyscy jednak: Dosia, Ignacy, Fortunat i Seweryn stanowili jedną dobraną, bawiącą się i swawolną bandę.

Seweryn Goszczyński — jak sam to późniéj wyznaje — przyniósł z sobą na świat ogromny zapas życia i nadzwyczajną żywość wrażeń. Nadmiar sił fizycznych wyładowywać musiał w dzieciństwie w szamotaniu się z otoczeniem i przyrodą. Książę Sanguszko, zoczywszy go pewnego dnia gdzieś w obrębie pałacu, nazwał go żartobliwie hajdamaką i ta nazwa musiała być trafną, skoro przylgnęła do niego na stałe. Blondyn, z żywemi oczami, krępy, w gruncie posiadający dobre serce, odznaczał się od dzieciństwa niezwykłą stanowczością i gwałtownością. Pewnego razu w przystępie gniewu chciał zepchnąć do wody swoją kochaną ciocię Dosię, aby ją utopić w nurtach Horynia. Sam nie bał się wody; parę razy omal nie przypłacił życiem swoich wypraw wodnych. Jeszcze gdy był w Siomakach, ledwo zdołano go uratować tonącego w kanale; w Sławucie załamał się z lodem na Horyniu. Organizm dziecka przeszedł ciężkie próby; że zwycięsko z nich wyszedł, dowodzi to niepospolitéj jego odporności. Jeszcze gdy zostawał pod opieką piastunki, spadł z huśtawki tak nieszczęśliwie, że przeciął sobie wargę. Późniéj chorował kilkakrotnie na różę w twarzy, spowodowaną jakoby tym wypadkiem; nabrzmienie wargi pozostało podobno na całe życie. Często przeziębiał się, stąd febry i reumatyzm, ciężko dające mu się we znaki [1]. Świéżo po wymoczeniu nóg, nie omieszkał przeziębić się tak niebezpiecznie, że wywiązany stąd reumatyzm groził utratą władzy w nogach. Cierpienia fizyczne w dzieciństwie tak żywo odczuwał, że pamiętał je całe życie. Zapoznał się w dzieciństwie na własnéj skórze ze wszystkiemi żywiołami, bo nawet z ogniem, kiedy raz, potknąwszy się, wpadł do płonącego kominka; i z oparzeń tych „wylizał się”.

Wypadki te świadczą niewątpliwie o wielkiéj żywotności organizmu dziecka, lecz z drugiéj strony rzucają światło na rodzaj wychowania, jakie odbiérał. W wychowaniu tém nie było nietylko pieszczot, puchów i słodyczy, lecz brakowało nawet i ochrony stałéj od elementarnych wpływów przyrody, czyhającéj na życie organizmu. Jeżeli się wychował, to tylko dzięki naturalnemu przystosowaniu się do warunków, wskazanych przez naturę. Można powiedzieć, że dziecko stoczyło z nią walkę zwycięską i doszło do milczącego z nią porozumienia, które z czasem zamieniło się w głęboko odczutą miłość poetycką dla „matki przyrody”. Późniéj, przeciwnościami życia osaczony,

---

[1]) W dzieciństwie również musiał chorować na ospę, bo koledzy szkolni (Aleksander Groza), jak zobaczymy niżéj, pamiętali go jako dziobatego.

w niéj będzie miał ucieczkę i wołać będzie do niéj „jak pieszczone dziecko, tuląc się do jéj łona: Przyrodo błogosławiona!” [1]).

Juliusz Słowacki w tym wieku, zgodnie z wymaganiami „pańsko-eleganckiego wychowania”, mówił już biegle po francusku i odznaczał się ułożeniem wytworném. Nie brak mu było żywości temperamentu, lecz dobry ton wychowania ochraniał go w zupełności od przygód takich, jakie miewał Seweryn Goszczyński. I z przyrodą był w eleganckich stosunkach, gdy „wybiegał na górę Zamkową, która macierzanką i drobnemi kwiatami, jakby kobiercem zasłana, wielką przedstawiała rękojmię bezpieczeństwa dla malca” [2]).

Mały Seweryn nie gardził pewno towarzystwem dzieci żydowskich, jak Julek; całe otoczenie sławuckie, w którém wzrastał, było mu potrzebne i pożądane, jeśli nie do miłowania, to do bójek. Dziecko za pierwsze wrażenia odpłaca się przywiązaniem zarówno do ludzi, jak do psów, do kamieni, do wszystkiego, co stale otacza. Jak Mickiewicz zachował w czułéj pamięci psa Kruka, który mu płaczącemu kromkę chleba zwrócił, tak i Seweryn nasz miał przyjaciela w psie, należącym do dziadka Gurowskiego. Pies ten wściekł się. Gdy to spostrzeżono, babka postanowiła pozbyć się go ku wielkiemu zmartwieniu dziecka. W tym celu użyła środka przez lud praktykowanego. „Odkroiła to, co nazywają w bochenku przylepką, wykroiła ośrodek, nasypała w miejsce wykrojone szczyptę soli, przykryła sól ośrodkiem i dała to biédnemu psu. Miała łzy w oczach, on także był bardzo smutny; wziął w pysk dany mu chléb i odszedł zwolna. Widzieliśmy go wkrótce na przeciwnym brzegu Horynia. Biegł szybko, zapuścił się wgłąb lasu i odtąd nie widziano go, ani słyszano o nim. Płakaliśmy wszyscy za nim.”

Jak widzimy „hajdamaka”, który w pasyi porywał się na życie cioci Dosi, w gruncie serce miał czułe i umiał się przywiązywać. Najbardziéj kochał babkę. Ona była najlepszą jego opiekunką, zastępowała w wychowaniu rodziców, ucząc go wraz z paciérzem miłowania ludzi. Gdy umarł dziadek, chodziła z Sewerynem co wieczór na cmentarz. Modlitwy, jakie tam odprawiała, miały dla dziecka pewien dziwny urok; była to — jak zapamiętał — przyjemność, połączona z tajemniczą trwogą, w której jednak nie było nic przykrego. W mieszkaniu babki wisiały na ścianie wizerunki św. Józefa i Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Dziecku przywidziało się i utrwaliło w przekonaniu,

---

[1]) Ob. wiersz p. t. „Matka przyroda“.

[2]) F. Hösick. „Z lat dziecinnych Słowackiego“ w „Bibl. Warsz.“, 1894, IV, str. 544.

że te wizerunki wyobrażają dziadków Gurowskich. Św. Józef trzymał tam dziecko na ręku, w drugiéj ręce lilię; z Jezusem bawił się Jan Chrzciciel. Wyobraźnia podszepnęła Sewerynowi, że to dziecko stojące przed Józefem, to ciocia Dosia. Od dziadka i babki nie znał on nikogo bardziéj poważnego, bardziéj czcigodnego; dosyć mu było spostrzedz cześć oddawaną postaciom na obrazkach, aby je wziąć za postaci swoich opiekunów. W tym początku religii dziecięcéj cześć dla świętych mogła się przez to podciągnienie tém mocniéj utrwalić w chłopcu, bo nad dziadków nikogo bardziéj nie poważał. Od tego naiwnego wyobrażenia nie mógł długo się uwolnić. Później wszystko, czego się dowiadywał o życiu świętéj rodziny, odnosił do starych Gurowskich.

Babka miała wielki wpływ na wnuka. W pół stulecia późniéj tak określał swój ówczesny stosunek do niéj: „Moja babka nie wdawała się ze mną w rozprawy teologiczne, nie wykładała mi tajemnic religijnych; jéj rozum pod tym względem nie był może wyższym od mojego. Była to prawdziwa chłopka wiarą, prawdziwe dziecię, mnie też nie przyszło nigdy na myśl zadawać jéj pytania w podobnym przedmiocie. Wystarczało mi widzieć jéj głęboką, szczerą wiarę, żyć w jéj atmosferze religijnéj. Pobożność jéj była tego rodzaju, tak pełna, tak prosta, tak żywa, że nie było miejsca dla żadnéj wątpliwości w przedmiotach jéj czci religijnéj. Nie zmuszała mnie do modlenia się; cała tajemnica jéj przemocy nademną była w jéj wielkiéj dla mnie miłości i w mojéj miłości dla niéj. Dlatego nie potrzebowała się udawać do rozkazów; było dla mnie potrzebą żyć wspólném z nią życiem, zespolić się z każdą jéj czynnością, brać w każdéj udział, nie zdając przed moim rozumem żadnéj sprawy z takiego postępowania. Dosyć mi było widzieć, że się modli, a ja natychmiast usiadłem lub klękałem obok niéj i modliłem się z nią.” Modlitwy te i przebywanie z babką wpłynęły, że chłopiec zaczął odmawiać paciérze z tą intencyą, aby go Pan Bóg zrobił świętym.

Wpływ podobny nie pozostaje bez śladu w późniejszém życiu, jeśli go nie zatrze gruntowne wykształcenie filozoficzne. Z łatwością będziemy spostrzegać te ślady w twórczości poety i jego działalności, pomimo odmienne wpływy szkoły i otoczenia późniejszego. Sfera, w któréj Goszczyński pędził lata dziecinne, społecznie dość upośledzona, nie została bynajmniéj dotkniętą prądem sceptycyzmu religijnego, idącego z zachodu przez górne warstwy społeczeństwa, w postaci filozofii francuskiéj. Śledząc losy naszego poety, trzeba pamiętać o tém, że pierwsze wychowanie odebrał od ludzi, żyjących w gruncie kulturą umysłową ludu.

Tkwiły już wówczas w dziecku rysy charakteru bardziéj złożone, jak np. pewnego rodzaju ambicya, polegająca na uporze w dochodzeniu do wszystkiego własną pracą. Samodzielność taką wykazał już, będąc małém dzieckiém, gdy się mówić uczył. Opowiadali mu starsi, że usłyszawszy wyraz, którego nie umiał jeszcze wymówić, chował się za piec i póty wyraz powtarzał, dopóki nie nabył wprawy w wymawianiu. Zanim to nastąpiło, zachowywał się, jak niemy, odpowiadając gestami. Ten instynkt samodzielności pomógł mu znakomicie w nauce czytania i pisania.

Czytać nauczył się nadzwyczaj prędko. Jednego dnia matka pokazała mu litery, nazajutrz już sylabizował. Na tém skończyły się lekcye matki; jeszcze w Siomakach zastąpił ją jakiś staruszek, lecz że nauczyciel, jak się pokazało, sam nie mocny był w sztuce czytania, powstawały więc między nim a uczniem spory, które matka rozstrzygać musiała. Trwało to krótko. Niebawem Gurowscy zaczęli posyłać chłopca do szkółki elementarnéj w Sławucie, gdzie nauczycielem był niejaki Bielicki. Wkrótce Seweryn opuszcza tę szkółkę z powodu śmierci Bielickiego (pierwszy raz Seweryn zobaczył trupa; zrobiło to na nim silne wrażenie) i poczyna uczęszczać do drugiéj szkółki elementarnéj, istniejącéj w Sławucie przy kościele. Tam uczył ks. Czarniecki. Postępy nie były pewno zadawalniające, skoro Seweryn powraca niebawem do nauki domowéj — pod kierunkiem pana Rymszy, który poduczył chłopca pisania. Widocznie szkółki elementarne w Sławucie nie odpowiadały wymaganiom rodziny, tém mniéj nauczyciele prywatni, o których było wtedy niezmiernie trudno. Chłopiec tymczasem szedł w lata; trzeba było myśléć o tém, aby nareszcie przebrnął trudności elementarza. Lokuje go wtedy rodzina w Zasławiu, gdzie istniała szkółka, utrzymywana przez księży misyonarzy. Przebywał podówczas w Zasławiu brat babki Gurowskiéj, Traczewski, pełniący obowiązki woźnego w urzędzie powiatowym, mieszkał zaś u organisty przy klasztorze Bernardynów. Tamże zamieszkał Seweryn pod opieką krewnego.

Pierwszy to raz wychylił się Seweryn po za obręb rodziny. Trzecie miasto z kolei poznawał, a i to należało także do Sanguszków. Zasław, oddalony 25 wiorst od Sławuty, leży, jak i ona, nad Horyniem. Położenie bardzo ładne, zabytków architektonicznych nie brak: trzy kościoły, zamek starożytny, w środku miasta, nad rzeką, na wysokiéj górze murowany lamus. Pod względem życia miasto martwe, ciche, zabytkami świadczące o lepszéj przeszłości [1]). Księża mi-

---

[1]) Stecki: Wołyń, 1, 304—334.

syonarze, utrzymujący tutaj szkółkę, w epoce komisyi edukacyjnéj, mieli pod swoją opieką wszystkie seminarya duchowne. Na tém polu starali się przeciwdziałać kierunkom liberalnym, panującym w szkołach świeckich i wychowywali księży bardzo ciemnych [1]). W szkółkach, zostających pod ich kierunkiem, panować musiał duch ten sam, co w seminaryach. Niewątpliwie dlatego babka Gurowska stawiała ich szkółkę wyżéj nad inne.

Nauczycielem Seweryna był tutaj Błoński, b. żołnierz wojska pruskiego, postać sztywna i nudna, męcząca chłopców w szkółce elementarnéj łaciną, do któréj Seweryn nie miał bynajmniéj pociągu.

Jak długo trwała tam edukacya, nie wiemy. Ogólnie tylko możemy zaznaczyć, że wyliczone dotąd koleje edukacyi Seweryna trwały około trzech lat. W lecie bowiem 1810 r., kiedy oddany został do szkoły wydziałowéj, liczył dziewiąty rok życia, a trudno przypuścić, aby Goszczyńscy rozpoczęli naukę elementarną z dzieckiem, nie mającém pięciu lat życia. Ten długi szereg prób edukacyjnych, w tak krótkim czasie wykonany, świadczy, że nauka początkowa szła Sewerynowi ciężko. Lecz że nie brak zdolności w chłopcu był tego przyczyną, to pewna.

Mamy częste przykłady, że dziecko, chowane po wiejsku, na wolności, w bezpośredniém zetknięciu z naturą, nie zawsze w początkach samych bywa podatném na kulturę książkową. Umysł, rozrzucony na tysiączne obserwacye w żywéj przyrodzie, niełatwo daje się skupić na abecadle, jako głównem źródle przyszłéj wiedzy, nie mówiąc już o tém, że dla dziecka takiego nierównie ciekawszém i weselszém jest podwórze, niż stolik i książka. Seweryn mógł nie stanowić pod tym względem szczególnego wyjątku. Był „hajdamaką”, nęciły go brzegi Horynia, zabawy z rówieśnikami i psami, lecz z drugiéj strony, jak widzieliśmy, było to dziecko zdolne i ambitne. W dwa dni nauczył się sylabizować; potrzeba mu tylko wskazówek, a sam ćwiczy się w czytaniu i pisaniu i to, co sam zdobędzie, sprawia mu największe zadowolenie. Jak sam wyznaje w pamiętnikach, łacina Błońskiego nie miała dla niego uroku, ale jednocześnie uczy się z własnéj ciekawości języków: niemieckiego, francuskiego, ruskiego i cerkiewnego. Wobec tego owo kilkakrotne oddawanie dziecka do szkółek, cofanie go stamtąd i zmiany nauczycieli tak częste tłómaczyć można tém, że opiekunowie nieumiejętnie nim kierowali. W tych sferach ludzie nie zwykli się troskać o indywidualność dziecka, a ta w Sewerynie była znaczna i domagała się starannego uwzględniania. Dla rodziców ma-

[1]) J. Łukaszewicz. „Historya szkół w Koronie“, II, 433—435.

ło ukształconych potrzeba kształcenia dziecka, zwłaszcza pierworodnego, jest niespodzianką, zaskakuje ich nieprzygotowanych. Pierwsze dziecko w takiéj rodzinie to jednak zyskuje, że rodzice pragną je kształcić, wykierować na człowieka, choćby dlatego, że przyjście jego na świat najwięcéj radości im sprawiło. Późniéj, gdy w domu Goszczyńskich ilość dzieci zwiększy się niepomiernie [1]) do środków utrzymania rodziny, rodzice może nie byli w możności ich kształcić. Seweryna, pomimo ciężkich warunków materyalnych, oddadzą do szkół, ufni, że zdobędzie pozycyę w świecie i stanie się podporą ubogiéj rodziny. Był czas, że Goszczyńscy rachowali na pomoc dziedzica Pruszyńskiego, którego tak zainteresowały zdolności Seweryna, że miał rzucić obietnicę, iż sam zajmie się jego edukacyą. Nie doszło do tego i może lepiéj się stało, że samodzielnie przebijał się przez życie, bez zobowiązań względem ludzi mu nierównych.

II.

Łatwość umieszczenia syna w szkołach była znaczna. Według statystyki urzędowéj w r. 1820 ze wszystkich okręgów naukowych Cesarstwa najwięcéj szkół, nauczycieli i uczniów posiadał okręg wileński. W całém państwie było w tym roku 1433 szkół, kierowanych przez 4,136 nauczycieli, a liczących ogółem 61,918 uczniów; z liczb tych na okręg wileński przypadało 430 szkół, 983 nauczycieli i 21,174 uczniów [2]). Stosunek podobny musiał istnieć i wcześniéj, w chwili, gdy Seweryn Goszczyński do szkół wstępował. Do okręgu wileńskiego należały szkoły, znajdujące się w guberniach: wileńskiéj, grodzieńskiéj, mińskiéj, witebskiéj, mohilowskiéj, podolskiéj i kijowskiéj. Najnowsza organizacya tych szkół istniała od r. 1803. Według ustaw uniwersytetu wileńskiego, ogłoszonych przy Ukazie Cesarza Aleksandra I-go z d. 18 maja 1803 r., uniwersytet podlegał ministrowi oświecenia i pozostawał z całym okręgiem naukowym pod bezpośrednim zarządem wyznaczonego przez rząd kuratora (Adama Czartoryskiego). Uniwersytet miał „w bezpośrednim dozorze i rządzie” wszystkie gimnazya i szkoły, bę-

---

[1]) Z rodzeństwa Seweryna znane mi są imiona czterech sióstr: Tekli, Anny Emilii i Maryanny, oraz 5 braci: Władysława, Faustyna, Hieronima, Antoniego i Cyryla. Dwaj ostatni i najmłodszy synek, którego imienia nie znam, zmarli w niemowlęctwie. Chowało się tedy rodzicom ośmioro dzieci.

[2]) „Dziennik wileński“, 1822, I, 278 według Dzien. Departam. narod. oświec. 1821, III, 502.

dące w jego okręgu [1]). Każda gubernia miała posiadać, wedle ustaw, jedno gimnazyum, każdy powiat — przynajmniéj jedną szkołę powiatową. W gimnazyum było, prócz przygotowawczych, sześć klas: dwie niższe i cztery wyższe.

Tak wyglądał w ogólnych rysach aparat ówczecnego szkolnictwa w okręgu wileńskim. Jak widzimy ze statystyki, głęboko sięgało jego działanie: wydobywał rocznie około 20 tysięcy młodzieży przeważnie męskiéj [2]) z głębi społeczeństwa mało oświéconego i poddawał je kulturze umysłowéj.

Organizacya szkolna z r. 1803 odziedziczyła ten aparat po komisyi edukacyjnéj. Wewnętrzne urządzenie szkół, zwanych dawniéj wydziałowemi i podwydziałowemi, pozostało, z małemi zmianami, w téj postaci, w jakiéj je zakréśliła w ustawach komisya w r. 1783. Pozostał więc, jak zobaczymy niżéj, dawny program nauk szkolnych, nacechowany dążnością przystosowywania nauki do celów życia praktycznego, oparty na zasadach racyonalizmu „wieku oświecenia". Pomimo zupełnéj sekularyzacyi szkół, większość zakładów szkolnych w okręgu wileńskim pozostała jeszcze w rękach duchowieństwa zakonnego.

Na Wołyniu, w epoce, interesującéj nas obecnie, nastąpił silny rozwój szkolnictwa dzięki działalności Tadeusza Czackiego, który założył gimnazyum w Krzemieńcu (w r. 1805) i otaczał troskliwą opieką szkoły zakonne.

Jedną z takich szkół mieli w pobliżu Goszczyńscy, mianowicie szkołę pijarską w Międzyrzeczu Koreckim. Szkoła ta głośna była na cały Wołyń już w początkach XVIII-go w. Dobrze uposażona (przez Lubomirskich), kierowana przez najuczeńszych członków zgromadzenia, jak: Jodłowskiego (1755), Aleksandra Szybińskiego, pomimo konkurencyi kolegiów jezuickich, nawiedzana była licznie przez zamożniejszą młodzież. Za rektorstwa Szybińskiego w r. 1784 kształciło się w niéj 250 uczniów [3]); jednakże u szczytu powodzenia stanęła szkoła międzyrzecka za czasów wizytatora Czackiego. Rozwój ten zawdzięczała przedewszystkiém gorliwéj i światłéj opiece Wacława Borejki,

---

[1]) „Ustawy czyli ogólne postanowienia" i t. d. w Balińskiego dawna Akademia wileńska, Petersburg, 1862, od 559.

[2]) Podług wyżéj cytowanéj tablicy statystycznéj ilość dziewcząt, kształcących się w szkołach, stanowiła w okręgu dorpackim 31% ogólnéj ilości uczniów, w petersburskim—20%, w charkowskim—6%, w wileńskim zaś okręgu tylko 5%.

[3]) J. Łukaszewicz: „Historya szkół", IV, 217—18

współpracownika Czackiego w komisyi sądowo-edukacyjnéj, późniéj (po śmierci Czackiego, 1813) prezesa téjże instytucyi [1].

Dla uczniów, nie przygotowanych do klasy pierwszéj, istniały klasy przygotowawcze, w których nauka zaczynała się od czytania i pisania. Do tych klas w początku roku szkolnego 1810/11 zapisany został Seweryn, liczący wówczas dziewiąty rok życia.

Mógł udowodnić, że jest biédnym, lecz czy wzięto go na koszt funduszów edukacyjnych, o co mogła konkurować szlachta niezamożna, jest rzeczą wątpliwą. Do zakładania komitetów dla uczniów „funduszowych”, na które sama szkoła nie miała środków dostatecznych, zarząd szkół zachęcał bogatych obywateli. Tutaj mógł zdziałać wiele ówczesny właściciel Międzyrzecza, Jan Stecki. Magnat ten jednak odznaczał się skąpstwem, „aż do sknerstwa”. Nabywszy pod koniec XVIII-go wieku włości międzyrzeckie od Lubomirskich, rozpoczął swoje rządy od walki z Pijarami, którym zmniejszał co roku stopę procentową od sumy erekcyjnéj 100 tysięcy złp., po dawnych właścicielach na Międzyrzeczu pozostałéj. Nie żałował piéniędzy na wybryki wielkopańskie, na wzniesienie pięknego pałacu dwupiętrowego, a z drugiéj strony procesował się z Pijarami o grunta, o budynki klasztorne, dopóki komisya Czackiego stosunków tych nie uporządkowała. Dopiéro po śmierci Jana Steckiego (w r. 1814) syn jego, Józef, podobno zainteresował się szkołą, pragnąc zrobić z Międzyrzecza Ateny wołyńskie [2].

Seweryn zamieszkał w gospodzie uczniowskiéj, utrzymywanéj przez Borewiczową. Opiekunem jego w gospodzie, z ramienia władzy wyznaczonym, t. zw. dyrektorem (po naszemu korepetytorem) był uczeń klas wyższych téjże szkoły, niejaki Godlewski.

W szkole powodziło się chłopcu doskonale. Prawdopodobnie uczęszczał do oddziału niższego w „szkole poczynających”, gdzie nauczyciel wykładał „naukę czytania, pisania, katechizmu i liczenia; tudzież sposobił ich (uczniów) do klasy pierwszéj przez wykład gramatyki na tęż klasę w uwagach, ściągających się do języka polskiego. Wprawiał ich nadto w przypadkowanie imion, zaimków i czasowania słów” [3]. Nauka szła mu z łatwością, cieszył się łaskami nauczycieli,

---

[1] Obfite dowody téj gorliwości o dobro szkoły międzyrzeckiéj można znaléść w archiwum Borejki, przechowywaném w Bibliotece ordynacyi hr. Krasińskich.

[2] T. J. Stecki: „Z boru i stepu“. Obrazy i pamiątki. Kraków, 1888, str. 140.

[3] Wykład nauk, dawanych w szkole publicznéj międzyrzeckiéj powiatu rowieńskiego u ks. Pijarów od dnia 1 września 1814 do dnia 1 lipca 1815 (b. m. i r.)

a szczególnie prefekta, ks. Seweryna Kulikowskiego, najważniejszéj figury w szkole.

Nie miał jednak szczęścia do łask u swego dyrektora, Godlewskiego, nie posiadającego, jak się pokaże, kwalifikacyi pedagogicznych.

Od czasów *Ustaw* komisyi edukacyjnéj, zasady wychowania odznaczały się, w porównaniu z kierunkiem dawniejszym, niezwykłą humanitarnością. Wedle brzmienia ustaw, uczeń „powinien na siebie poglądać, jako na młodego obywatela, który się sposobi i do tego dąży, aby się stał obywatelem dojrzałym"; uczeń „z szczeréj swojéj chęci i ochoty, a nie z dozoru i przymusu przykładać się winien do wszystkich powinności" [1]. Ustawy polecały nauczycielom „na zapytania uczniów odpowiadać grzecznie, uprzejmie, pomnąc, że z dziećmi rozsądnemi sprawa. Starać się... o poznanie charakteru, skłonności, przymiotów każdego ucznia, pozwalać, owszem, zachęcać, aby uczniowie poufale względem tego, co mówi (nauczyciel), pytania i wątpliwości czynili" [2].

Dyrektora zadaniem było zastępować wpływ szkoły w życiu domowém ucznia; dyrektor, przebywając z uczniem dłużéj, niż każdy nauczyciel, mógł być wielką pomocą dla szkoły w wychowaniu moralném dzieci. To téż instrukcya dla dyrektorów była bardzo starannie przez komisyę opracowana. Starano się w nich wpoić zasadę, że ich obowiązkiem jest dawać uczniom „dobry przykład tak w czynach jak w mowie", bo edukacya moralna „więcéj na *wprawie i na rzeczywistém prowadzeniu ku dobrym obyczajom* zależy, niż na upominaniach, przestrogach i namowach moralnych". Zarówno ten pogląd na znaczenie wprawy w etyce, jak i zasada łagodnego postępowania z uczniami należały do rzeczy w szkolnictwie nowych, z któremi trudno się było oswoić kierownikom i wychowańcom szkół zakonnych. Dyrektorowie zalecone mieli postępować z uczniami „łagodnie, nie fukliwie, wystrzegać się wyrazów obelżywych, zapalczywości... Najwięcéj wpajać w dzieci punkt honoru i uczciwość". A kiedy uczeń na karę zasłuży, dyrektor „opowie mu naprzód winę, przełoży jéj skutki, zawstydzi, ale nigdy w zapalczywości karać nie będzie". Dyrektorzy dalekimi być powinni od fukania, popędliwości, złości i zemsty, używania słów zelżywych, przezwisk, przekleństw, katowania i morderstwa. Niechaj wiedzą, że temi nieludzkiemi sposoba-

---

[1] J. Łukaszewicz: „Historya szkół, II, 300.

[2] Tamże, 286.

mi nietylko nic nie wskórają, ale nawet, że do użycia onych nie mają najmniejszego prawa i wolności udzielonéj sobie [1]).

Kierunek ten obowiązywał szkoły okręgu wileńskiego, na równi z innemi zasadami komisyi, o ile przez nową ustawę nie zostały zniesione [2]). Etyka obyczajów szlacheckich, z niezwykłą surowością normująca stosunki między ludźmi nierównymi sobie pod względem stanu i wieku, nie mogła tak prędko przejąć się pojęciami, tak liberalnemi. Godlewski był jaskrawym tego dowodem. Był to człowiek namiętny i nietaktowny, przytém oddający się nałogom. Często upijał się, a w takim stanie będąc, tracił równowagę do reszty i powierzonych swéj pieczy malców krzywdził. Seweryn, jak wiemy, miał wiele ambicyi i zaciętości; człowiek rozsądny łatwo mógł spostrzedz, że z dzieckiem podobnego charakteru przemocą nic wskórać nie można. Godlewskiego drażnił charakter chłopca i popijanemu obił go raz i drugi. Widząc, że bicie nie wywiéra na nim pożądanego wrażenia, bił więcéj i coraz częściéj. Wywiązała się oryginalna walka dziecka z przełożonym. Zaczyna tak postępować, aby zasłużyć na chłostę, a podczas egzekucyi nie pokazać po sobie, że go ona choć cokolwiek obchodzi. Chłopiec czuł, że w ten sposób doprowadzić może dyrektora do największéj pasyi, do tego stanu upokorzenia, w którym strona, pognębiona fizycznie, góruje nad zwycięzcą przewagą moralną. Poczucie, że jest karany niesprawiedliwie, sprawiało mu wielką satysfakcyę. Im srożéj chłostał go Godlewski, tém zaciętszym się stawał i doprowadził się do takiego stanu, że — jak sam wyznawał — nie czuł bólu, lecz owszem pewnego rodzaju „istotną rozkosz”.

Przy takich operacyach zastawała Godlewskiego gospodyni Borewiczowa. Wylewała wtedy łzy nad biédnym Sewerynem, a nieraz omywać go musiała ze krwi... Być może, dopiéro widok krwi dawał panu Godlewskiemu pewne zadowolenie, gdy łez nie mógł się doczekać. Lecz, gdy sceny takie zbyt często zaczęły się powtarzać, poczciwa Borewiczowa oskarżyła dyrektora przed rodzicami i zabawę Godlewskiemu przerwano.

Niewątpliwie nietylko Godlewski, lecz i żaden z dyrektorów, jak Międzyrzecz Międzyrzeczem, nie mieli dotąd tak twardego pod rózgami materyału. Świadkowie tych scen, a nawet sam Godlewski w chwili upamiętania, mogli zauważyć, że jakąś niepospolitą naturę ma ten chłopiec i zadać sobie pytanie: co z niego będzie w przyszłości? Czy pamiętanie własnéj krzywdy i bólu nie stanie się zarodkiem współczu-

---

1) Tamże, 304 i 310.

2) Ob. art. 53 Ustaw wileńskiego uniwersytetu z r. 1803.

cia dla innych, gdy nauka i otoczenie rozszerzą zakres jego myśli i uczuć? Czy nie zacznie protestować wtedy przeciwko wszelkiéj krzywdzie i z walki przeciwko niéj nie zrobi głównego zadania swego życia?

Przypuścić można, że Godlewski nie miałby takiéj swobody postępowania w konwikcie zamożnym z dziećmi pańskiemi; na biédnéj stancyi, mało doglądanéj przez władzę szkolną, nie robił sobie ceremonii. Tutaj pierwszy raz, znalazłszy się w liczném zbiorowisku młodzieży zamożnéj, dobrze odzianéj i obsłużonéj, mógł Goszczyński uczuć się przez los upośledzonym. Oddalony od Sławuty i łąk nad Horyniem, gdzie bujał szczęśliwy i wolny, tutaj wpadał pewno nieraz w tęsknotę, właściwą naturom uczuciowym. Takie chwile wspominał późniéj, pisząc wiersz p. n.: „Tęsknota”:

Kiedym się w kwiatek życia rozwijał,
Kiedy uczucia w pączkach jeszcze spały,
Strumyk tęsknoty czysty był i mały
Rajskie widziadła na dnie odbijał.

Pokornie płynął, a jeśli wylał,
Chętnie skąpałem serce w jego wodach;
Wybrnąłem we łzach, jak w rosy kryształach,
Łzami, jak rosą, życie-m umilał.

Że ten strumyk tęsknoty czysty był i mały i że odbijał w sobie „rajskie widziadła”, było to w pewnéj części zasługą Borewiczowéj. Osoba ta w poczciwości serca zbiérała koło siebie wieczorami drobiazg uczniowski i słodziła mu chwile utrapienia szkolnego ciekawemi opowiadaniami. Miała pełną głowę podań tajemniczych, wiadomości nadzwyczajnych i roztaczała chętnie „rajskie widziadła” nad „strumykiem tęsknoty” dzieciaków. Opowiadała im z upodobaniem dziwne rzeczy o dziedzicu Międzyrzecza, Janie Steckim, o jego farmazonii, o tém, jak przyszedł na świat po śmierci matki, jak go chowano w brzuchu świni. O Steckim było dużo do opowiadania. Był to, jak mieliśmy już próbkę, jeden z dziwotworów nienormalnie ukształconych stosunków społeczeństwa, pozostałość chorobliwa przeszłości, niby *memento* dla młodego pokolenia. Skąpiec, posuwający egoizm do cynizmu, do późnéj starości żenił się i rozwodził. Dla rozrywki urządzał polowania. „Sto koni, pozaprzęganych do kutych malowanych wozów, łowczy, podłowczy i cała armia w barwę pańską przybranych strzelców, wyruszała w lasy; puszcza dudniała, otaczano ostępy, rozciągano sieci, a żaden najdrobniejszy szaraczek ujść stąd nie zdołał. Przez kilka dni nieraz w podobny sposób przejeżdżał się pan chorąży po obszernych swych lasach, ciągnąc za sobą swą improwizowaną armię ło-

wiecką. Kronika tych pochodów żyje jeszcze i podobno długo żyć będzie na Wołyniu" [1]). Nic więc dziwnego, że za życia interesowano się oryginałem w Międzyrzeczu, gdzie był panem wszechwładnym.

Przez Borewiczową dochodziły również do Seweryna wierzenia ludowe. Opowiadała mu, że zwierzęta w pewnych chwilach przemawiają po ludzku, że są koguty, mające w ogonie piórko anielskie, i przez to są w możności i śpiew aniołów słyszéć i porozumiewać się z niemi i t. d. W ten sposób pomimo przeciwnego wpływu szkoły, dzięki otoczeniu samemu, zbiérał się w umyśle Seweryna zapas „prawd żywych" romantyzmu. Późniéj, gdy mu wypadnie przemawiać „Do młodego poety", posiłkować się będzie Borowiczową:

Jest u nas ptak tajemniczy,
Pióro anioła dziedziczy;
Po takiém piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się pienia...

I doradzać będzie wbrew zasadom ze szkoły wyniesionym:

Zatop się w twoje uczucie,
A będziesz jako ci ptacy... [2])

Na wakacye przyjechał Seweryn do Siomak z listem pochwalnym. Ojciec tego lata stracił miejsce w Siomakach. Zapewne nie dobrowolnie je porzucał, bo na razie nie miał zapewnionéj posady nowéj. Nie wiedząc, w którą stronę wypadnie się udać za chlebem, nie odwiózł syna po wakacyach do szkoły; może nie zrobił tego dla braku środków. W jesieni dopiéro znalazło się miejsce, daleko od Siomak, aż w Nowym Konstantynowie na Podolu. Kiedy nadszedł czas przeprowadzki, Goszczyński jadąc z Sewerynem na wózku, pokazywał mu okolice. Jechali długo lasami do Szepetówki, potém otoczyła ich piękna okolica, pełna wzgórz i lasków, malownicza, pełna nowości dla chłopca, dla ojca pełna wspomnień, rozrzewniających serce, stwardniałe w trosce o chléb powszedni. Przejeżdżali przez Zieleńce, Starokonstantynów, Sieniawę nad Bug. Ojciec wskrzeszał sobie w pamięci dzieje z przed lat ośmnastu i z przejęciem opowiadał je synowi.

---

[1]) T. J. Stecki. „Z boru i stepu", 140.

[2]) Wierzenie, o którém mowa, znane jest w polskiéj literaturze etnograficznéj. Porównaj: Z. Gloger. „Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego" w „Zbiorze wiad. do antr. kr.", I, 101; ks. Siarkowski. „Podania i legendy". Tamże, VII, 111.

Opowiadania te zrobiły głębokie wrażenie na chłopcu: wiadomo nam z pamiętnika jego, że im zawdzięczał pobudkę i treść do pierwszych prób poetyckich.

Trzy lata zeszło, zanim Goszczyńscy oddali syna z powrotem do szkoły. Była to wielka krzywda dla dziecka w tym wieku. W pamiętniku poety istnieje wzmianka, odnosząca się do tych lat, o nauce w starym pałacu Czartoryskich, o nauczycielach Stepnowskim, Awderskim, którzy uczyli go łaciny, francuskiego i niemieckiego, o jakimś szewcu udzielającym mu nauki języka starocerkiewnego; trudno jednak z tych wzmianek dowiedzieć się, czy to była nauka stała, czy dorywcza, czy dostarczali mu tych nauczycieli rodzice, czy też Seweryn korzystał z tych lekcyi przy innych dzieciach w domu zamożniejszym, np. u Rembertowicza, geometry, z którego rodziną Goszczyńscy weszli w zażyłość. Że nauka nie musiała być systematyczną, widzimy z jéj owoców; przez te trzy lata Seweryn postąpił w naukach tyle tylko, że w r. 1814-ym, jak zobaczymy, przyjęto go zaledwo do klasy pierwszéj. Gdyby go nie odbiérano ze szkoły, zapewne w r. 1812 znalazłby się już w téj klasie.

Pod względem rozwoju fizycznego i duchowego lata te nie były zmarnowane dla Seweryna. Siłą mięśni i wzrostem przewyższał rówieśników. Że wcześnie dojrzewał, mamy dowód w tém, iż pod r. 1811-ym zapisał w pamiętniku wiadomość o pierwszym „romansie" swoim. Było to podczas ostatnich wakacyi, spędzonych w Siomakach, kiedy zapałał miłością platoniczną do niejakiéj Maryanny Sokolnickiéj.

Ma już zamiłowanie do książek. Ciotka Poletajewowa przysłała mu w upominku zbiór książek francuskich; tych czytać wtedy jeszcze nie mógł, nie znając języka, lecz spotykał polskie tłómaczenia dzieł francuskich. Po za literaturą francuską nie było wtedy lektury; mnożące się od połowy XVIII w. przekłady polskie uprzystępniały ją młodzieży. Z przeczytanych w owym czasie książek największe wrażenie wywarły na nim, jak sam w pamiętniku powiada: „Gonzalw z Korduby" [1]), „Zburzenie Jerozolimy" i „Dzieje Karola XII" Woltera. Rzeczy przeczytane przejmują uczuciowego chłopca tak żywo, że wywołują w nim dążenie do czynu na równi z wypadkami rzeczywistemi, w których udział się bierze. Porywała go średniowieczczyzna, pełna

---

[1]) Jan Piotr de Claris Florian. „Gonzalw z Korduby czyli odzyskanie Grenady, z opisaniem historycznêm Maurów" przełożył z francuskiego Jan Nowicki, t. 2. Wilno, 1803.

czynów rycerskich i porywów ideologicznych. Marzył o wyswobodzeniu Palestyny, idealném jéj urządzeniu oraz o sposobach zdobycia potrzebnych na to skarbów.

Atmosfera, napojona sławą czynów rycerskich Napoleona i śmiałych jego przedsięwzięć, których jeden akt odgrywał się wówczas tak blisko nad Berezyną — sprzyjała temu nastrojowi. Czyny wielkiego Korsykanina były ostatnim błyskiem wojowniczego ducha ludzkości przed-mieszczańskiéj. Dla społeczeństw, mających uregulowane formy bytu, czyny podobne, będą anachronizmem, tém bardziéj niezrozumiałe będą ideały oswobodzania Jerozolimy, choćby Wiednia. Te skarby, o których marzył młodzieniec, aby z ich pomocą urządzić Palestynę, o ile istnieją, mają inne przeznaczenie: użyte do wytwarzania bogactwa, dają stały procent i zwią się kapitałem. Za jego sprawą nad dawnemi pobojowiskami wznoszą się w Europie spokojne dymy fabryk. W rodzinnych stronach Goszczyńskiego potrzebny on będzie wkrótce dla przemysłu cukrowniczego. Porywy jednak szlachetne, choćby najbardziéj na swój wiek romantyczne, nie idą na marne; kapitalizują się w sercu, w skarbnicy czynów, i przy sposobności znajdą ujście w życiu. Mamy tego dowód na Sewerynie Goszczyńskim.

Nareszcie we wrześniu 1814 r. znalazł się on z powrotem w szkole, mianowicie w gimnazyum podolskiém w Winnicy. Z Nowego Konstantynowa do Winnicy było daleko (pięćdziesiąt kilka wiorst), lecz rozgłos szkoły winnickiéj jeszcze daléj sięgał. Tego lata właśnie odbyło się jéj otwarcie, którego nie doczekał się już fundator jéj Czacki. Rektorem gimnazyum został ks. Michał Maciejowski, ex-Pijar, były dyrektor gimnazyum białostockiego, człowiek uczony i ambitny. Pragnął on na Podolu odegrać rolę Czackiego [1]). Jemu to gimnazyum winnickie zawdzięcza szybki rozwój i zamożność. Prefektem gimnazyum był ks. Zajączkowski.

Seweryn zamieszkał w dworku państwa Biernackich, tuż nad Bugiem. Wybór gospody tym razem lepiéj się udał, niż w Międzyrzeczu. Dyrektorem był syn gospodarstwa Wiktor Biernacki; młodszy brat Wiktora Mikołaj, starszy od Seweryna o jedną klasę, należał do najbliższych jego przyjaciół.

Gimnazyum składało się z dwóch oddziałów: szkolnego i gimnazyalnego. W oddziale szkolnym było trzy klasy przygotowawcze. Seweryna przyjęto do klasy pierwszéj gimnazyalnéj. Szkoła była

---

[1]) Przezdziecki Al. „Podole, Wołyń i Ukraina“. Wilno, 1841, II, 65—66.

świecka, nauczycielowie świeccy. W klasie pierwszéj główne przedmioty podzielone były między dwóch nauczycieli. Naukę moralną, geografię i arytmetykę wykładał Kazimierz Komarnicki.

Wykład nauki moralnéj, wedle sprawozdania szkolnego, polegał na „daniu dzieciom pierwszych wyobrażeń moralności". Nauczyciel wychodził z założenia, że zasady moralne wyrabia doświadczenie. „Najpierwsza nauka doświadczenia, od natury podana, staje się szkodliwą i niedostateczną, bo ani sami wszystkiego doświadczać możemy, ani takowe doświadczenia byłyby dla nas pożyczne. Stąd okazał nauczyciel dzieciom potrzebę uważania, czytania i używania doświadczeń tylu ludzi byłych na świecie, aby z nich pożytkować i ten jest właśnie zamiar wszelkich nauk moralnych. Z ogólnego wyobrażenia moralności przechodzi nauczyciel do najpierwszéj dziecinnéj społeczności, którą mają z rodzicami. Każda społeczność zasadza się na wzajemnych powinnościach i należytościach członków one składających, stąd wypadają powinności rodzicielskie, które względem dzieci będą należytościami i powinności dzieci ku rodzicom" [1]. W szczególności nauczyciel Komarnicki wykładał uczniom w téj klasie o obowiązku wdzięczności i uszanowania względem rodziców.

Co się tyczy geografii, tenże nauczyciel pouczał „jak się ta nauka dzieli i jakie do niéj wpadają nauki, od których geografia nazwisko przybiéra. Dzieci w téj klasie już są wprawne w ćwiczenia umysłu, nic więc nie przeszkadza, że usłyszą tu pierwsze wyobrażenia téj nauki, którą w klasach gimnazyalnych systematycznie przechodzić mają. Z téj przyczyny nauczyciel w krótkich pytaniach i odpowiedziach zawiéra wszelkie wyobrażenia do poznania kuli ziemskiéj, jéj odmian, biegu i podziału służące, do poznania wszelkich znajdujących się części tak stałych, jak i płynnych, do poznania wszelkich produktów" i t. d. [2]. Nauka ta odbywała się przy pomocy kart geograficznych.

W nauce rachunków ograniczano się w téj klasie czterema działaniami arytmetycznemi, przyczém, wedle zasady ogólnéj, teoryę poprzedzały przykłady. I tutaj nauczyciel nie kładł nacisku na pamięć i rutynę, lecz skupiał myśl uczniów na zasadach ogólnych, aby rozumieli np., że mnożenie i dzielenie są skróceniem i kombinacyą dodawania i odejmowania [3].

---

[1]) „Wykład nauk i sposobu tychże dawania w gimnazyum podolskiém". Berdyczów, 1816, str. 13.

[2]) Tamże, 14. — [3]) Tamże, 13.

Gramatykę polską i łacińską wykładał w téj klasie Tomasz Jurkowski, posiłkując się podręcznikiem ks. Kopczyńskiego (część I-sza). Wiemy ze sprawozdania, wyżéj cytowanego, że nauczyciel, począwszy od zasad ogólnych mowy ludzkiéj, przechodził „z uczniami ośm części mowy i ich odmiany, a ciągle porównywając wyrazy ojczyste z odmianami wyrazów łacińskich, przyzwyczaja nieznacznie uczniów, aby obcy język porównywali ze swoim, przekonywując ich, że tylko przez doskonałe poznanie swojego języka do doskonałości obcych przyjść mogą" [1]. Wykład kończył się w klasie pierwszéj na składni szyku, zgody i rządu. Nauczyciel starał się oswoić uczniów z „pięknościami języka" na wzorach; używał w tym celu „bajeczek i przypowieści Krasickiego, w słodkim wierszu najprostsze zawierających wyobrażenia moralne, które oraz ćwiczyły pamięć dziecinną i służyły do praktycznéj wymowy w pięknéj deklamacyi". W nauce łaciny używano wypisów Gedyka, a przy czytaniu „najmniejszy rozbiérano wyraz". Dla wprawy w obu językach zadawał nauczyciel ćwiczenia: z początku przypadkowanie i czasowanie, pod koniec roku — łatwe tłómaczenie z polskiego na łacinę [2]. Po za temi lekcyami uczniowie „formowali charaktery (kaligrafia)" i wprawiali się w rysowanie mapek.

Seweryn odznaczał się w naukach, przyswajając je z łatwością, w czém mu pomagała niepospolita pamięć. Celuje w wypracowaniach i próbuje pisać prozą; zanotował to we wspomnieniach, chociaż w programie nie widzimy, aby na tę klasę przepisane były ćwiczenia. Dla fantazyi znalazł obfity pokarm w książce „Tysiąc nocy i jedna", którą z wielkiém upodobaniem przeczytał.

Z kolegów swoich poznał bliżéj Tomasza Padurrę, rówieśnika i towarzysza z lat niemowlęcych, trzech braci Kożuchowskich i trzech Miłkowskich (Antoniego, Ignacego i Erazma).

Na popisie szkolnym, odbytym w ostatnich dniach czerwca, otrzymał list pochwalny [3]. O tym to popisie, pierwszym od otwarcia gimnazyum, pisał do znajomego, mieszkającego w Kijowie, sędzia winnicki Dyonizy Korzeniowski: „Mieliśmy rozkosz patrzéć na wysoki postępek młodzieży w téj szkole. Prawda, że i dawniéj z tutejszych uczniów (za czasów szkoły wydziałowéj) szkoła krzemieniecka brylantowała koronę chwały swojéj, w liczbie których był p. Piotr Czarnomski, Sienkiewicze, Błotnicki, Sawicki, Sienkiewicz osobny i wielu in-

---

1) Tamże, 12. — 2) Tamże, 11—13.

3) Jak popisy w Winnicy się odbywały, ob. „Programma popisów publicznych całorocznych w gimnazyum podolskiém w Winnicy w dniach 27, 28, 29 i 30 czerwca, w sali biblioteczném odprawić się mających 1818 r." (b. m. i r.).

nych. Jednak ten rok nieporównaną pokazał wyższość. Wybrany dyrektor ks. Maciejowski i odmienni profesorowie szczęśliwie zjednali skutki swéj pracy przez trafne wpojenie ambicyi, emulacyi i gustu do nauki w serca młodzieńców. Co bardzo dotykalnie osłodziło rodzicom i opiekunom ich trudy i koszta dla dzieci robione. Było spektatorów w czasie egzaminów publicznych więcéj 200 osób przez całe trzy dni, którzy zapewne nie odmówią sprawiedliwego świadectwa, godnym tym nauczycielom należnego" [1].

(D. n.) *Zygmunt Wasilewski.*



[1]) Sylwester Wężyk Groza. „Pamiątki i wspomnienia rozmaite". Wilno 1848, str. 82.

O ZMYŚLE STATYCZNYM.

I.

W naszym wieku dopiéro, z inicyatywy fizyologa francuskiego, Flourensa, zrobiono odkrycie, iż ucho służy nietylko do odczuwania podraźnień akustycznych, ale także do percepowania równowagi, jak i wszelkich ruchów i obrotów głowy, względnie całego ciała. Odkrycie to początkowo mało na siebie zwracało uwagi, atoli, gdy do studyowania téj kwestyi zabrali się ze swoją systematycznością Niemcy i gdy z przedsiębranych doświadczeń osiągnęli również pozytywne rezultaty, jak i francuski naturalista, pierwotna hipoteza zaczęła się coraz więcéj sprawdzać i coraz więcéj interesować sobą ogół uczonych.

Obecnie jest rzeczą prawie pewną, iż ucho nasze jest organem nie jednego, lecz dwóch różnych zupełnie zmysłów: t. j. akustycznego i statycznego albo zmysłu równowagi.

Nim jednak przystąpimy do przedłożenia doświadczeń, które odkrycie to wykazują, jak i teoryi, którą doświadczenia te tłómaczą, przypomnieć musimy pokrótce anatomiczną strukturę ucha.

W uchu odróżniamy trzy główne części: ucho zewnętrzne albo przewód słuchowy, ucho środkowe albo jamę bębenkową i ucho wewnętrzne albo błędnik.

Trzy te części rozdzielone są między sobą niejednakowéj wielkości i struktury błonkami: błona bębenkowa dzieli przewód słuchowy od

jamy bębenkowéj, błona, albo tak zwane okienko owalne, dzieli ucho środkowe od błędnika.

a) Przewód słuchowy składa się z muszli o najrozmaitszych wypukłościach i wklęsłościach i przedłużenia jéj w kształcie léjka zakończonego bardzo subtelnéj struktury błonką. Muszla jest zbiornikiem dla fal głosowych. Po za tém nie gra ona żadnéj roli. U zwierząt bywa ona często ruchomą, a wówczas służy do przybliżania wrażeń z zewnątrz, u ludzi jednak sama przez się poruszać się nie może. — Przedłużenie muszli, obciągnięte, jak i ona delikatną skórką, przenosi fale głosowe daléj, aż do kończącéj je membrany. Membrana ta, czyli błona bębenkowa, jest w jednym punkcie odległym nieco od środka przytwierdzoną do jednéj z trzech kosteczek ucha środkowego do tak zwanego młotka — przez co odebrane podrażnienia od drgań powietrznych przenosi daléj, t. j. do jamy bębenkowéj.

b) Ucho środkowe otwiéra się na zewnątrz cieniutką rurką, zwaną tubą Eustachiusza, do któréj powietrze dostaje się od przewodu oddechowego. Granicę jego stanowią: błona bębenkowa od przewodu słuchowego, okienko owalne od błędnika.

Pomiędzy niemi zaś, dotykając ich funkcyonują, trzy chrząstkowe kosteczki: młotek, kowadełko i strzemię; młotek szczepiony jest z błonką bębenkową, strzemię z okienkiem owalném, kowadełko zaś środkuje pomiędzy młotkiem a strzemieniem. Trzy te kosteczki, połączone ścięgnami, przenoszą drgania od błony bębenkowéj na okienko owalne, które udziela ich uchu wewnętrznemu. Każde mianowicie drgnięcie błonki, kończącéj przewód słuchowy, wprowadza w ruch młotek, ruch ten udziela się następnie drugiéj i trzeciéj kosteczce, ta ostatnia zaś, jako złączona z okienkiem owalném, porusza je, wywołując falowanie płynu, zawartego w błędniku. W ten sposób podrażnienia zewnętrzne zamieniają się na podrażnienia z krwi i kości wewnętrzne.

c) Ucho wewnętrzne albo labirynt—jest nierównie więcéj skomplikowane, niż dwie poprzednie części, co się tłómaczy łatwo tém, że ono to przyjęte w uchu zewnętrzném, przetworzone w uchu środkowém podrażnienia analizuje i odczuwa, ono również służy do percepowania innéj kategoryi podrażnień, t. j. ruchów, obrotów i równowagi głowy. Labirynt albo błędnik jest zupełnie zamknięty. Leży on w najtwardszéj kości głowy — w kości skalistéj. Trzy jego główne części są: ślimak, przedsionek i kanały półkuliste.

Wszystkie te części ucha wewnętrznego są wydrążone i komunikują pomiędzy sobą, tworząc istotnie rodzaj labiryntu o najrozmaitszych

kurytarzach, skrętach i kołowych rurkach, które wypełnia płyn, zwany endolymfą.

Dodać należy, iż do błędnika dochodzą dwa rozgałęzienia nerwu akustycznego, z których jedno kończy się w ślimaku, zaopatruje organ Corti'ego, właściwy organ czuciowo-akustyczny, drugi zaś w przedsionku i ampułkach, t. j. zakończeniach kanałów półkulistych.

a) Ślimak przedzielony jest na całéj swéj długości delikatną ścianką, stanowiąc przez to dwie odosobnione rurki, zwane schodkami, pomiędzy któremi umieszczony jest organ Corti'ego. Organ ów przedstawia rodzaj klawiatury o krótszych u podstawy, dłuższych u wiérzchołka strunach, na których, niby drobne klawisze, spoczywają subtelnéj konstrukcyi łuki, zwane od ich odkrywcy, łukami Corti'ego. Jestto ów sławny organ akustyczny, przewyższający swoją doskonałością wszystkie możliwe instrumenta muzyczne, arcydzieło natury, imponujące swoją strukturą i doskonałością. Funkcyonowanie zaś jego pobudzają owe fale endolymfy, wywoływane drganiem okienka owalnego. Tyle co do organu akustycznego.

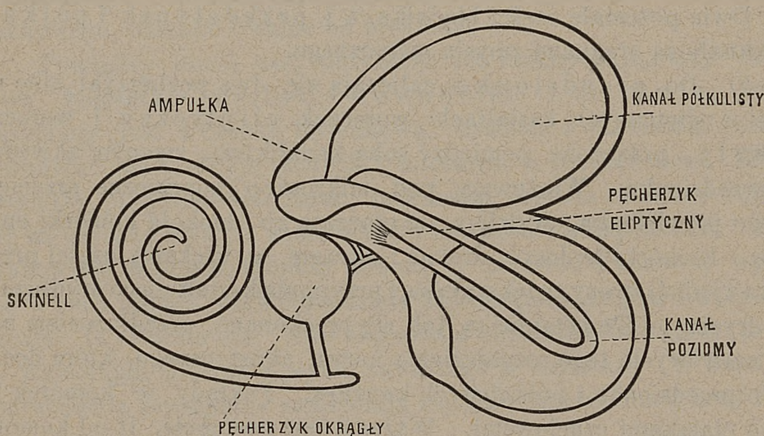
Dwie pozostałe części błędnika, t. j. przedsionek i półkuliste kanały są organami zmysłu statycznego.

b) Do przedsionka zaliczają się dwa pęcherzyki albo woreczki o odmiennych kształtach: woreczek eliptyczny i woreczek okrągły, połączone pomiędzy sobą kanalikiem, zwanym akweduktem przedsionka. Włożywszy pod mikroskop poprzeczne przecięcie takiego przedsionka, widzimy, iż otaczają go dookoła komórki epitelialne. Komórki te dosyć drobne i okrągłe w większéj części przedsionka z jednéj strony zwiększają się i przyjmują kształt nieco wydłużony, cylindryczny. Te ostatnie są, jak się przekonano, przedłużeniem włókien nerwowych, tego rozgałęzienia nerwu akustycznego, które dochodzi do przedsionka i półkulistych kanałów. Pokłady te komórek nazwano plamkami czuciowemi. Ważném jest następnie, iż od komórek ch wychodzą nazewnątrz przedsionka drobne włoski, na nich zaś spoczywają maleńkie kamyczki, biorące czynny udział, jak to zobaczymy późniéj, w ogólném funkcyonowaniu zmysłu statycznego. Kamyczki te nazwano otolitami, a stąd cały przedsionek aparatem otolitowym. Pokładów tych czuciowych jest aż trzy w przedsionku—na każdym zaś spoczywa taki otolit.

c) Drugą cząsteczką ucha wewnętrznego, służącą ku celom zmysłu równowagi są trzy kanały półkuliste. Kanały te są niejednakowo rozmieszczone w uchu co do przestrzeni (i to ważne bardzo); jeden z nich, kanał boczny, leży poziomo, dwa inne zaś, to jest kanał górny i dolny — prostopadle. Kanały te prócz tego są niejednakowo

zakończone. I tak: dwie odnogi kanałów prostopadłych łączą się ze sobą w jedno zgrubienie, nim wpadną do pęcherzyka eliptycznego, dwa inne zaś zgrubiają się poprzednio każdy z osobna u podstawy, tworzące tak zwane ampułki; z dwóch nakoniec odnóg kanału poziomego jedna tylko kończy się ampułką — druga zaś nie. Trzy te kanaliki tworzą wskutek tego zamiast sześciu pięć tylko odnóg przedsionka, z których trzy kończą się ampułkami. Do ampułek dochodzi część nerwu akustycznego podobnie jak i do przedsionka.

Struktura histologiczna ampułek mało się różni od powyżéj opisanego przedsionka. Patrząc przez mikroskop na przecięcie poprzeczne ampułki, widzimy, że są one tak samo otoczone komórkami, na których wystają, niby zakończenia, delikatne włoski; komórki te tak samo są w połączeniu z włóknami nerwowemi, przez pośrednictwo których, podrażnienia, udzielające się włoskom, przenoszone zostają aż do mózgu. Różnią się zaś ampułki od przedsionka tém tylko, że nie ma w nich owych kamyczków, otolitów.



II.

W roku 1824 Flourens pierwszy zwrócił był uwagę Akademii francuskiéj na fakt, iż podrażnianie kanałów półkulistych wywiéra szczególniejszy wpływ na ruchy głowy i oka, jak i wogóle na utrzymywanie równowagi gołębi, na których robił był Flourens liczne w tym kierunku doświadczenia. Odsłaniał on mianowicie z jaknajwiększą ostrożnością owe kanały, tak, aby nie uszkodzić sąsiednich części i na-

stępnie przecinał je kolejno, obserwując bardzo uważnie wszelkie zmiany w ruchach i zachowaniu się gołębia.

I tak, jeżeli przeciętym został kanał poziomo leżący, wówczas gołąb poruszał głowę wahadłowo od prawéj ku lewéj stronie i od lewéj ku prawéj — na powierzchni horyzontalnéj. Ruchów normalnych gołąb taki dokonywać nie mógł. Po chwili ruchy te przenosiły się na cały tułów tak, iż zwierzę chwiało się, nie mogąc w żaden sposób utrzymać równowagi. Jeżeli zamiast jednego przeciął Fl. obadwa kanały poziome, to jest lewego i prawego ucha, wówczas objawy te występowały z większą szybkością i intensywnością. Gołąb wśród tego obracał się naokoło swéj osi. Po chwili ruchy te znikały.

Następnie przecinał Flourens jeden z kanałów pionowych, kanał dolny np. i po lewéj stronie, wobec czego głowa gołębia poruszała się z dołu do góry i z góry na dół. Jeżeli zaś przeciął takiż kanał i po prawéj stronie, objawy te były jeno wyraźniejszemi. Ptak wśród tego nie mógł się obracać w około swéj osi, nie mógł téż latać ani chodzić i przewracał się przy każdéj sposobności. Ważném zaś, że przewracał się zazwyczaj w tył.

Przecięcie dużego pionowego kanału sprowadzało tak samo ruchy z dołu do góry i odwrotnie, czyli zawsze w kierunku przeciętego kanału. Gołąb potykał się, objawiając skłonność do przewracania się na przód.

Daléj, robił Flourens inne jeszcze kombinacye, przecinał np. jeden z kanałów poziomych i jeden z pionowych lub téż przecinał wszystkie kanały, co było przyczyną zupełnego zamieszania ruchów.

Ale obok tych zakłóceń w ruchach, zaobserwował fizyolog francuski drugi również ważny bardzo objaw, to jest że gałki oczne ptaków poruszały się przy tego rodzaju operacyach ze szczególną gwałtownością—prawie że konwulsyjnie.

Doświadczenia te, nie mogąc ich wytłómaczyć teoretycznie, opisywał jeno Flourens bardzo sumiennie i dokładnie.

Dwa rezultaty powyższych eksperymentów są:

1) iż po przecięciu każdego kanału głowa ptaka porusza się stosownie do umiejscowienia tego kanału, to jest poziomo, jeżeli zaatakowanym został kanał poziomy, prostopadle — jeżeli prostopadły (i że kanały te odpowiadają trzem wymiarom w przestrzeni); 2) że każdemu przecięciu kanałów półkulistych towarzyszą ruchy jabłka ocznego.

Takim był spadek, jaki pozostawił w kwestyi téj Flourens.

O przedmiocie tym zapomniano na krótki czas, ale już około roku 1853 pojawiać się zaczynają pierwsze, dość zresztą powierzchowne prace w tym kierunku. W roku zaś 1870-ym zajął się eksperymenta-

mi Flourens'a z większą gorliwością fizyolog niemiecki Goltz. Powtórzywszy wszystkie próby Flourens'a przekonał się, iż opisanie ich było zupełnie dokładne i że konstatowało jeno fakta prawdziwe. Atoli o ile Flourens, jak mówi Brener, był znakomitym eksperymentatorem o tyle słabym teoretykiem. Goltz pierwszy dopiéro podejmuje się wytłómaczenia i zużytkowania danych fizyologa francuskiego na drodze teoretycznéj.

Półkuliste kanały — mówi — jak i przedsionek, są po prostu nieznanym dotąd zmysłem, którym odczuwamy równowagę; endolymfa zaś, ów płyn zawarty w błędniku dostarcza prawdopodobnie podraźnień nietylko organowi czuciowemu akustycznemu, ale i takimże pokładom czuciowym w ampułkach i pułkulistych kanałach. Podraźnienia zaś tych ostatnich nerw, dochodzący do ampułek, przenosi do mózgu jako wrażenia równowagi. Bo jak dotknięcie skóry — mówi Goltz — wywołuje zlokalizowane wrażenie dotyku, tak samo poruszenia przez endolymfę pokładów nerwowych muszą być przyczyną wrażeń równowagi. Zmysł ten nazwał Goltz *zmysłem równowagi*.

Eksperymenta Flourensa z jednéj strony, teorya postawiona przez Goltza z drugiéj, dały początek dalszym w tym kierunku poszukiwaniom i teoryom.

Dla łatwiejszego rozpatrzenia się w nich podzielimy je na trzy różne grupy: na doświadczenia *bezpośrednie*, robione na ludziach i zwierzętach, na doświadczenia *pośrednie*, dokonywane na ludziach i zwierzętach z pomocą aparatów rotacyjnych i na *obserwacye patologiczne* na głuchoniemych, stwierdzone wykazami anatomicznemi z poszukiwań podczas sekcyi ucha.

1) Doświadczenia bezpośrednie były ponownem wywoływaniem, oraz teoretycznem interpretowaniem zjawisk opisywanych przez Flourensa. To, czego on dokonał, przerabiano po wielekroć razy z modyfikacyami i uzupełnieniami, mającemi ułatwić teoretyczne wyjaśnienie kwestyi. Do operacyi tych służyły zwierzęta różnego stopnia rozwoju, począwszy od drobnych robaczków, mięczaków, skorupiaków, skończywszy na rybach, żabach i ptakach. Te ostatnie zwłaszcza uległy od czasów Flourensa podobnemu losowi, jak żaby od czasów Galvaniego, na nich operowano najchętniéj. Największą zasługę w poszukiwaniach tych położył lekarz wiedeński Brener. Nie było takiéj kwestyi, któréjby on nie eksperymentował i nie objaśniał teoretycznie. Poddawał on kanały półkuliste najrozmaitszym doświadczeniom: podraźniał je termicznie, elektrycznie, mechanicznie, nakłówał szpilką, usuwał z nich części endolymfy, obserwując z ogromną wytrwałością te same zawsze objawy. Doświadczenia te zaś skłoniły go do uznania hypotezy Flourensa za fakt niezbity, kanałów zaś półkulistych jak

i przedsionka za organ zmysłu równowagi, który (za inicyatywą Nägele'go) nazwał zmysłem statycznym. Za Brenerem zaś stoi cała falanga młodych ludzi, którzy pracę swą poświęcają dla zbadania téj kwestyi. Niemałe miejsce w poszukiwaniach tych zajęła pani Tomaszewicz-Dobrska z Warszawy.

Faktem zaś, który w doświadczeniach tych miano nieustannie na oku, a na który zwrócił był już uwagę Flourens, było, iż podrażnieniom kanałów kołowych towarzyszą stale ruchy jabłka ocznego, które nazwano ruchami kompensującemi (nistagmizm) oka.

Ruchy te może każdy z łatwością obserwować na sobie. Jeżeli np. obracamy się naokoło swéj osi, trzymając delikatnie palce na zamkniętych oczach, uczuwamy pod palcem rytmicznie powtarzający się ruch jabłka ocznego. Że ruchy te pozostają w bezpośrednim stosunku do funkcyi organu statycznego, wykazały doświadczenia bezpośrednie na zwierzętach Cyon'a, Brenere'a i Högyes'a. Cyon zwłaszcza opisał najdokładniéj, jaki ruch oka towarzyszy każdemu podrażnieniu tego lub innego z kanałów kołowych.

Tak samo z łatwością obserwować można drugi rodzaj takichże ruchów kompensujących, to jest ruchów głowy, jak u ptaków. Jeżeli np. trzymając na palcu kanarka, obracać się z nim będziemy tak samo naokoło swéj osi, spostrzeżemy, iż będzie on obracać systematycznie główkę w kierunku odwrotnym od naszego ruchu i napowrót. Czyli coś zupełnie podobnego do ruchów, jakie dokonywują ptaki o przeciętych kanałach poziomych.

Ale ruchy kompensujące oka (tak zwany nystagmizm) nie są trwałe. Muskuły oka mianowicie, jeżeli się dłużéj obracamy, nużą się i odmawiają usług, a wówczas ruchy te zaczynają być nieregularne, często konwulsyjne. Sprowadza to najpierw pewne zamieszanie wrażeń, następnie zaś wywołuje znane nam wrażenia zawrotu i utraty równowagi. Dwa te objawy towarzyszące obrotowi, to jest ruchy kompensujące oka jak i zawrót głowy, służyły następnie do rozjaśnienia téj kwestyi teoretycznego.

2) Doświadczenia pośrednie wzięły punkt wyjścia spostrzeżenie, iż istnieje pewne podobieństwo pomiędzy objawami podczas rotacyi a objawami osiąganemi bezpośrednio podczas podrażnienia kanałów półksiężycowych, w obu razach występują ruchy kompensujące oka, a przypuszczalnie i zawrót głowy. Znakomity fizyk Mach, jeden z najgenialniejszych przyrodników obecnéj doby, zwrócił był głównie uwagę na ów fakt i na nim się opiérając rozpoczął szereg ciekawych doświadczeń. Wobec podobieństwa tego, a nawet identyczności, mówi on, mamy wszelkie prawo przypuszczać, że i przyczyna,

wywołująca te dwa rodzaje ruchów jest w obu wypadkach jedną i tą samą. Chodziło o jéj poznanie.

Wiadomém już było dawniéj, że obracając się naokoło swéj osi, doznajemy w pierwszéj chwili wrażenia jakby przedmioty poruszały się wraz z nami i to w kierunku przeciwnym, co zwłaszcza daje się uczuć, jeżeli się nagle wstrzymamy wśród ruchu.

Purkinye przed Machem opisywał już owe iluzye optyczne. On także zwrócił był uwagę na drugi fakt ważny bardzo, to jest że każde pochylenie głowy wywiera pewien wpływ na kierunek tychże iluzyi oka, opiérając się zaś na tém, przypuszczał, iż organ służący do percepowania ruchów musi być w głowie, a prawdopodobnie w mózgu.

Te same doświadczenia podjęli następnie równocześnie prawie Mach i Brener. Ale Purkinye posługiwał się rotacyą czynną, to jest obracając się naokoło swéj osi i obserwował wrażenia towarzyszące tym obrotom. Faktem jednak, któremu nikt nie zaprzecza, jest, iż na wrażenia równowagi składają się prócz zmysłu statycznego i wrażenia pochodzące od ruchu muskułów, skóry, etc.; chcąc zatém izolować o ile możności te inne wrażenia, posługiwał się Mach rotacyą bierną. To jest osoba mająca się obserwować, wprawianą była w ruch mocą odpowiedniego aparatu, który Mach skonstruował był w tym celu. Aparat to bardzo prosty w swéj konstrukcyi. Są to duże drewniane ramy, 4 metry szerokie, 2 m. wysokie, przez które przeprowadzona jest oś, mająca wprawiać cały aparat w ruch. W tych dużych ramach umieszczone są prócz tego drugie ramy, małe i ruchome, a w nich krzesełko dla osoby, mającéj się obserwować podczas rotacyi. Te małe ramy można od osi dużych ram oddalać, można je pochylać pod najrozmaitszym kątem, ustawić prostopadle i horyzontalnie, a nakoniec zasłonić je szkatułką tekturową tak, aby osobę eksperymentującą izolować od wrażeń optycznych.

Z aparatem tym robił Mach liczne doświadczenia, np.:

Osoba, siedząca na krzesełku małych ram, obracana była najpierw regularnie, to znów nieregularnie, w biegu przyśpieszonym lub zwolnionym, poczém nagle aparat zostawał wstrzymany. Rezultatem tego pierwszego doświadczenia było spostrzeżenie, iż z największą subtelnością odczuwamy wszelkie zwolnienie lub przyśpieszenie ruchu rotacyjnego, nie zaś rotacyę samą; następnie zaś, że po zatrzymaniu aparatu odczuwamy jeszcze przez chwilę ruch, ale jakby ruch ten odbywał się w kierunku przeciwnym. A więc cóś zupełnie podobnego, jak podczas rotacyi czynnéj: tam odczuwaliśmy, że przedmioty obracały się w kierunku przeciwnym, tu zaś czujemy jakby odwrotny ruch. (Te same doświadczenia uzupełnił następnie Exner).

Daléj robił Mach te same doświadczenia z różnemi pochyleniami głowy i przekonał się, że jeżeli podczas obrotu z lewéj strony na prawą, głowę mamy pochyloną w dół, wówczas po zatrzymaniu aparatu czujemy ruch z prawéj ku lewéj stronie, ale i ku dołowi, jeżeli zaś głowę mamy podniesioną ku górze, wówczas czujemy ów ruch z prawéj strony ku lewéj, ale i ku górze, czyli w kierunku odwrotnym do obrotu ram, ale z uwzględnieniem ruchu głowy. Obok tego zaś osobnik uczuwa skłonność do przewracania się w bok. To samo zaś spostrzegamy podczas rotacyi czynnéj, o czém się bardzo łatwo przekonać, obracając się z różnemi pochyleniami głowy.

Inny rodzaj doświadczeń wskazywał na odmienne jeszcze objawy:

Krzesełko pochyla się zwolna, przechodząc stopniowo od linii prostopadłéj do pozioméj, obserwujący zaś ma za obowiązek, umyślnie do tego służącą laseczką wskazywać stale linią prostopadłą. Otóż z początku czyni się to z całą dokładnością, w miarę jednak pochylenia małych ram ku linii poziomćj, następuje coraz to większe odstępstwo od linii prostopadłéj.

Prócz tych robił Mach wiele innych jeszcze doświadczeń z tym, jak i z innymi aparatami. Zamykał np. królika w rodzaju trumienki i poddawał go działaniu rotacyi, następnie zaś wyrzuciwszy go na ziemię obserwował jego ruchy i walkę z zachowaniem równowagi.

Ze wszystkich tych doświadczeń wyciągnął Mach następujące rezultaty: posiadamy trzy rodzaje wrażeń ruchów: *a)* w r a ż e n i a p r z y ś p i e s z o n é j l u b z w o l n i o n é j r o t a c y i; *b)* wrażenia r u c h u p o s t ę p o w e g o, jak podczas pochylenia się lub chodzenia, a nakoniec *c)* w r a ż e n i a r ó w n o w a g i.

Daléj stwierdził fakt, iż wszelkim obrotom towarzyszy nietylko uczucie zawrotu, ale iluzye optyczne i iluzye ruchu, znane jako odwrotne do jakości rzeczywistego obrotu, daléj, że wrażeniom postępowego ruchu towarzyszy niekiedy odstępstwo wrażenia od linii prostopadłéj, nakoniec zaś, że we wszystkich tych iluzyach decydującym jest ruch głowy.

Ale nie chodziło o samo skonstatowanie faktów. Była to pierwsza część zadania, drugą ważniejszą, było wytłómaczenie tych wszystkich objawów. Za ważną w tym kierunku wskazówkę służyła fizykowi praskiemu hypoteza Goltz'a, według któréj zmysł równowagi ma swoje siedlisko w uchu wewnętrznćm, endolymfa zaś, płyn zawarty w błędniku, dostarcza podrażnień czysto mechanicznych pokładom czuciowym. Drugą zaś naturalną wskazówką było porównywanie tego nowo poznanego zmysłu z innemi, lepiéj nam znanemi. Każdy

zmysł mianowicie składa się z aparatu przyjmującego podrażnienia zewnętrzne i zamieniającego je na podrażnienia wewnętrzne, powtóre z organu czuciowego, połączonego z nerwem odpowiednim do zmysłu, który przenosi owe podrażnienia aż do mózgu. I tak np. w oku jest aparat dyoptryczny, przez który promienie świetlne, padające na oko nasze, przechodzą łamiąc się poprzednio, poczém następuje ich połączenie w siatkówce. Tak samo nie odczuwamy drgań akustycznych, dopóki te drgania nie zamienią się na ruchy naszéj jamy bębenkowéj, względnie endolymfy, a mianowicie dokąd podrażnionym nie zostanie organ Corti'ego, który, podobnie jak siatkówka dla oka, jest organem czuciowym dla ucha.

Nie inaczéj, sądzi Mach, dziać się musi i ze zmysłem statycznym. Aparatem zaś, który działanie na nas rotacyi np. zamienia na podrażnienia wewnętrzne organu równowagi, może być tylko endolymfa zawarta w błędniku. Ona to bowiem wprawiona być może w ruch w dwojaki sposób, to jest albo przez udzielające się jéj drgania okienka owalnego, które to subtelne podrażnienia organ Corti'ego analizuje, albo téż przez najrozmaitsze ruchy i pochylenia głowy.

Mach, mianowicie jako fizyk, robi zastosowanie praw fizykalnych z obserwacyi cieczy, na endolymfę, która jakby w naczyniu, jakiém zamknięta jest w błędniku. Wiadomém zaś jest, że jeżeli naczynie, w którém znajduje się płyn, wprawioném zostanie w ruch, wówczas ruch ten udzieli się, to jest przeniesie swoją działalność i na ów płyn: wskutek tego zaś powstaną w nim najrozmaitsze prądy i one to naciskając na ścianki wewnętrzne podrażniać je będą z większą lub mniejszą intensywnością, w tém lub inném miejscu, stosownie do ruchów udzielanych naczyniu. Jeżeli zaś naczynie takie wprawimy w rotacyę np. i po chwili wstrzymamy je nagle, wówczas i płyn gwałtownie poruszany zmieni kierunek swego biegu. To samo dzieje się z endolymfą zamkniętą w błędniku i jego przewodach półksiężycowych. Kanały te zwłaszcza wyobrazić sobie należy jako 3 rurki okrągłe, wypełnione płynem, którego bieg stosownie do obrotów, jak i względnie do pochylenia głowy przybiéra najrozmaitszą szybkość i kierunek. Każdy zaś z tych kanałów ma swój czuciowy organ w odpowiedniéj ampułce, to jest ów pokład komórek wydłużonych, zakończonych włoskami, które to ostatnie pod naciskiem endolymfy uginają się, przenosząc przez pośrednictwo nerwu wiadomość za każdym razem, o jakości tego pochylenia i intesywności odbiéranego nacisku — aż do mózgu. Rezultatem zaś tego rodzaju podrażnień jest, jak dowodzi Mach, stale wrażenie jeno obrotu, a mianowicie zwolnionego lub przyśpieszonego obrotu. Że zaś ampułek tych jest sześć, a kanały,

których one są przedłużeniem, odpowiadają trzem wymiarom w przestrzeni, każde przeto podrażnienie tych organów wywołuje w nas wrażenie obrotów różnych jeno co do kierunku, to jest albo z prawéj ku lewéj stronie, albo z góry na dół i z dołu do góry.

Hypoteza ta tłómaczyła następnie poszczególne objawy doświadczeń Macha, jak i poprzednich—Flourensa.

Najpierw tłómaczy nam, dlaczego podczas rotacyi biernéj odczuwamy tylko przyśpieszenie lub zwolnienie, a nie rotacyę samą. Jeżeli bowiem jesteśmy obracani dłużéj i to zupełnie regularnie, wówczas regularność ta ruchu udziela się i endolymfie, która również włoski pokładów czuciowych w ampułkach pochyla jednostajnie, podrażnienia zaś wobec tego przenoszone do mózgu, nie ulegają żadnéj zmianie; każde zaś przyśpieszenie lub zwolnienie rotacyi przeciwnie zmienia intensywność tego pochylenia i naciskania włosków, zmieniając tém i odpowiednie wrażenie, będące już to czuciem przyśpieszonéj, już zwolnionéj rotacyi.

Tak samo hypoteza ta tłómaczy nam, jak powstają iluzye czy to ruchu, czy wrażeń optycznych. Jeżeli bowiem po dłuższéj rotacyi aparat nagle zostanie wstrzymany, wówczas i endolymfa, poruszona gwałtownie, zmienia kierunek biegu, przez co zmodyfikowaném być musi i wrażenie ruchu. Że zaś od funkcyonowania kanałów półkulistych wogóle zależne są ruchy, kompensujące oka, stąd wobec tego zmienionego biegu endolymfy i oko nasze odczuwać musi wrażenia, jakby przedmioty usuwały się odeń w kierunku przeciwnym.

Hypoteza ta nakoniec utrwaliła przekonanie Macha, iż Flourens, przecinając kanały półksiężycowe, obserwował te same rezultaty, jakie się pojawiają i podczas rotacyi, t. j. ruchy kompensujące głowy. Przecięcie bowiem każdego przewodu podrażnia bardzo silnie pokłady czuciowe ampułek, zwierzę zaś wobec tego odczuwa poprostu silny zawrót głowy i dla usunięcia go wytwarza owe ruchy kompensujące, t. j. po przecięciu naprzykład lewego poziomego kanału, gołąb odczuwa skłonność do przewracania się na prawo i aby utrzymać równowagę, obraca się na lewo. Po przecięciu kanału pionowego, czuje, że upada naprzód i dlatego wytwarza ruchy wtył i t. d. Ową tożsamość ruchów atoli kwestyonuje wielu z krytyków doświadczeń i teoryi Macha, pomiędzy innymi p. Tomaszewicz-Dobrska.

Owa hypoteza, t. zw. hydrodynamiczna, Macha, tłómacząc wiele, pozostawiła jednak niektóre kwestye bez dostatecznéj odpowiedzi, a mianowicie: co warunkuje wrażenia równowagi jak i ruchy postępowe, a następnie: co jest przyczyną iluzyi optycznéj, polegającéj

na odchylaniu się linii pionowéj podczas działania na nas siły ciążenia i siły ośrodkowéj.

Teoretycznem wyjaśnieniem tych kwestyi zajął się był Brener.

Przypuszczenia Macha, iż istnieje może inny jeszcze organ, uzupełniający zmysł statyczny, powiodły myśl Brenera na nowe tory. Ampułki — mówi on — z kulistemi kanałami nadają się doskonale do wytłómaczenia wrażeń obrotowych, nie są one jednak wcale podobne do tworzenia się dwu innych rodzajów wrażeń, t. j. wrażeń równowagi i ruchów postępowych. Natomiast są w naszém uchu ciałka o różnéj od endolymfy ciężkości, a które odpowiadają doskonale temu celowi: ciałkami temi są otolity, spoczywające na włoskach komórek czuciowych przedsionka. One to, naciskając w położeniu poziomém na włoski, mocą samego ciążenia wywołują uczucie równowagi, one również pośredniczą w wytwarzaniu się wrażeń podczas biegania, chodzenia i t. d., stosownem do tych ruchów zmienianiem swego położenia, czém coraz to innych udzielają podrażnień podpiérającym je włoskom. Jestto bowiem niewątpliwe — sądzi Brener — że każda zmiana miejsca przy ruchach postępowych wpływać musi na zmianę położenia i jakości ciśnienia tychże otolitów, od których podraźnienie dostaje się aż do mózgu. Nie zaprzeczając temu, iż otolity służyć mogą i do celów słuchowych, dowodzi jednak, iż są one najpierwotniejszym aparatem percepcyjnym równowagi. Za dowód służy mu fakt, iż zwierzęta, u których organ słuchowy zdaje się jeszcze nie istnieć, mają już bardzo rozwinięty aparat otolitowy. Do niego to późniéj dołącza się u zwierząt wyższego rzędu organ kanałów półksiężycowych. Brener mianowicie wyobraża sobie, iż otolity, naciskając na włoski komórek w przedsionku podraźniają nerw, który przenosi wrażenia równowagi i ruchów postępowych do mózgu, tak samo jak ciśnienie czysto mechaniczne endolymfy w ampułkach pobudza wrażenia obrotów i odpowiednich ruchów kompensujących.

Przyjąwszy tę drugą hypotezę, łatwo wytłómaczyć i iluzye optyczne, o których wspominał już był Mach. Wiemy, że jadąc koleją żelaźną po linii zakrzywionéj, doznajemy wrażenia, jakby przedmioty, a zwłaszcza wieże, były znacznie pochylone. Cóż to znaczy? Złudzenie to — mówi Brener — pochodzi stąd, iż wówczas działają na nas, względnie i na otolity, dwie różne siły, t. j. siła ciążenia i siła ośrodkowa. Otolity wskutek tego pochylają się zmieniając tém rodzaj podraźnienia na pokłady czuciowe przedsionka, względnie i ruchy kompensujące oka; z tego powodu widzimy przedmioty jak podczas pochylenia w eksperymentach Macha — nieco odchylone od linii pionowéj. I oto rezultat doświadczeń Macha i Brenera: posiadamy w uchu

organ do odczuwania ruchów rotacyjnych oraz drugi takiż organ do percepowania ruchów postępowych i równowagi: pierwszym z nich są kanały półkuliste, drugim przedsionek, albo lepiéj aparat otolitowy. Odpowiednio zaś do tych wrażeń regulujemy nasze ruchy w ich najsubtelniejszych odcieniach: im zaś te czucia są doskonalsze, tém wytworniejsze są i owe ruchy. Dowodów na to dostarcza prosta obserwacya głuchoniemych.

3) Doświadczenia trzeciéj kategoryi mają na celu zestawienie i porównanie osiągniętych rezultatów przez Macha i Brenera z objawami patologicznemi. Proste bowiem rozumowanie kazało się spodziéwać, iż jeżeli prawdziwemi były eksperymenta Flourensa jak i późniejszych, jak i teorye Macha co do wrażeń ruchów rotacyjnych, Brenera, co do aparatu otolitowego, wówczas doświadczenia te sprawdzić się winny na objawach patologicznych. Kwestyą tą zajęli się w ostatnich czasach James i Kreidl.

James wychodzi z następującego założenia: ponieważ kanały półkuliste są organami wrażeń rotacyjnych, zawrót głowy zaś jest ściśle związany z wrażeniami tego rodzaju, ludzie zatém, u których kanały półkuliste są przypuszczalnie zniszczone — zawrotu odczuwać nie powinni.

Przypuszczenie to było uzasadnione. Oto jego rezultaty: na 519 głuchoniemych, z którymi robił James doświadczenia za pośrednictwem rotacyi, 180 nie odczuwało wcale zawrotu głowy, kiedy na 200 ludzi normalnych jeden tylko go nie odczuwał. W 180 zatém wypadkach domyślać się było można zniszczenia kanałów półkulistych.

Ale Kreidl zabrał się inaczéj do udowodnienia słuszności teoryi Macha. Dowodzi on, iż rezultaty Jamesa nie są zupełnie pewne, z powodu, iż człowiek nie doznający wrażeń zawrotu nie może właściwie o nich sądzić, albo téż sądzi o nich, jak ślepy o kolorach. Bierze on za punkt wyjścia inny fakt, towarzyszący funkcyonowaniu kanałów półkulistych, to jest ruchy, kompensujące oka. I powiada tak: jeżeli prawdą jest, o czém zresztą nie wątpi, iż ruchy kompensujące oka pozostają w bezpośredniéj zawisłości od kanałów półkulistych, w takim razie znaczny procent głuchoniemych pozbawiony być musi tychże ruchów. Idąc śladem Macha, utworzył sobie rodzaj znów szafki, wśród któréj umocowaną była w środku deszczka, na niéj zaś krzesło, albo raczéj ławeczka bez poręczy, mająca pomieścić eksperymentującego i osobę, użytą do doświadczeń. Próby te robił Kreidl w zakładzie głuchoniemych w Wiedniu. Wsiadał jak na konia na ową ławeczkę, przed sobą zaś sadowił zawsze jednego z głuchoniemych, na którego

zamkniętych oczach kładł końce palców, aby śledzić ruch jabłka ocznego. Następnie aparat zostawał wprawianym w rotacyę. — Doświadczenia te wykazały, że 50% głuchoniemych pozbawionych jestowych ruchów kompensujących oka.

Autor oczywiście zachwyconym był tego rodzaju rezultatem, uważając go za wymowny dowód dla teoryi Macha i Brenera.

Ale pozostawała odpowiédź na pytanie: dlaczegóż 50% tylko? dlaczego nie wszyscy pozbawieni są tych ruchów? Pytanie to wyjaśniło zestawienie osiągniętego rezultatu z wykazami anatomicznemi, dokonywanemi przez Meydinga podczas sekcyi na głuchoniemych. Meyding mianowicie powiada, że w 50% wypadkach znajdywał zniszczone kanały półksiężycowe u głuchoniemych, w innych zaś razach, pomimo zupełnéj głuchoty, były one nieuszkodzone. Czyli, że obadwa te rezultaty zgadzają się najzupełniéj.

Zachęcony tém młody uczony, rozpoczął inne doświadczenia, mające na celu sprawdzenie znów hypotezy Brenera co do aparatu otolitowego. Jeżeli—mówi on—aparat otolitowy jest przyczyną złudzeń, jakich doznajemy jadąc po linii krzywéj, wówczas złudzenie to powinno odpadać u tych, którzy przypuszczalnie aparatu tego są pozbawieni. Doświadczenia, podjęte w tym kierunku z innym znów aparatem, okazały się tak samo zgodne z przypuszczeniem: 20% bowiem głuchoniemych nie podlega wcale temu złudzeniu, żeby przedmioty miały się odchylać od linii prostopadłéj podczas działania na nich siły ciążenia i siły ośrodkowéj: linia prostopadła nie przestaje być dla nich linią prostopadłą. Wywnioskował stąd autor, iż zniszczeniu kanałów półkulistych towarzyszy, choć niezawsze, zanik aparatu otolitowego. Potwierdzenie zaś tego znalazł tak samo u Meydinga. Na 118 wypadków zniszczonych kanałów półkulistych, odnalazł Meyding 20 wypadków, w których zniszczony był i aparat otolitowy.

Tenże sam autor robił inne doświadczenia. Wyjmował mianowicie otolity psom morskim i pokazało się, iż pies taki może i po takiéj operacyi pływać, ale że płynie on bez różnicy, już to na grzbiecie, już na brzuchu, czyli nie oryentuje się wcale w wodzie.

Ciekawém potwierdzeniem tego były obserwacye Jamesa na głuchoniemych, którzy rzadko tylko mogą pływać. Przypisać to należy zniszczeniu u nich aparatów otolitowych.

Oczywiście, że zarówno doświadczenia James'a jak i Kreidl'a z zapałem zostały przyjęte przez twórców teoryi, tłómaczących funkcyonowanie zmysłu statycznego—jako materyał dowodowy.

Ale nakoniec nie możemy pominąć jednego jeszcze pytania: czy teorye te i doświadczenia znalazły ogólne uznanie wśród świata uczo-

nych? Ogólnego uznania one nie mają. Krytyka, niedowierzanie, ostrożne wyczekiwanie na ostateczne rezultaty pojawiają się wobec kwestyi téj zarówno we Francyi; jak w Niemczech, jak i u nas. Głównymi zaś przeciwnikami teoryi zmysłu statycznego są Böttcher i Herman w Niemczech, oraz ceniona bardzo za swoją rozprawę „O labiryncie ucha" pani Tomaszewicz-Dobrska, która krytykę swoją stwierdza licznemi bardzo eksperymentami. Przyłącza się ona do zdania, iż objawy w eksperymentach Flourensa mogą mieć w pewnéj mierze za przyczynę lekkie chociażby draśnięcie podczas operacyi błędnika sąsiednich kończyn móżdżku.

D-r Anna Wyczołkowska.

Wiedeń 12/I 1895.



PRZYSŁOWIA.

KARTKI Z DZIEJÓW LITERATURY I KULTURY POLSKIÉJ.

(Ciąg dalszy) *).

V.

Dyaryusze sejmowe z lat 1558, 1563 i 1569 dały się nam jakby w pewną całość ułożyć, bo często i sprawy się powtarzały i ci sami ludzie rej wodzili i zapiski były niemal równie obszerne; obok nich rozpatrzmyż się pokrótce i w innych dyaryuszach sejmowych tego wieku.

Na sejmie 1548 r. przeważają ludzie starszéj generacyi, szkoły Zygmunta Starego, między posłami ziemskimi Jan Sierakowski, Piotr Boratyński, Stanisław Lupa Podlodowski; między radami świeckimi Jan Tarnowski, Piotr Kmita; między duchownymi kanclerz i biskup Samuel Maciejowski. Nim posłowie ziemscy sprawę o Barbarę i rozwód wniosą, wotują rady, prosząc głównie o sądy, o rychły wymiar sprawiedliwości; biskup np. płocki twierdzi, że za jéj omieszkaniem gorzéj nam niż od Turka, albo Tatarzyna, jako ono powiadają gorszy jeden djabeł domowy aniż dziesięć dzikich.

*) Patrz zeszyt lipcowy r. b., str. 290.

Sprawą o Barbarę zniecierpliwiony król woła nieraz, długoż mam być na tej dyscyplinie? albo, i cóż? na tężem dyscyplinę przyszedł tu — pójdęć lepiej precz; i Maciejowski się zastrzega, a także mamy być w tych kleszczach? z oponentów twierdzi pan kaliski, Marcin Zborowski, jeśli tę rzecz tak zagrzebiemy, wyniknie z niéj co gorszego; i pan chełmiński widzi ten pień na drodze, potrzebaby go zwalić. Nadzwyczaj obruszyło posłów, gdy niektórzy z panów, np. Latalski, wojewoda poznański, zarzucali im, że wzniecają te trudności, nadsługując tylko innym, że za polewką pańską biegając cudzy chleb jedzą, a licencyą tę wzięli, albo jak Kmita mówi, tej obiadu polewki niech jeno przestaną; w przemowie do rady wyrzuca to im Podlodowski polewkami nas nazywają — gdyby się to na prawej mierze postanowić mogło, żeby każdemu równo z liczby rpltej płaciło się, każdyby polewkę sobie warzył jakoby chciał a ktemu jakoby rozumiał. Maciejowski upomina, by dla jednéj sprawy nie opuszczać wszystkich, łatwie gdy głowa zdrowa inne ciało roście, trzebać i nam tej głowy (króla i sprawiedliwości) chronić, boć wżdy i członkom zdrowo gdy głowa cała; Jan Tarnowski strofuje upór posłów, gdy być nie może (rozwiązanie królewskiego małżeństwa), więc się tymże przedsię bawić cóżby to było jeno... pieśń tananaj tananaj tananaj, a co pilniejszego omieszkiwać, jeno przedsię o temże, o temże.

Mimo to wracają posłowie ciągle z napominaniami i prośbami do rad, choć blizcy tego by już więcéj na ścianę grochu nie miotać; panowie rady nie całkiem zgodni, a tego wozu, wedle Andrzeja z Górki, inaczej powściągnąć nie możemy jeno wszytcy zgodnie, nie jeden tam drugi sam, ale by wszytkim zaraz zgodzić się i zahamowawszy wściągnąć; od posłów upomniona rada skarży przez jego usta na ujęcie swej powagi, gdyż taka zelżywość nasza dotknęłaby się i osoby WKrMi, abowiem i głowa wnet słaba będzie, gdzieby członki od niej odjęte były, ptakowi wytargawszy pierze kczemuż się przytrefi? latać nie będzie i t. d.; przedtym Boratyński od ulu zasiągł podobieństwa, i król może tej wolności użyć co i inny, gdyż i pszczoła starsza, którą matką zową, nie robiąc sama na to, zimie tak udziela i innym pokarmu, jakoby sama głodem pierwej niżli która inna nie umarła. Krzycki wskazuje przed radą i na zelżenie korony u obcych, za nieboszczyka króla na sejmie pełno posłów postronnych było, a dziś żadnego niemasz... a niechby jeden oko komu wykłół najmniejszym posełkiem.

Tarnowski radzi, by przyjąć od króla konfirmacyą praw, gdyż

za tym ci trochę wosku wszytki są wolności nasze, tosamo Kmita, témbardziej iż król nie dał nam więcej z tym pacierzem (o Barbarę) do siebie chodzić i przytacza anegdotę o cesarzu Maksymilianie i opacie z „dobrym” przywilejem; gdy się sesye przedłużają, oświadcza pan halicki, Sienieński, bym miał worek JM. pana poznańskiego (Andrzeja z Górki, największego bogacza w Koronie), mógłbym też tu dłużéj mieszkać. Kończąc dyaryusz dodaje autor jego od siebie, i baby o tym bajać umieją co się na tym sejmie toczyło... nas posły ciągnęli (panowie) jedne dary, głupsze polewką opatrując *et quasi tibias inflabant* (t. j. jak dudy nadymali), sami potem na stronie zostali, a myśmy i Rpta jako mówią po polsku na koszu zostali. Arcybiskup Dzierzgowski, który mawiał bodaj mi uschła ręka, będęli ja Barbarę koronował, nietylko żeby się nie miał kłaniać, ale aż do samej ziemie dudkując ją koronował. Sejm rozszedł się bezskutecznie.

Dyaryusze z r. 1553 i 1570 tak krótkie, że materyału nie dobędziemy żadnego; w dyaryuszu sejmu piotrkowskiego r. 1565 tylko przemowy marszałka poselskiego, Mikołaja Siennickiego, protestanta, cieszącego się powszechnym szacunkiem, podane szczegółowo, inne zbyte króciutko, a właśnie stateczna, nabożna, dyskretna wymowa marszałka unikała efektów, zwrotów dosadnych, przysłów. W propozycyi ks. Myszkowskiego czytamy: w Niemczech jako często w bębny biją, tajno nie jest, bo je snać i w Polsce słyszeć; wojewoda poznański, Janusz Kościelecki, nastaje na różność wiar, wierę nielza jeno WKrMi uczynić jako hetman w wojsce hasło wydać, aby tak wszyscy mówili i wierzyli jako WKrM., a wiesz kto hasła nie dzierży, niechby był karan jako w wojsce, niech każdy jednakże mianuje hasło... do unii litewskiej trzebaby ludzi zanęcić jako myśliwiec zajusza psa gdy go zaprawia, aby też u nas rząd widzieli naprzód, boć do nierządu nikt nie pójdzie. Wedle kasztelana Myszkowskiego, kaźń to boża, iż i zdrowie i czas i pieniądze tracimy tak często sejmując, a nic się przedsię dobrego nie dzieje i prawda jest co o Polakach mówią: alboć rozumu nie mają... a ono to w Polsce posłuszeństwo i zgoda bywała, żeby sobie rzekli i nosy rzezać, tedy już inaczéj nie było; wedle kanclerza Dębińskiego napisaliśmy już dosyć, nie trudno o papier i o pieczęć, ale przedsię egzekucyi niemasz... podatków nie wydają... starostowie też folgują sobie jako psy iszcząc się na słońcu; Siennicki, przeciw dziesięcinom, nie to statutem polskim być rozumie, co uzdeczki statutowi księża wprawili... to teraz o dziesięcinach wewlec chcemy, a ono pójdzieli w jednym artykule, pójdzie i w drugich, ale Polak nie niewolnik

popowski; przez arcybiskupa żalą się panowie rady, że ich posłowie despektują, ba! nie od bydłać tu na te miejsca są wzięci, żeby się kto zkądkolwiek wyrwawszy ich ganił.

Przed królem i radą uskarża się Siennicki na przymówki, jakich jemu nie szczędzą; przysłuchałem się i tu w Polsce za wieku swego onej przypowieści, która bodajby na świecie nigdy nie była *nemini servit qui Rpcae servit* (t. j. służy nikomu, kto Rptéj służy)... służyłem zawżdy czym mogłem zupełnym sercem Rptej, jako mi przystało chudemu szlachcicowi a wiernemu poddanemu WKrMi nic swego na tych posługach mych nie uganiając, ni o co nigdy sobie WKrMi nie prosząc, czego jest dobrym świadectwem to, iż nie mam, bo mi nic nie dano. I przyjmowalić to ludzie odemnie przed tym wdzięcznie... ale gdy teraz prawie już przyszło na orzech dopinać a usprawiedliwiać się Rptej w czym kto nie jest praw, obraża to wiele ludzi i t. d. Co znaczy na orzech dopinać, skąd to poszło, pouczy nas Czeski Brat, w którego przysłowiach czytamy: już wierę na orzech dołożył, kuszę gdy napinali, ciężko było dociągnąć na ten orzech, który cięciwę trzyma, tak bywa niekiedy ciężko, niektórą rzecz niesnadną ku końcu przywieść.

Po tém osobistém *intermezzo* walczy Siennicki daléj przeciw duchownym, którzy z nas wyszli, ale przeciw nam zawżdy byli, iż nam nie o członek jeden jeno o całą skórę idzie... bo nam o ostatek idzie. Autor dyaryusza skarży się, że wiele się złego na sejmie dzieje, gdy temi wakancyami ludzie łowią, bawią, cieszą i straszą, a jeden się przed drugim ubiegając panu w nótę ugadzając wszystkiego złego przezimują i dopuszczają; opowiada, jak na sądach sejmowych niedbale sądzono, bo panowie niedbale słuchali, jeden z drugim mówią co innego, drudzy sówki na książkach malują. Gdy o elekcyą arcybiskup i Siennicki się spierali, rzekł arcybiskup, (między kilkoma) który będzie duższy (silniejszy) ten lepszy; kasztelan kaliski przytacza, że rozumu zawżdy za szczęściem przybywa; inny wojewoda, że się lepiej za cudzem złotem bronić.

Dodajemy z witania p. Czarnkowskiego na sejmie r. 1569 przysłowie, znane i dziś, i kościół wszech świętych rzadko cynowy dach miewa abo cały na to, że trzeba jednego króla, dla wielości panów i pałac zniszczał; nadmieniamy téż, że prof. Kojałowicz nie słusznie obszernéj téj mowie bezsensowość frazesów zarzucał; napuszona, o ile uroczystość chwili wymagała, odznacza się sensem znakomitym i podobała się ogólnie, przedrukował ją tegoż roku p. Ponętowski w „Krótkim rzeczy polskich sejmowych pamięci godnych ko-

mentarzu" (1569). Wojewoda bełzki kazał przywilejów się dzierżeć jako chłop pijany płotu.

W dyaryszu sejmu warszawskiego r. 1581 kanclerz Zamoyski twierdzi, że trzeba nieprzyjacielowi nietylko pierze wyrwać żeby nie porosły, ale barki strącić, trzeba go zrazić od morza, trzeba mu te barki odciąć i do końca przyprzeć... chcecie podobno, aby (król) skórę z siebie łupić dał, uczyniłby i to, gdyby się alchimia taka wynaleźć mogła, coby z niej pieniądze kuto; poseł mówił przy traktacie, kto bywa na koniu, bywa i pod koniem; wojewoda Mielecki mówi o starostwie nowowiejskiém: dzierżę je z łaski nieboszczyka króla, a pewno żem go też piętą z piasku nie wygrzebał, alem je dobrze zasłużył królowi nieboszczykowi; wojewoda wileński omawia Litwę, nie znajdzie się żaden w Polsce *icz*, któremu by starostwo albo jakie dygnitarstwo dano, w Litwie się znajdują *ski*, którzy urzędy mają.

Dyaryusze sejmów konwokacyjnego i elekcyjnego 1587 r. posiadamy głównie w formie listów, obejmujących po kilka lub kilkanaście sesyi, z opuszczeniem więc wielu szczegółów. W pierwszym notujemy słowa Czarnkowskiego, upominającego młodych, że nie trzeba starymi gardzić, gdy do tego pierza przyjdą, w któremeśmy my, obaczą to dobrze; już téż oto *tendimus ad patres* (t. j. chylimy się ku grobowi), ale zawsze będę mówił, że białe białe, czarne czarne. W izbie poselskiéj niewymowna ciżba, i nie trzeba do łaźni chodzić, wypoci się tam dobrze, choć w tamtej izbie nie palą (w lutym). Nadobnie przywitał marszałek koronny, Andrzej Opaliński, kasztelana wiskiego: p. wiski, miejcie w uczciwości marszałka, mać ta kasztelania *climactericos annos* (co lat kilka katastrofa)—jednego spalono, drugiego ścięto, patrzcież wy, aby was nie obwieszono. Na konwokacyi téj posłów dłużéj utrzymać nie było można, gdyż się potrawili (powydawali pieniądze), czas do domu, nie radziby tu kołacze jedli; p. Czarnkowski już ostatnią kopę przepił; skryptorowi (t. j. temu, co pisał te listy do biskupa Kromera) też po chwili ubędzie, i kończy on, dosyć się napisało, naślepiało, naczuło, nachodziło, nastało, naziębło, napociło, nacisnęło, napchało, napościło i naczęstowało, *in summa* napracowało, w mieszku téż by wywiał, jako mówi Polak, mógłby kopią gonić. W tym, nieco humorystycznym tonie trzymane wszystkie listy, np. senator zarzuca nieobecnym duchownym, że sobie choroby zadawają, tedyć to tylko u żaków bywa, którzy by do szkoły nie iść, zadawają sobie niemoc szkolną i jam będąc chłopcem tak nieraz czynił (i pisarz także); słudzy p. Czarnkowskiego twierdzą, że on by wnet dostał (dla biskupa Goślickiego) takiego cyrulika,

któryby mu wzrok naprawił, gdyby arcybiskupstwo było, bo mu tylko bielmem oczy zaszły, ale powieki przecie otwiera; do autora listów po nowiny chodzono by na targ albo do jatek; autor cytuje chętnie anegdoty i zdania, jakie kto przytaczał, np. królowej Bony, o trybunach rzymskich, z kortezana Florenckiego (t. j. z Castiglione), lub przysłowiowe zwroty, np. tym wszystkim (obrońcom Zamoyskiego) nasmarowano ręce i t. p.; gdy kasztelan Leśniowolski począł obmawiać (wymawiać) Zamoyskiego, poczęli wszystka szlachta hukać, wrzeszczeć, krząkać, kaszleć że go zagłuszyli, i weszką go drudzy zwali; chętnie też notuje, co „chudzina ślepy, stary" Czarnkowski przytaczał, *interregnum* u nas bywał i ma być jako *annus jubilei*... teraz dał p. Bóg jubileusz, już teraz poczynają drudzy otrzęsywać się i ożywiać i t. d.; gdy ks. arcybiskup lwowski o opactwie sulejowskiém miał rzec, że go nie pragnie, rzekł na to marszałek poselski: teżci medyk pary czerwonych złotych rzekomo się wzbrania wziąć od chorego, a przecieby i więcej wziął. W innym dyaryuszu tegoż sejmu mowa Jędrzeja Zborowskiego obszerniéj notowana: jeśli tu przysiągszy wiernie radzić, przecież każdy swoje będzie prół, będzie to jako kiedy chłopi na granicach przysiągszy wieść sprawiedliwie granice, jeden tam drugi sam wiedzie; mówiąc o hetmańskim urzędzie, twierdzi co lepiej uschnie to zgore; o Batorym, przyznaje iż nie jedno lwy wiodąc aleby i jelenie był wiódł, nie przegrałby był z nimi i t. d.

Na sejmie elekcyjnym tegoż 1587 r.: wbrew większemu kołu generalnemu, trzymającemu ze Zborowskimi, stanęło „koło błędne lub czarne" (od żałoby) przy Zamoyskim. Co do wyboru samego wysuwali niemal wszyscy Piasta, ale całkiem platonicznie, gdyby to możliwém było; rzeczywiście zaś polecał niemal każdy Szweda, Habsburga lub innych. Najpocieszniej okazowali się (popisywali) panowie mazurowie dość błazeńsko, nie może być nikczemniéj, mało nie wszystko na kijach bylo, około dwóch tysięcy, mieli niektórzy szyszaki z łubu świerkowego a gęsie pióra na wierzchu dla swojej większej ważności; obaczywszy podobno, iż to okazowanie więcej śmiechu niźli pożytku im przyniosło, rozeszli się a drudzy rozjechali tytkowie (od tutka, tutaj, słowa mazurskiego?) — przymawiał im też p. Podoski, przystojniej wam grabarka patrzy z oczu niż elekcya; stał się huk, mało mu jeden nie dał stołkiem, drugi siekierką, aż go niektórzy panowie wywiedli. Stary Czarnkowski znowu bróździł własną sprawą (o odjęte starostwo): cieszmy się z łaski Bożej (żeśmy się jarzma węgierskiego zbyli, ale) poczekajmy nie wylewajmy, też ja ubogi, obłupiony jako węgorz, prawa i wolności nasze na mnie się starym

połamały. W ferworze mówcy niejednemu przytrafi się „podmówić” (pomylić), ale zaraz się poprawi, np. marszałek koronny, o którym mawiano, iż na sejmie przeszłym dał ściąć dwieście, a on nie znał się tylko do półczwarta (!), chce uczciwość uczynić człowiekowi zacnemu (kardynałowi Batoremu), którego stryj (król Stefan) nam *forytował* — ale poprawił się: *fortunnie* dobrze a sprawiedliwie panował, lecz zborowczyk, St. Górka, wojewoda poznański i inni, zaraz wtrącili, ba, dobrze WM. mówisz, że go nam *forytował*; podobnie „podrzekł się” p. Świerczowski, kolo nasze, które *nic dobrego nie chce*.

Pan Kazimirski w imieniu koła generalnego pozwalał na pokój, tylko nie na *malowany*, przekładał, że gdy czapką dadzą znać, mogą ludzie przybyć z obozu i tym sposobem Pana *nam z rękawa dać*. I znowu występuje Czarnkowski, acz ślepy, kosturkiem potrząsa i wojewodę mazowieckiego „zamawia”, wyzywa, zeszłoliby też na mnie, i młodszy zastąpiłby mię; wojewoda jął to wkładać na pany, takie *wywabiania* się acz od człowieka mnie urodzeniem równego ale kondycyą mniejszego; odpowiedział, że ma też młodzika, który Czarnkowskiemu sprawiedliwość swą gotów ukazać i *prawem i Lewem*; poczém się zamówka ukołysała. Natychmiast wybucha inna, rzekł p. Kazimirski, że wszyscy pozwolili (by po posłów obcych słać), a p. Czarnkowski, nie tak, panie; Kazimirski, a ja powiem że tak, ale jako starszemu natenczas to kondonuję; Czarnkowski, musisz chociażbyś niechciał; Kazimirski, jeszczem nic z musu nie czynił i z młodszym uczyniłbym o to, że nie muszę; wojewoda poznański, toż o każdym rozumiej co o sobie; Kazimirski, toż a nic więcej i t. d., potem ich uskromiono i pogodzili się zaś. Ten dzień tak niefortunny był, że siedmiu w mieście zabito; Połotyński pijany prze zdrowie p. wojewody wileńskiego, chcąc za nim na koniu płynąć przez Wisłę gdy się wiózł, tegoż dnia utonął; tak wyglądał ów pokój.

W wotowaniu na elekta mija pan sochaczewski dom Rakuski, *żem Polak, muszę po szkodzie być mądr* i widząc że trudno (wbrew woli ludzkiéj) co czynić, wolę z towarzystwem *daléj objechać* niżli bez towarzystwa sam w drogę się puściwszy utęsknić sobie, chociam *był macan*, obiecawano mi, dawano. P. pisarz grodzki krakowski powiedział, króla trzeba obierać jako żonę nietylko *uszyma ale i oczyma*, bo z nim także *do śmierci mieszkać*, nie z posagu ale z godności osoby; wojewoda lubelski, że z młodego (króla, Zygmunta) *jako z wosku*, gdy dobrzy senatorowie będą, może uczynić co chce; mazowiecki powiedział, *jeszcze się ta kokoszka nie urodziła, którąby nam Piasta* *wyląc* mo-

gła; bracławski skarżył się, że o obronie ziemi ruskiej ani wspomniono, czego mi bardzo żal ile temu, który tam wszędzie prawie jako na szparze; inni ostrzegają, już prawie ogień pała, ledwo nie upadnie, więc nominować kandydata — nie rozumiejcie aby tamci (koło czarne już Zygmunta obwołało) skryptami nie mieli jadu swego cukrować; pan gnieźnieński prosi tylko, jakoby osłą nie ostrzono kosy dla wykorzenienia samych siebie. Coraz częściéj wyjeżdżają wotujący ze smutnym bardzo argumentem, na Szweda nie zezwalają, by był najpożyteczniejszy i aniołem z nieba (słowa jednego z Ostrorogów), bo nam *per fors* i gwałtem wsadzon; radzą Maksymiliana, poznaliby ci panowie (kanclerczyki), jako przed kim uganiać; Piast nie może być, bo nie bywał nigdy z nas (szlachty), chyba z książąt sieradzkiego, krakowskiego, etc., ukazałbym to racyj korcem; na traktaty nie ma czasu, boć mnie już szpadlem w gardle wiercą; by jedno z Królowej niewoli a z kanclerzowej wyniść, na każdego pozwolę. Z koła generalnego wysłano do Królowej (Anny), by do rozerwanego królestwa nie słała po szwedzkiego królewicza; gdy jej posłowie wymijając się oświadczali, rzekł wojewoda poznański: nie potośmy do Królowej JM. słali, proszę, odpowiedzcie nam *directe*, bo ta odpowiedź właśnie się tak rozumie, gąsko spowiadaj się — nie umiem po mrozie tańcować; inni zaczęli wołać, żeście nam dali pana na szyje nasze, którego my nie chcemy, daliście jako niecnotliwi i t. p., zaczem wstawszy p. ochmistrz począł wychodzić z koła trząsając rękoma, a mówiąc, trzebaby nas lepiej szanować (jako posłów Królowej); rzekł mu wojewoda, możesz nie przewodzić i tą ręką nie trząsać, jeszczeć to nie nad fraucymerem u królewicza szwedzkiego rządzić, jabym rzekł, iż lepiejby skromniej, i poczęli za nimi wielkim głosem hukać i świstać albo gwizdać. Krzysztof Zborowski zwraca się przeciw elekcji Wielkiego Księcia, boć powiadali posłowie jego, że przystojniej wieńcowi (wielkoksiążęcemu) na koronie niż koronie na wieńcu (t. j. coby prym wodzić miało); przyznają inni, że kondycje jego nie takie, jako ono Montluc na powietrzu ukazował, mimo to skłaniają się raczej ku Maksymilianowi; dawny partyzant rakuski, Czarnkowski, zapewnia o nim, że to dobra latoroska z dobrego krza, że potwarzają dom jego, jakoby lubiał prawa i przywileje łamać twój staw moje ryby. Skarżą się na przewlekanie rozpraw, iż dalej od progu niemożemy, choć niektóry w bród szli nieochylając rzeczy, np. wojewoda poznański, który formy „pokoju" z pełną władzą marszałka koronnego uznać niechciał, bo ten pokój munsztuk jest na usta ludzkie i boję się by długie cańki (wędzidła)

u niego nie były, aby poczciwym ludziom... milczeć nie kazał; inni widzą, że się na opressyą zanosi i nie chcą jako kuropatwy do saku iść, skarżą się na tych, którzy kierowali prawem jako wiosłem (gdziekolwiek), chcą odjechać do domów swych oświadczywszy się niebu, słońcu, miesiącom a o sobie radzić i obmyśliwać — frazes równie starożytny jak i ów, kto kość na wolności i szyje nasze naostrzył. Autor dyaryusza, p. Luboński, pisarz koniński, własne *votum* najobszerniéj zapisał; zaczął od porównania, jako żelazo albo nóż musatem (stalą) się ostrzy i wyciąga, tak też dowcip ludzki wymową drugich wybystrza się, a czasem trafi się tak barzo tępy albo twardy nóż, że mu nic musat nie pomoże, otóżem ja też podobno tym tępym nożem, bo racye z strony Maksymiliana dosyć mi nic czynią... obietnice (pieniężnej pomocy) w mieszek nie idą... tuby niejednemu razowi trzeba zabiegać, nie jednę dziurę zatykać... trzeba bronić Krakowa od... Siedmiogrodzian, którzy muszą wsiadać, skoro suremkę turecką usłyszą, trzeba też tym, którzy tę niewolę na szyje nasze kładą, pana przez moc dają, odpór dać... jaką niechęć bracia naszy przeciwko niemieckiej nacyi mają: Ruśniacy i Podolanie chcieli do Turka po chorągiew posłać, gdzieby był Niemiec za pana obran. Oto znowu dowód, jaką kopalnią przedstawia każda mowa, jeśli tylko obszerniéj wyłożona.

Najciekawszą byłaby ruska mowa kasztelana smoleńskiego, Jana Mieleszki, na sejmie warszawskim 1589 r., którą ze zbiorów Szczorsowskich przedrukowali Wiszniewski w VIII tomie „Literatury” i prof. Kostomarow w drugim tomie „Aktów do historyi zachodniéj i południowéj Rosyi”, gdzie co zdanie to albo przysłowie, albo cenna wskazówka do historyi obyczajów — przekonaniśmy jednak, że to nie mowa, lecz pamflet raczéj, od złośliwego dowcipnisia dla zdyskredytowania p. kasztelana podrzucony, ale i jako pamflet pozostaje ona dokumentem nader cennym i niechybnie z niéj korzystalibyśmy, gdyby tekst jéj był polski.

VI.

Wskazawszy więc w dwu poprzednich ustępach bogate źródło, z jakiego nasi zbieracze dotąd nigdy nie korzystali, przechodzimy do innego, równie bogatego i również dotąd nie wyzyskanego. Jak mowy sejmowe, tak i listy spółczesne przedstawiają niewyczerpaną

kopalnią przysłów i zwrotów przysłowiowych; i tu ograniczymy się znowu, by się zbyt nie rozpraszać, na listowanie XVI wieku.

List dla naszych celów cenniejszy nawet niż mowa; tekst mowy bowiem ulega najrozmaitszym skażeniom, zawisł od słuchu (skarżą się np. że p. Siennicki cicho mówi, trudno więc za nim „terminować"); od pamięci, która tenoru dłuższéj mowy nie zatrzyma; od zwięzłości i pośpiechu, obszerne mowy w parę zdań zbijających; gdy więc oryginalne brzmienie mowy tylko w wyjątkowych razach nas doszło, posiadamy listy w téj formie, w jakiéj się z pod pióra wylały.

Jeżeli wiek XVI-ty, w porównaniu z poprzedniemi, nagle się dla nas ożywia, jeżeli wybitne postaci jego nabierają dla nas wypukłości i kolorów, drgają życiem i ruchem, kiedy na szarém tle wieków dawniejszych wszystkie postaci zlane w jedną masę, martwą i niemą — zawdzięczamy to mowom, relacyom i listom, szczególniéj tym, jakie w języku narodowym nas doszły, bez owego pokostu łacińskiego, zacierającego wszelkie cechy, rysy i kolory. Występują w nich już nie owe średniowieczne, niby maryonetki, owe nieme przybory akcyi i faktów, lecz żywi ludzie, którym się usta rozwiązały, którzy własnemi słowami radują się przed nami lub żalą, oskarżają lub bronią, zamysły własne i obce odkrywają lub barwią, masę plotek i intryg, daléj szczegółów potocznego życia wyjawiają, okazują się nam w obozie lub radzie, na rynku lub w kościele, na drodze i w domu, przy uczcie i pracy, w gronie familii, sług i przyjaciół, czcząc się i lżąc, smutni i weseli, otwarci i obłudni.

Nie nazwiemy wprawdzie wszystkich listów pierwszorzędném źródłem historyczném, już dlatego, że ważnych wiadomości i planów listom nie powierzano, a jeśli konieczność do tego zmuszała, odbiorcom takie listy palić kazano; nieraz list powierzano oddawcy z ustném poselstwem. Mimo to służą listy raz dla odcieniowania pojedyńczych postaci; mimowoli uchyla się w nich maska, podpatrujemy rysy, podsłuchujemy zeznania, jakichbyśmy w wystąpieniu publiczném próżno szukali; służą daléj historyi obyczajowości za skarb niewyczerpany; służą nakoniec historyi saméj, podając fakta, sądy, motywa, którychbyśmy próżno gdzieindziéj szukali.

Lecz dopiéro dla drugiéj połowy wieku staje się zapas naszych listów bardzo obfity, szczególniéj listów polskich. Po polsku piszą wszyscy ludzie świeccy; duchowni pozostają przy łacinie, uważając ją za obowiązującą; biskup poznański, Izdbieński, czuje się urażonym, gdy ks. Zebrzydowski do niego po polsku pisze; arcybiskup Uchański tłómaczy się przed Hozyuszem, że po polsku, nie po „katolicku" (t. j. po łacinie pisał; do kapituły swéj kilkakroć pisze o jedną rzecz, a ja-

ko widzi próżno, przeto że prosto po łacinie, jako ten ksiądz, który we Włoszech nie bywał, teraz po polsku pisze abych się dał lepiéj rozumieć, jako częściej tym naszym domowym językiem mawiam a podobno też i wy wszytcy takież, luboście tam bywali, gdziem ja nie najrzał. I rzeczywiście, cała korespondencya duchownych, listy Zebrzydowskiego, Kromera, Hozyusza, Uchańskiego, Karnkowskiego i t. d., humanistów, Janickiego, Orzechowskiego i i. łacińska, list polski zaplącze się wyjątkowo; również łacińską korespondencya od i do Batorego.

Lecz i list polski listowi nie rówien. Ludzie XVI-go wieku, zajęci równocześnie tylu sprawami, obarczeni korespondencyą tak wszechstronną, udzielają sobie nawzajem tyle wiadomości domowych i zagranicznych (gazet jeszcze nie ma, a progres wojen tureckich lub zajść francuskich bardzo ich zajmuje), tyle intryg i plotek w domu i po za domem, zabiegają o tyle tyłułów i intrat, sporów i procesów, przypominają się przy każdéj sposobności rodzeństwu i przyjaciołom z zalecaniem swych służb i pytaniem o łaskawe zdrowie, że list, to często tylko kupka rozwlekłych frazesów służbistych, dobrze jeszcze, jeśli i jaka wiązanka suchych wiadomości. Z masy bezbarwnéj korespondencyi wyróżniają się znacząco listy niewielu osób, Radziwiłłów, Zamojskiego, Sapiehy i i.

Wrażenie, jakie się z tych listów o rządzie i kraju odnosi, bardzo smutne; ci ludzie nie łudzą ani siebie ani innych i na ustach ich wciąż wyrazy zniechęcenia i zwątpienia; powtarzają, giniemy, bez obrony, bez rządu, bez skarbu; pełnią chwilowy obowiązek, bez zapału, bez ufności — a są i tacy, którzy by się zupełnie wszystkiego wyrzekli, by odpowiedzialności za wszystko nie dzielić. Przytoczymy jeden przykład, który mógłby pod niejednym względem postępek niedawny p. Casimir-Perier przypomnieć i wytłómaczyć. Mikołaj Radziwił-Siérotka (w liście do brata stryjecznego z 25 kwietnia 1586 r.) wié, że nic Polsce nie pomoże; ojciec mój (hetman i wojewoda, Mikołaj Czarny) ten i majętności już sobie przepytywał w obcém państwie chcąc się ztąd wynieść oddawszy wszystkie urzędy i by był żyw, wiem żeby to było doszło, bo i powiadał mi to i pisał (z listów króla Zygmunta widzimy, że i królowi o tém pisał)... Drugi, wojewoda podolski (Mik. Mielecki) ze mną w Warszawie mówił że skoro dziewkę za mąż wyda, zaraz z żoną chce wyjechać i nigdy do Polski do śmierci swéj się nie wrócić... To ci nie miłowali ojczyzny? abo jej na swych ramionach dźwigać nie chcieli? i owszem... ale to chcieli uczynić jako ludzie dzielni i wielkiego ducha, którzy gdy widzą, że ojczyzna w upadku a pomóc jej nie mogą, wolą zdaleka słyszeć o jej złem, z świadectwem większéj części świata, że nie przez ręce ich ginie, niż zbliska

patrzéć a w podejrzeniu być u niektórych, że też oni przyczyną do zguby... Inni, ludzie zamożni i wpływowi, rzeczywiście z Polski dla tego wychodzili, np. taki Jan Osmólski.

Prócz spraw wewnętrznych i zewnętrznych mowa w tych listach o wszystkiém; Jan Zamojski posyła Krzysztofowi Radziwiłowi obrazy Jana Tarnowskiego i Konstantego Ostrogskiego, nie posłał swego malowanego, gdy będzie zgotowany, poślę go, ale rozumiem że z tamtemi obrazami nie warstwa memu stać, zgodzi się mu zwinionemu gdzie w kącie leżeć; Sapieha dziękuje Radziwiłowi Siérotce za klawicymbał z fletem i za terminaturę peregrinacyi (t. j. dziennik pielgrzymki do ziemi św.), którą przepisawszy odeszle; komisant jego pisze mu, że ks. Smiglecki żądał, żebych mu flor. 20 dał na drukowanie książek od niego wydanych, jakim sposobem zastawy iść mają a lichwy się uwarować, które książki radby WMi przypisał; wspominają o niemieckich książkach *de re militari* grafa Solms, oprawnych we złoto a zielony aksamit, drukowanych przez hrabiego doma u siebie i rozsyłanych tylko książętom, ludziom rycerskim.

Cytują w listach Fraszki Kochanowskiego i Zwierciadło Reja; Zamojski donosi o gramatyce języka polskiego, którą dla małego Tomasza piszą; układa emblemata z trofeów, postaci alegorycznych i włóczni herbowych, siląc się na kunsztowne *motto*, daje to w Wilnie wymalować, a we Flandryi na oponach wytkać; z Flandryi sprowadza kilku muzyków-chórzystów, lecz drodzy, wymagają każdy prócz utrzymania całkowitego dwieście talarów rocznie. Zamojski zamawia dwa puzdra srébrnych talérzy u Glazera, złotnika poznańskiego, za robotę da 100 zł.; u wileńskiego złotnika Dyle daje Sapieha miednicę srebrną włoską robić, z naléwką, pytają, czy każe w środku miednicy herb (Lisawiec z wiankiem, albo ze lwy, z innemi herbami) odrysować. Obszernie traktują sprawę nauki zagranicznéj, nie godzą się na Strasburg, gdzie licha nauka i porządek nie ozdobny, cały ten kąt tam ciemny i sprośny, nie dla młodzi pańskiéj, polecają Leodyum z Lipsiuszem lub inne; tylko o szkole krakowskiéj już milczą, jakby nie istniała wcale.

Więcéj miejsca, niż kunsztom, literaturze, poświęcano opisom, jak urządzono w Wilnie egzekwie dla synowca Batorego, w jakim szyku prezentowali się słudzy kanclerza, cudzoziemcy zaciężni, hufy litewskie; jak się odprawowało wesele w Knyszynie od niedzieli do czwartku, jakie upominki i kto dawał i całkowity rejestr potraw pierwszego dnia (na trzy dania, na misy i półmiski, gdzie to były: zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem wielkim i migdały, kapłon z zieloną juchą cukrowany, w czarnéj jusze baranki angielskie, kiełbasy wa-

rzone z brunatną juchą, mostki cielęce nadziéwane i t. d.); opis „Derptu”, „mniejszy niż Toruń, kamienice wszystkie ze szczerego muru, nakształt toruńskich, drewnianego domu żadnego nie masz, lecz cóż po tém, kiedy całego żadnego nie masz, wojna w niwecz obróciła, sklepy popsowano, izby one kosztowne połamano, kletki drewniane dymne naczyniono, trzeba wielkiej reformacyej. Znać że tu ludzie przedtym bogaci i rządni byli. Jeśli tu będą mieli nasi Polacy osiąść, wątpię, aby od wojny w gospodarstwie poprawić się mieli, trzebaby tu onych rzadkich niemieckich kupców... ja wątpię byśmy z tem wiedzieli co rzec”. Przyznanie to, to chyba kartka do dziejów upadku miast polskich.

Jeszcze więcej miejsca zabiorą opisy burd i swarów w mieście i obozie, mimo srogich kar, odsłaniające niezwykłą niepohamowaność i porywczość tych ludzi, któréj nawet podochocenie i długo tajona nieprzyjaźń niezawsze tłómaczą, lub zły humor dla przegranéj w karty, z którym się nikt jeszcze nie kryje: krajczy Mniszek, wygrywający, powié do dworzanina Gołkowskiego: będzieszli mnie prosił, toć wrócę—po innych przymówkach ten zgrzyta zęboma i rzeknie: przecie to sromota, a Mniszek: abyś mi to gdzie indziéj (nie w obozie) rzekł, nakręciłbym ci czupryny, a Gołkowski na niego: by mi tu gardło dać i t. d.; obok onego słowa, o które się i chłopi w karczmie gniéwają”, zły, niecnotliwy człowiecze, zwykła przymówka; tak zawołał i kanclerz na Piéniążka rotmistrza, gdy go ręką za kołnierz u żupana uchwyciwszy, porwał i przy koniu przez kilka stai spieszno wiódł, że dobrą inochodą (trabem) przy inochodniku iść musiał.

Łowy i co do nich należy, również często wspominane. Od Krzysztofa Radziwiła król (Batory) wdzięcznie przyjąć raczył niedźwiedzicę, dziś ją szczwał, ale sna niedobrze się pocieszył, bo Maciek myśliwiec zabił ją zarazem, o co go też do więzień wsadzić kazano. Zamojski założył zwierzyniec, więc prośby i posyłki o żubrzęta i łosięta; gdy zaś prosi dla jakiegoś Włocha o kopyto łosia, wedle czasu zabitego, to pewnie w celach leczniczych; w pudłach, dobrze karmiąc, posyłają sokoły, zamawiają dzwonki sokole francuskiéj roboty. Dziczyznę posyłają często w upominku, trzeba jéj do bankietów, „czczą się” często, a bywa też, że gdy u p. kanclerza jadł p. wojewoda wileński i pan trocki i popili się tak wszyscy, że nasz pan (kanclerz) spał cały dzień i nie wstawał z łoża aż do samej nocy. Na formy towarzyskie uważają bardzo, razi ich, że p. marszałek na wszystek świat zagniewany a z nami więc i z kancelaryą b i j z a b i j ani czapki przed nami ruszyć chce, gdy się gdzie zejdziemy; zawaśnienia takie najrychlej o intraty, np. o Rogoźno, są też tu głodni a już dawno o t e j g r z a n c e przemyśliwają; albo, już tu o Bolesławiec szepcą, nikomu innemu nie

oberwać jedno p. radomskiemu, dawno przedtém przestrzelił tu o tém i t. p.

Między autorami listów są wszelkie stany, płeć i wiek, posiadamy nawet listy karlicy, bądź opisującéj, jak się chroni od napaści przerastającego ją już Zygmunta — siada na ziemię, jak żebrak przed psami, bądź proszącéj, by księżna (Zofia) o siostrzankach (Zygmuncie i Annie) w testamencie nie zapominała. U wszystkich, czy pisze królowa czy karlica, kanclerz czy arcybiskup, ksiądz czy żołnierz, styl jednaki i ortografia ta sama, nieco chwiejna, dowolna, jak po ówczesnych rękopisach ogółem. Styl mężczyzn naturalnie jędrniejszy, chociaż i kobiécemu dosadności nie brak; liczne słowa, zwroty i przysłowia łacińskie pstrzą niepotrzebnie styl męski; efekt listów od mężczyzn jak od kobiét psuje tylko ów nieszczęsny Raczył, przyczepiany ciągle, i owe mościwanie, szczególniéj na początku listu bardzo rozwlekłe, zabierające zawsze dwie lub trzy linie. Wysłowienie łatwe, tok mowy gładki, choć nie dla uszu XIX-go wieku; nowsi wydawcy tych listów psują ich układ nieraz, fałszywą z gruntu interpunkcyą i innemi myłkami.

Wobec całéj prostoty, nieraz rubaszności tonu uderza témbardziéj, jacy ci ludzie—prócz kobiét, gdy do kobiét piszą, np. królewna Anna do sióstr o swojéj fluksyi i innych dolegliwościach — w rzeczach fizycznych, w potrzebach i przypadkach ciała wstydliwi, jak je omawiają. Zamojski np. pisze: przeszłej zimy uczciwszy osobę WMi, zmroziłem sobie nogi; innym razem musi doma zostawać, takie na ten czas przypadki na zdrowie swe mając (o których że oznajmuję racz mi WM. odpuścić), iż poty ustawiczne miewam, że przez trzykroć ścierają mię z nich przez noc i także w dzień; na wiosnę da Bóg ochłodziwszy wątrobę i innych lekarstw używszy opatrzę zdrowie i t. d. Również ciekawe, jak się oni wszyscy, gdy starsi, „na wiosnę" starannie leczą, nigdzie się nie ruszają, kuracyi w domu nie dokończywszy, np. p. Lubelski musi się co dni leczyć teraz na wiosnę; jak święcie w „medycyny" i t. p. wierzą, np. kiedybym (pisze kanclerz) w gębie cukru lodowatego albo kołaczków nie miewał, jużbym podobno dotąd nie wytrwał (było to przeciw kaszlowi); lekarstw na wiosnę nie używałem, bo temu który się im jako ja przyzwyczai, bywa szkodliwa; Żółkiewski, naturze saméj ufając, lekarstw nie zwykł używać, więc mu kanclerz radzi, by się niemi ratował; książę Siérotka pisze do księcia Krzysztofa: zatrzymałem pacholę WMi, bo przyjechał prawie gdym uczciwszy WM. do wanny wchodził. Kobiety szczególniej wywiadują się o lekarstwa, posyłają sobie wódkę na oczy, która niestety nie pomaga; nieodrodne córki Ewy myślą o gładkości i strojach,

królowa Barbara prosi matkę o bielidła, bo jej już wyszły; proszą inne i posyłają o wzorki, materye, obsyłają się nawet tak cennemi darami, jak krupki i t. p.; Barbara ciągle pierścioneczkami mężowi się przypomina. Od darów i leków niedaleko, szczególniej za Zygmunta Augusta, do bab-czarownic i astrologów, oznajmujących, kiedy wyjeżdżać i t. d. należy, za Zygmunta III-go do alchemików i ich prób kosztownych.

Daléj możnaby z listów ułożyć cały kodeks ówczesnéj mądrości życiowéj, parę prób przytoczymy niżéj. Kwestye religijne wstrząsają jeszcze silnie społeczeństwem szlacheckiém, odbywają się nawet przy obiedzie królewskim dysputacye. Pan sam kwestye poruszał, a p. nakielski ślubuję toć się miał o religią od nich, ale mu argumenta nie stawało — pisze ks. Piotrowski; później nieco pisze były kalwin, a omal nie aryanin i nowochrzczeniec, Lew Sapieha, do kalwina Krzysztofa Radziwiła, dlaczego się nawrócił do Pana swego i Boga swego, dlaczego woli na słowach Pańskich przestawać, niż na śmiałym wykładzie ludzkim. Gorliwy katolik, Siérotka, przestrzega gorąco Katarzynę Ostrogską, katoliczkę, gdy za kalwina Radziwiła wyszła, by się do bałamutni kacerskich nie udała, przedewszystkiém aby chocia raz kacerskiego kazania nie słuchała, bo po co ma do kacerskich bożnic chodzić słuchając plew miasto ziarna, a to kluczka tych sług szatańskich, aby jedno pierwej namówić do kacerskiego kazania, zaczem wszystko złe... daleko nie chodząc tym była ułowiona (pierwsza żona Radziwiła), posłuchawszy kilka razów tych bałamutni... silną heretyczką była, źle często o Bogu mówiąc, jako ją téż p. Bóg ciężce pokarał i t. d.; może też za jej wiarą opuści mąż te fraszki które gruntu nie mają a słowem Bożém zowią naukę dyabelską.

Osobliwszą wartość mają listy, do Andrzeja Opalińskiego pisane. Pan marszałek koronny, „doma siedząc, pieniądze zbierał", ale nadzwyczaj był ciekaw wszystkiego, co się w rzpltéj działo, więc miał licznych korespondentów, którzy mu ledwie dogodzić umieli; inni żartowali, np. kasztelan wileński, mówiąc: ten polak wielki doma siedzi a chce wszytko wiedzieć co się na wojnie dzieje, czemu na nią nie jedzie, a inni się skarżyli, np. Gize dziwuje się, że WM. niekontent z tego co posłał, więcéj nie mógł posłać, wszystkiego przecie nie może pisać, do tego z to czasu niema. Ale te listy i kopie, o które p. marszałek ciągle się wszystkim uprzykrzał, a między niemi listy ks. Jana Piotrowskiego, stały się dziś źródłem takiéj wagi, że np. zbioru ich z roku 1581 nie wahali się wydać ruscy historycy w zupełności, jako najcenniejszego przyczynku dla dziejów ważnego roku.

Gdy tak listy te ważne dla historyka, powieściopisarza i malarza, udzielają im licznych a ważnych szczegółów, rysów, barw, zawiérają one również wiele i dla naszych celów.

Wybierzemy więc znowu paręset przysłów z listów XVI-go wieku, nie dlatego, że o pół wieku rychléj, niż u Rysińskiego, zapisane, ale, by wykazać, jak się przedstawiały w żywéj mowie, nie w suchym zbiorku; jak obiegały wtedy w takich sferach towarzyskich, w których dziś byśmy może nie tak łatwo się z niemi spotkali; jak chętnie jędrne wysłowienie ówczesne niemi się posługiwało. Lecz nie myślimy bynajmniéj wyczerpać całego listowania XVI-go wieku; wyczerpiemy tylko niektóre zbiory listów pewnych osobistości, a około takiego zrębu głównego postawimy kilkadziesiąt wypisek z listów innych osób; nieraz prócz przysłów notujemy i same szczegóły obyczajowe.

Książę Siérotka, to człowiek schorzały, któremu życie niebawem ciężarem stać się miało, który rychło „udał się na pokój”, stronił od świata i nie parał się zbyt publicznemi sprawami; tém więcéj zostawało mu czasu, by, doma siedząc, sąd o sprawach obszernie formułował; on nie dworak, prawdziwy i szczery a fałsz nie najdzie się w uściech jego (słowa Lwa Sapiehy o nim); „sielskich obyczajów”, jak sam przyznaje, pracował gorliwie nad rozszerzeniem materyalnych podstaw rodowéj wielkości — więc prowadził życie tak ścisłe, że sam się o skąpstwo obwiniał. Cóż dziwnego, że taki człowiek prawdy-matki nigdy nie zatai, a często rubasznie ją wypowié; o sobie samym jest zdania bardzo skromnego, nazywa się stale p r o s t y m d u d k i e m, d u b i e l e m, jako Litwin koroniarzy nie lubi, im nie ufa. W listach do familii, głównie do księcia Krzysztofa, mówi o unii: to już próżno, p r z e d s i ę n a m p i s k o r z (t. j. Litwie gorsze); secreta króla JM. (Augusta) już się b o d a j n i e p o r y n k u t ł u k ą; król JM. sobie tuszy, że ten sejm pójdzie po jego woli j a k o w i a n k i w i ł (t. j. gładko). Biskupowi wileńskiemu pisze o odjęciu kamienicy kalwinom (jeśli się nie uda inaczéj), p ó j d ę z t y m i l u d ź m i w b r ó d... p o c z n ę z i n s z e j b e c z k i. Listu do ks. Krzysztofa zaraz nie posłał, więc l e n i w e m u B ó g u g o d z i ł, znalazła się inna okazya; skarżą się niektórzy, o czém wolę milczeć, boć i t a k j a ł a ź n i ą w y m y w a m, c h o c i a m n i e w i n i e n, więc kiedy kichnąć mam, to się obeźrzę, aby kto źle nie wykładał, a cóż mówić albo pisać... skarży się na Madjarów, z nimi u d y a b ł a b ę d z i e w s z y s t k o; na sługę, co t e g o p i w a b y ł n a w a r z y ł, na innych Lachów, co szumni a Litwin u nich s o b a k a; głównie zaś na swaka (szwagra, Zamojskiego), który mi w y r z ą d z a d o b r o t k ę g d z i e m o ż e, zgoła chce, abyśmy go adorowali, że to Radziwiłównę pojął. Daléj skarży się na Krzysztofa samego: Ościk o mnie przed

JM. żwał (t. j. obmawiał mię) i sznypki mi wyrządzał (fimfy), a JM. na mię nie łaskaw, to mi jako nożem w serce... ale azaż głową mur przebić; toż było szczęście mego ojca, komu rad służył, ten mu w nos; o kogo niedbał, tedy łaskawszy nań był; ja wytrwam jako dudek. Prosi ks. Krzysztofa do siebie, ale wczas zamawiam, trzeba wszytko za wdzięczne przyjąć, bo u chorego gospodarza nie każdy wytrwa; możnaby raz być u mnie w niedzielę, bo też potem będę sobieskim, przypnę ostrogi, kto odemnie nie chce to ja od niego; potwarz i przezyski... oboje to dobrze w górę wyleciało (t. z. rozmnożyło się) w Polsce; radziłbym, aby Smoleńskowi dać pokój, już to dawnością wyszło, a jeśli łeb świerzbi, ono Tatarzyn z Turkiem, u których nasz pokój w garści a nie u nas; od dworu nic nie wiem, bo choć tam wielki gościniec, tedy jedno na furmany a nie na nowiny; wymawia się wraz z żoną, choć omieszkamy teraz kosmatego (por. kosmato witać przy chrzcinach), powetujem tego. Przestrzega przed zbiegiem, który zapali swą bałamutnią ten pożar, gdyż widzę i sami króla stymulować będziem za tą powieścią tego chłopa na wojnę, a ono by król i Złotą Babę osiodłał co za Białem Jeziorem, niemieć Litwie nic jedno piskorza; a dyabeł że nam do tego, że tam sobie oczy drą (walczą z sobą), cóż nam za prawo zatym na nich urosło? chyba wilcze; lepiej jeszcze czekać, gdy sami w się pójdą a upleni się ich, tedy naszym junakom lżej będzie a naprzód przecie nasze jałowice... ja z drugą Litwą według Kochanowskiego fraszek przy kuflu stoję, lepiej leżeć upitym niż zabitym... jeszcze nas dalibóg wszystkich razem król zaprzęże w pałuby i powiezie a przecie ścierpim to i rzeczem że dobrze, my go psujem nie kto inny, abyśmy i anioła mieli, tedy przydalibyśmy go w towarzystwo do Lucyfera za naszymi sprawami ...ej toć teraz świat arcydyabelski. (Bratum Stanisławowi) napisał, żem jako żyw nie widział, aby z miłości kto starszą pojął, chyba dla tłustych garnków, więc czemu on chce być pierwszy na świecie? Pnąć się ludziom zacnym na urzędy nie godzi, bo jesli kto tak dufa rozumowi swemu, że Rptą dźwignie, nie mówił z Bogiem o tym, więc sobie obiecować nie może; Bóg ludzie różno tworzy, jednym trzeba ostróg a drugim wędzidła; ja siedzę doma, bom chor, ale bych był i zdrów, tedym dubiel (prostak), jeśliżbych jeszcze był mądry, co nigdy nie będzie bo już kur zapiał, tedy wiem że nic nie pomogę. Nad dobrem Litwy czuwa niespokojnie: nie utyć Litwie na tym, jam dudek ale widzę to dobrze, że my Litwa szczepim pracujem, a kto inny goduje... Smoleńsk dobra grzanka, ale będzieli co Litwin

z tego targu miał, niech ja tracę i gardło i co mam; widzę, choć w Litwie wino się nie rodzi, najdują się coby tu majętności kupowali, a co to jeszcze nie kupić jedno n a m i w y h o r o w a ć, azaż to nielepiej?

Skargi na zdrowie ustawiczne: łeb cięży a s c h n ę j a k o s z c z e - p a, n i e d ł u g o m n i e j u ż d o s y c h a ć, już c h o d z ę j a k o c i e ń; ubliżyć sobie nie da, a to z łaski WMi i t ę z e p l w a n ą b r o d ę (to ubliżenie) Bóg na mię przepuścił... by chłopów (Paca, kradnących „puszczą” a połapanych, lecz wypuszczonych) było zastało to pisanie jego o mnie, na cnotę mu to swoję obiecuję, że bych mu był w jego Mohilnéj kazał ich na wrociech obwiesić; lecz mityguje się, mam co potrzebniejszego czynić i samego wojewody (Paca) nalazłszy na drodze nie podjął bych a cóż z chłopy jego harcować. Procesów unika, z łaski Bożéj już teraz n o w i n a pozew w domu moim; i dla teściowéj nie wda się w jéj sprawę, j e d n o s ł u c h a ć b ę d ę, g d z i e m ł ó c ą, daléj ni oczym wiedzieć niechcę, bom ja u Jej M. zięciem nie z p a r t y k i (kawałka) c h l e b a a p ł a s z c z y k i e m s p r a w p o w i n n y c h J M i b y ć n i e c h c ę.

Do elekcyi Wielkiemu Księciu d r o g a s i ę ś c i e l e, j e d n o t u s ę k (d u ż y s ę k na inném miejscu), jako nie poszli li byśmy z Polaki z a ł e b, bo oni wszędzie chcą h e r s z t o w a ć; p. marszałek W. K. to o d y n c h r e s t z p. kanclerzem (jedna ręka); trefna to, że t a k i b ę d z i e d e s z c z z t a k w i e l k i e j b u r z e (o Zborowskich); toć to p r z y j a ź ń p o l s k a, widzę, nie mają nad nie Włosi nic, u których p r z y j a ź ń z a g r o s z e m; kanclerz nie szczerze o kandydaturze W. Ks. myśli, p o t e m s w e g o k o t a w w o r z e z a c h o w a n e g o w y t k n i e: tomci WMi te swoje dumy sielskie chciał wypisać a to czasy takie że nietylko mądrzy radzą, ale i d u d k o w i e t e r a z p i e r d o l ą (gwarzą) uczciwszy uszy WMi, wszak *interregnum*. Kolega mój już snać w głos rzekł, n a c h y l ę j a k a r k ó w d r u g i m, gdy u nas Szwed będzie panem; upomina brata: po nas ludzie w ojczyźnie będą, tymci trzeba to co dobrego zostawować, n i e ś c i a n o m n i e l a s o m, a l e l u d z i o m. O Szwedzie pisze: nieprzyjacielowi wielki to smak kędy pan od poddanych opodal, a zwłaszcza za morzem, n a k t ó r e m t r u d n o n o c l e g i r o z p i s o w a ć.

Dla prywatnych interesów musi się w Wilnie zatrzymać, choć mi tam schorzałemu chłopu ciężko, ale k t o d ł u ż n y i p o d u s z k a m u m i ę k k a t w a r d ą s i ę z d a i n i e t o c z y n i c o c h c e j e d n o c o m u s i; zaręcza, że listu zrozumieć nie może, bo niepodobna to aby wiedzieć nie miano, co czynić z takimi rzeczami, w i e t o b a b a n a p i e c u s i e d z ą c, podobno na to ten proces, aby na cudze zdania składać, onoż r z e m i e ś l n i k o s w o j e o b c e g o r z e m i e s ł o n i e p y t a;

(często mnie zwodzono) więcej tego łyka gryść mi się nie chce; racz mi ten list odesłać, abym go schował, bo komu się zemleć może, mnie się skrupi. Sprawy litewskie zawsze na myśli: WM. wiesz, co się w Inflanciech dzieje, Litwa jednak winna i już to zawsze sokół nad kaczką będzie; o Nalewajku tuszy sobie: jeźli pójdzie tędy ledwieby na prask nie trafił (t. z. na zgubę), wszakże iż on w kupie a naszy jeszcze opodal i po różnu, miałby siła przed nami. Aliści p. stolnik do Nieświéża (przyjechał) na krótkiem toporzysku (na króciutko), to powie WMi pan stolnik, tocieśmy ludziom solą w oku. Pełnomocnictwo, dane żydowi od wskrzeszonego impostora (t. j. od drugiego fałszywego Dymitra), a to trjaśća w dudy ihrajeć (febra na dudach gra, my głupi słuchamy), obiecuje nam Dymitr 500,000 rocznie przez *legatum a latere*, nalazła Marta Gotarda, *imperator legatum* (jaki pan taki poseł). Listy stają się coraz krótsze, skargi na dolegliwości coraz silniejsze, kawęcząc doma nigdzie się ruszyć nie może, stał się prawie (całkowicie) półczłowiekiem, składa więc w tak okaleczoném zdrowiu urzędy — panie Boże jeno daj rychło dobrą śmierć, bo mi się już ciężce przyjadł ten trudny i ciężki żywot; umarł 28 lutego 1616 roku.

Od rubaszności i zgryźliwości listów Siérotki odbija spokojny, równy, poważny ton listów „swaka”, kanclerza Jana Zamojskiego, lecz i w nich znajdziemy nieraz żywsze słowo, trafne porównanie, dowcipną bajeczkę. Pisze np. o królu (Batorym), że radby i ptakiem stąd (z pod Gdańska) wyleciał do Malborku; w liście do Krzysztofa Radziwiła skarży się, że długo nie mógł pisać, dla różnych turbacyjek od fałszywych braci czy wychowańców—bo już nieprzyjacielowi niedziw— ale to piwo prędko z sieczki uwarzone prędko będzie tam gdzie Miechowicine grzyby (wznieciły się z niczego i rozlecą z niczém). O warzeniu piwa z sieczki i Czesi mawiają: doszkowe piwo (złe piwo), piwo z doszków (ze słomy z dachów) a Brat Czerwenka zapisał przysłowie: wpadł na pomysł doszki drzeć, t. z. ironicznie, o nic do rzeczy, znana jest ta historya powszechnie o warzeniu piwa z doszków, jak się niem spili, potém i pobili, pierwéj, niż je ochmielili. O Miechowicinych grzybach zaś wspomina i Skarga we Wzywaniu do jednéj zbawiennéj wiary, jako o rzeczy do niczego, wedle lekarza (i historyka) Miechowity należy bowiem grzyby, aby nie szkodziły, dobrze wydusić, opieprzyć, okwasić, a kiedy najlepiéj już przyrządzone, za płot wyrzucić — tak samo opowiadały gazety zeszłego roku, należy -- wedle prof. Kocha—gruszki jeść, z wszelkiemi antysep-

tycznemi przyborami ręce i nożyk obmywać, gruszkę obiérać, a potém za okno ją rzucić.

Że ta sprawa tak potrzebna nie doszła, ze mnie jako z gęsi woda (nie moja wina); dobrzeby, gdzie się ogień błyśnie, abyśmy z trzaskiem gasić bieżeli, trzeba jako na gwałt ludziom bieżeć; imię (Hospodara, który doniósł o zamiarach tureckich) racz WM. ochraniać proszę, bo mu o płatną idzie (o życie); gdyby zaszli Tatarowie w tył Węgrom, klasłaby z gruntu (upadłaby) ta od nas część węgierskiej ziemi, basza téż mózgowiec jest jakiś, wszystko przeciwko rozumowi poczynał; wierz mi WM., że to na mię nielada węzeł, *in hoc casu* zjazdy nic nie pomogą, nieprzyjaciel (Tatarzyn) to prędki, jak deszcz zwykł spadać, nimby zjazd sam doszedł, mogłoby być po harapie (po wszystkiemu); gdy naszę gotowość widzi, da czasem pokój, gdy się mu odkryjem by najmniéj, przyskoczy i przytnie,.. o gościńcu swem nikomu się nie zwierzy, a gdy się ruszy, pobieżą posłańcy z wieścią, on téż tym czasem pobieży im na grzbiecie; dnia ruszenia swego nie zwykł się zwierzać nikomu ani noclegów publikuje; na to, że Turcy chcą Sycylią wojować, spuszczać się nie trzeba, by indzie ukazawszy indzie nie strzelono... ja koni pilno szukam, pancerze szoruję; po wzięciu od Turków Rabu na cesarzu, z jednę stronę ściana sąsiedzka nie telko się zapaliła, ale się już poczyna walić i t. d., owa zewsząd prawie podpałów pod RP. naszą dosyć.

Obrona zaś jakaż nędzna! niedostateczne o niéj postanowienie na sejmach, gdzie trocha wojska ledwie się wyłatała lub z kwarcianych pieniędzy trochę się starych żołnierzów zakropiło, skłania kanclerza do wyznania, jest przypowieść stara na chromym do domu ale my na wojnę na chromych; ciężarom tym tak wielkim, bym się ja rospukł, sprostać sam nie mogę; sam jakom frasowny o tę przewłokę, widzi Bóg, że nie inaczéj, jedno jakobym u kata miał być na mękach, blaskotek świata tego jużem syt przez lat dwadzieścia, zdrowie jednego szlachcica polskiego i litewskiego jest mi milsze (podobnie wyraził się ks. Bismarck o kościach grenadyera pomorskiego) i dobro Rtej spólnej aniż wszystkie wystawy (list z r. 1601); już r. 1587 pisał, by ociec mój zmartwychstał a królem go uczyniono, tedy bym ja u dworu nie mieszkał, sytna to potrawa, jam kwestów żadnych nie patrzał a wdzięczność ludzka jaka jest, to WM. dobrze wiesz; podobnie zarzekają się inni dworu, np. Siérotka: przebóg nie pytaj się u mnie WM. o nowiny dworskie, by mię tak grzech mierział jako ten dwór, tedybych nigdy nie grzeszył, naostatek uciekam, abych nie słyszał, gdy mi o nich powiadają.

Na wojnie inflanckiej przystęp do Białego Kamienia trudny za błoty i łęgami, rzekami, jezierzyskami i prze dobre opatrzenie, lecz bym się nie miał oń kusić, poszłoby to na szarę pychę; radzi, by (Krzysztof Radziwił) popierał wojnę, bo już niemal wszystka prowincya w ręku, Biały Kamień, który w rękach już jest, sercem ja kładę Estonii, Rewel głową, Narew żołądkiem, który żołądek nie twardy do pożycia, zaczem i głowa, choć ma dużą kość, za upadnieniem serca i żołądka zemdleć musi; zastrzega się, że nie zamierzał mu szkodzić, nogę komu któryby królowi i Rptej służyć chciał, zastawować i Boga bym się bał i nie jedno ludzi ale i siebie sam wstydzićbym się musiał, tém bardziej, że jak już dawno o tém pisał w Litwie na ludziach schodzi, acz i u nas w Polszcze ich przebiera się, ale Litwa prawie spieszeje (całkiem upadnie), jeźli jej WM. nie wesprą.

Oprócz spraw państwowych zajmują go osobiste i majątkowe; gdy mu druga żona, Radziwiłówna z domu, umarła, nie tylko wszytko ine w tem żalu ale niemal i słońce które mi świeci omierzło mi; Jerzego (późniéj biskupa i kardynała) napomina: z Bogiem źle grać, trzeba udawszy się raz na Jego służbę inego pana nie szukać; rozumiem, że WM tu tknie ręką w czoło; jeśli teraz insze wiatry uderzyły i insza myśl WM. napadła, to nie wiem; w Zamkum ja jako żyw nie był i prostom w ów czas kota w worze od WKsM. targował; ja nie rad złego sąsiada gram z nikim a pogotowiu z przyjacielem; dla częstych prośb zowie się sam wielkim proszakiem. Służby me WM. zawżdy stateczne poznasz, choć nie z huku i wołania ale z skutku, acz gdzie tego potrzeba poniesie, i wołać będę. Zato Ks. Ostrogskich przyjaźń bardzo jest ciężka, hodaj nie cięższa niż niewola, sami to coraz do łba; by tak wydziwiać i wzrzędzać nademną mieli, wolałbym już być na stronie. O sobie donosi: Bóg to wie jakom zniszczon i upadł... samemu mi się też od głodu dobrowolnie zdechnąć nie godzi; o mem zdrowiu, z łaski bożej dobre jest, jako to na swej paszy i w jakimkolwiek pokoju. Nie rzadkie przenośnie, np. teraz gdy jeszcze na szalach są rzeczy i nie wiedzieć jeśli pokój albo wojna przeważy; nie utyje żaden na tem (na téj plotce); lepiej rzeczy mieć ku temu przypadkowi gotowe i jako łuk ku wystrzeleniu napięte; pokazało się, że to był wiatr próżny i t. d.

VII.

Najobfitszą korespondencyę z owych czasów pozostawił Lew Sapieha. Wprawdzie wiele listów od i do niego, rzeklibyśmy urzędowe, suche, donoszą tylko krótko, co zaszło, proszą o radę, pomoc, wypisy z metryki litewskiéj i t. d., ale znajdą się między niemi i bardzo obszerne, wcale otwarte, nader charakterystyczne — niestety, widzimy, jak często właśnie podobne listy palono, na wyraźną prośbę korespondenta, by oko niepowołanych na nie nie padło, np. pisze Zamojski: wiem że ten list mój mimo WMi od żadnego czytan nie będzie, o co proszę, i żeby był zaraz zdrapan; to coś mi WM. pisał już w ogniu, pisze Siérotka do Krzysztofa i t. d. Najciekawsze zaś z tych pism, listy Sapiehy, jako „sługi i syna" do „ojca i pana", do Krzysztofa Radziwiła, teścia i pierwszego świeckiego dygnitarza Litwy.

Między ludźmi XVI-go wieku stanowi kanclerz litewski typ osobny. Głowa licznego lecz mniéj znacznego rodu, nie zna jeszcze dumy Radziwiłowskiéj, jaka np. ze słów Siérotki (Radziwiłem ja będę, choć żadnego urzędu nie będę miał, a dosyć mi na tym) przebija, akomoduje się i ustępuje jeszcze gdzie może, ale w téj walce wszystkich przeciw wszystkim o urzędy i intraty, spraw nie zasypia, protekcyi się doprasza i sam proteguje; zbyt nigdy się nie uniża. Przenikliwość łączy z uporem iście litewskim, szczególniéj zazdrośnie czuwa nad interesami litewskiemi, lecz do fakcyi się nie wdaje; mało z króla zadowolony, już dla jego niemiłości ku Litwie, przecież strony jego nie opuszcza; nierząd, niegotowość, szczególniéj litewską, gorzko opłakuje. Z kalwina wierzący katolik, o interesa wiary się zastawia, kościoły, klasztory i seminarya uposaża, gorliwie praktykuje (teraz do kościoła wszedłszy paciorek zmówię za WM., odprawia wota do Częstochowy i t. p.); życiu rodzinnemu oddany, wierny mąż i troskliwy ojciec, chociaż ciągle przejażdżki z urzędu go odrywają; lubi biesiady, ileż to razy w listach wzmianki tego rodzaju: dziś z księżą wypiję którą pełną za zdrowie WM.; skarżyć się WM. raczysz, żem WMi kilku pełnych nie spełnił... mię WM. z nóg spoić raczył, żem niewiedział jakom odjechał, małoć nie tak Ocieski kanclerz skarżył się na p. Skindera, którego był upoił aże do śmierci, że mu jeszcze był kilku pełnych nie spełnił; żonka mię ochraniała od zbytniego picia, bom i tak był miarkę przebrał, podobno jako żyw nie upiłem się tak barzo jako u WXM.; kiedy nie mam z kim innym, tedy i Basieńka za zdrowie WM. i Jej M. pełnić musi; cieszy mię że mały syn jego już pełnić potrafi i t. p.

Często mowa o tém, że tu (u dworu) stołka WMiom przystawują albo że król mi się przyznał, że mi było stołka przystawiono; że senator litewski ciągle opiera się jako ono mówią jako kot na ledzie (lodzie str. 192, 196, w drugim zbiorze str. 31 i in.); że to go od dworu pędzi precz, abych tu podnosków (szczutków) więcéj nie odnosił; jakiego tu o nas (Litwie) mniemania, pan podstarbi powie a jeśliby się nie chciał ze wszystkiem odkryć, każ mu jeno WM świec do boku przytknąć, powieć prawdę (palenie boków świécami — zwykły proceder przy torturach, tu przenośnia). O królu jest złego mniemania od samego początku: przyjdzie nam bębny i trąby wysoko na kołku zawiesić, rycerscy ludzie daleko w mniejszém poważeniu niż pierwéj, są w lepszéj wadze i większéj cenie masztarnicy (masztalerze) i ci co pomagają w gałki i piłkę grać, nie trafiliśmy na pana, Boże daj aby się WMi podobał ale tu rzadko komu; przez to całe już pół roku nie mogłem mieć jeno dwa razy audyencyą i to na krótkim dosyć toporzysku jako kilka pacierzy zmówić, nigdy nie dosiedzi, pilniej do piłki albo do gałek, jakożci po dyable konteci ludzie co do jednego; posłano mu przywilej przeciw ustawom, prawie mi teraz z kolana jako mówią zadano, tak że rady dać sobie nie mogę, co mam czynić (pieczętować ten przywiléj, czy nie); jeszcze gorzej byłoby, być się było we wszystkiem po szwu próło (dobrze szło) niektórym; acz mówią serce królewskie w bożych ręku; jużem ci był przywykł dworskiej polewce, póki mnie stawało, ale teraz niemam o czem, swoję ojczyznę (ojcowiznę) wszystkąm zawiódł, żeniną majętnością trochę dycham a co większa, że nie chce mi się być przy dworze jako malowanym... ks. przemyski narzeka—to jeśli na zielonym drzewie, a cóż mnie suchemu drzewu, lepiej pługu pilnować zgoła; (o wielkich moich dochodach) to mój dobry przyjaciel tak udawa, któremu się wszystko widzi moje rogato (wielkie). Upomniony od Krzysztofa, zastrzega się, że listy WMi cokolwiek tajemnego w sobie co mieli zarazem palę, więc skąd inąd to wyszło, bo wiem co na tym należy wadzić ludzi a zwłaszcza bracią, ano mówią nie kładź między drzwi palca. Skarży się i na spółobywateli: sprawy królewskie jako gdzie, drugdziej skrzypiąc drugdziej dobrze idą, w Lidzie dudy nadęte były i w Mińsku (o podbechtaniu; w innym sensie: ale mem zdaniem barziej byś mu WM. zagrał w dudy jako mówią, gdybyś go WM. o liczbę pozwać rozkazał); poprawę statutową łatamy, mamy trudności, dosyć jest upartych a nierozsądnych kilka... a wiesz cię zły duch, jako ja to mam pojąć twoję fantazyą, kiedy ty sam nie umiesz o niej powiedzieć;

zgodzili się starszy senatorowie na coś, ja pogotowiu jako młodszy gotowego patrzę. Pozwał pan Bielawski księcia, niedokońca mu (Bielawskiemu) się dziwuję, bo choć jeszcze Małgorzaty ś. daleko ale on i bez Małgorzaty fantazyi zawsze dziwnej (o kanikule, ś. Małgorzata 13 lipca). Ponieważ zarówno obiema (Polsce i Litwie) o skórę idzie, więc pomóc im; kto zaś z naszych nasz naród udaje (obmawia), zgoła zły to ptak co swoje gniazdo maże. Tatarom chce hetman dać bitwę, ale (przy szczupłém wojsku) zda mi się, że to będzie miotać się z motyką na słońce; nie radzi godzić cesarza i sułtana, bo dawno mówią, że się pospolicie temu rychlej dostanie który rozwadza a Turczynowi przyczynę na nas łatwie znaleść: nie mąć baranie wody; z Inflant donosi, że już w głos to mówić śmieli że tu więcej magierki i baczmag (t. j. Polaków) cierpieć nie chcą... lepiej ci podobno że się przed czasem wyszepcą jako raki... aza się przesilą, bo pospolicie z wielkiej burze mały deszcz bywa (na inném miejscu: przypowieść stara z wielkiej chmury mały deszcz ta się teraz w Polszcze wyjawiła).

Po śmierci pierwszéj żony żartuje, że mi wdowy po parze razem Międzyrzecz nawiedzają, nie dziwuję się p. Firlejowi, że mi tego zajrzy bo wdowiec, ale WXM. masz swego domowego (żonę); wieręm ci już umyślił dać wdowom pokój, bo harde, porwanyż tam P. Bogu, udam się do panien, gdziekolwiek w dom szlachecki, gardzić nie będę byle mną nie gardzono a wolałbym tak między swemi co to jako mówią i doma i za mężem — i rzeczywiście, w kilka lat później ożenił się kanclerz z taką co i doma i za mężem Litwinka, z Elżbietą (Halszką) Radziwiłówną; dziękuje Wojewodzie, że WXM. mój m. pan z m. łaski swej te upomineczki i marcypany odemnie JejM. pannie Wojewodziance przyjąć rozkazać raczył. Sześć lat później pisze do szwagra, Krzysztofa Radziwiła młodszego, co ledwie ze dwudziestki wyszedł, gdy się o radę pyta, czy starać się o wdowę po Zamojskim, której podobno czterdziestka minęła, o trudnościach, najpierw materyalnych: o (jej) bogactwach siła ich wątpi, od rodziców nic nie wzięła, męża miała skąpego — a jeśli w nadzieję pomocy ożenić się a oszukać się i niewziąć nic, to samo wnet złe mieszkanie między małżonkami uczynić musi, więc rzeczy pewnej nie wiedząc na nadzieje się sadzić niebezpieczno, a to poprawić abo naprawić nie może jeno śmierć. Druga zawada, różność religii; trzecia, lat — pytać by

p. Sośnickiego, jako go baba mierzi, wnet do grzechu człowiek wpaść musi, obrazić Boga. Co innego Kiszczanka, że młoda, lat 13, drudzy wolą młodą, aby ją na swe obyczaje wyćwiczyli; jeśli gospodarstwa nie umié, wziąć do niéj panią starą dobrą z Polski, młoda wnet nawyknie, rychło doroście, stara już nigdy nieodmłodnieje; jeśli czego w obyczajach niedostaje, łatwiej młodą nauczyć niż starą oduczyć; mówią, że do miłości nietrzeba gładkości, nadewszystko mieszkanie (t. j. pożycie) dobre w małżeństwie upatrować trzeba... nie jeno dobre mienie, ale i żywot i zdrowie w złem mieszkaniu przykry. Gdzie te czasy, kiedy to (1583 r.) Sapieha pisał do Krzysztofa (ojca): nie wiem co potem że WM. raczysz wspominać stare Niepołomickie rzeczy, których bych ja życzył WMi zapomnieć, lecz to pewna podobno przypowieść, że ten co w piecu lega drugiego ożogiem maca; WM. będąc młodzieńcem kochać się raczył w podwice, więc też WM. o mnie rozumieć także raczysz, a ja nieborak jeszcze nie wiem gdzie siedzi i jużem umyślił do klasztora wstąpić (pisze to kalwin), bo nic po mnie na świecie, jeszczem do tego czasu nie umiał miłować a uczyć się już późno, a też tu przy dworze nie mamy doskonałego mistrza na to, jakoż mię już p. podstoli dawno przyjął w swój rejestr. — Cały ten ustęp, choć skąpy w przysłowia, starczy za przysłowia; i z niego przemawia wiekowa mądrość, i on kartka do dziejów kobiéty w Polsce.

Od tego zboczenia cofamy się wstecz, do spraw potocznych, politycznych i innych, jeszcze za Batorego. Skarży się, że obłudnicy lepsze szczęście mają, ale tak dziś jednym szydła golą, drugim i brzytwy nie chcą; zapewnia o szczerym służeniu, jeśli nie, niechże mię p. Bóg pierwej piorunem roztrąci a wszystkiem złem i tu na świecie i na onym przyszłym wieku niech mię karze; donosi że na hetmaństwo kasał się ten pan z zajęczem sercem, ale go nie otrzymał; P. Bóg to wie jako człowiek może mieć serce do służb sadząc na szaniec pewne za niepewne, jeno na Węgry służym, my siejem a oni żną, nas dobremi słowy, a onych lepszą rzeczą odprawują, przydzie podobno opartolić się żonką jaką a sochy się jąć, póki jeszcze kęs zagona wolnego stawa, bo p. Bóg wie, żeć już ostatku nie śmiem na szańc stawić a już mi też o samy reszt idzie, bo widzę że rychlej może kupię tu opatrzenie jakie u Węgrzyna którego, niż je u króla wysłużyć. Gdy mu Radziwił przeciwnika wspomina, twiedzi o nim, że on plotka a ja dobry człowiek i cnotliwy, związków zaś (ligi) nieborakowi potrzeba na ten sejm, bo gomółkę niebarzo łacnie połknie podobno (połknie pi-

gułkę); wszyscy wiedzą, że on i aniołom w niebie nie przepuści, (por. i umarłym nie przepuszczając, na inném miejscu) że mię on z przyrodzonej dobroci swej według starych kwitacyj nigdy nie przebaczy, jużesz niech mówi co raczy i póki raczy. Opowiada ktoś, że było sam (tu) sieczki (bójki) trochę, panom nic, ale z (ich) pachołków krwie coś wyciekło, nie dolałby naparstkiem; znowu spotykamy się ze znaném nam już przysłowiem, owa jako dawno mówią bąk przebije, mucha jeno uwiąźnie. Jak Sierotka (por. wyżéj), skarży się i Sapieha: doznawam przyjaźni polskiej po szwagrze swym ba i chciwości łakomej; godząc Radziwiłów wspomina, za zgodą rzeczy z małych wielkie rostą a za niezgodą i nawientsze upadają; sekretów papierowi powierzać nie godzi się zwłaszcza mnie, nie cudzą ale swoją przygodą kajać się muszę; z tym mieszkać (opóźniać się) nie potrzeba, by nie była po obiedzie łyżka. Tatarzy idą, a my jeszcze tu o pobory certujemy się mamyli go dawać albo nie, wczas będzie łyżka po obiedzie!). Ma nowego nieprzyjaciela w osobie Jerzego Chodkiewicza, który bez przyczyn przyczyny sobie najduje do gniewu, na co żem nie zarabiał, o taki gniew by kąska nie dbam, pasquillusy snać jakieś o mnie pisze, to są rzeczy żakowskie; cierpięć ja póki mogę ale powiadają że się dobre długo pamięta a złe jeszcze dłużéj, proszę racz WM. JMci napomnieć niech mam od JMi pokój; p. Stabrowski też tak mię wiele zadziaływa, że tego i wypisać trudno; żal ci mi teraz, że pojednałem się z nim, źle to oddaje i płaci, ale popadnie mi powtóre, niechaj że więc nie ma za złe. Na sejmie r. 1595 koronni senatorowie nie przepominają nas (Litwy) w swoich wotach, a nas *omnes tres* wszytka wieś (wszystkiego trzech) i nie godzi się nam z nimi w spory wdawać, *nec Hercules contra duos*, kiedy napilniej było przybycia pp. senatorów litewskich, aliści się doma wszyscy zostali, nas na mięsne jatki wydali; uchwalono pobory na Tatarów, gdyż ten nieprzyjaciel przedzierać się będzie do Węgier i wczas by mu od spasi trzeba zajachać (uprzedzić go). Sługa sapieżyński pisze z Wilna o powierzonych swej opiecie książeciu i wojewodzicu, że często u siebie w gospodzie nawzajem bywają i niezmiernie się miłują, jako dwoje gołąbiąt całują się; pyta czy ma gospodę upewnić na dalszy czas, dostanieć owdzie gospody 10 kóp taniej ale we trójnasób dalej, a tam dziecię na strawie prawie się dobrze ma, nie wiedząc ni o praczce ni o drwach do izby ani o świecach do nauk.

Wedle kanclerza, w tej dosyć żałosnej z Nalewajkiem tragedii,

zadrżałaby i Łobodzie skóra była, gdyby Nalewajko z towarzystwem swem był pokaran, teraz obawiam się że ci łotrowie wezmą górę; (w Pradze u cesarza) podobno tam o naszę skórę targować będą; poseł polski ze Szwecyi prosi go, aby (w sprawie królewny) według *alphy* i *omegą* się pokarał dodając z każdej miary z za głowy wiatru; iż sam (w Szwecyi) rzeczy JKrM. jako Rożkowe (czém dalej tém gorsze) i nie zabieży li temu tego roku, zsiadł sam (tu) JKr.M. tak, iż samecznym krajom wiecznie waledykować mogą. Do Ks. Krzysztofa o obsadzanie biskupstwa wileńskiego: jeśliż czego Boże uchowaj za pieczęcią koronną biskupstwo wileńskie otrzyma, tać już nasze urzędy wszytkie o ziemię, bo jeśli biskupstwo a czemu nie województwa i t. d. a natrudniej począć abo pieczęć złamać, niewiem jako się ostoją drugie; mię tam poczęli byli udawać pletliwie, ale cóż rzec, trudno złym ludziom gęby zawrzeć, ale tu u nas mają też to niektórzy za wolność szlachecką, plotki i kalumnie siać o dobrych ludziach; powinność całą oddawać będę, póki dusza w ciele.

W własnej sprawie tuszy sobie, że roki (sądowe) dojdą by mi p. sędziego małmazyą leczyć jeśli go miód przaśny opuszy; nie pisał do księcia, wino Kojdanowskie to sprawiło, żem się tak był upił, żem do kilku dni nie wyszumiał; ma u siebie błazna książęcego, którego do powrotu namówić nie może, Rubiska, chyba związawszy go poszlę, włosami się wymawia, że mu nie odrosły jeszcze, naczęściej w karczmie siada. Sprawy szwedzkie, inflanckie głównie zatrudniają; środków nie ma; gdy się więc szlachta ruszy a popisze na pewnym miejscu, może to uczynić jaki osłuch, ale gdy nie mogąc jeno kilka dni trwać rozjedzie się, dopieroż nieprzyjaciel serce może wziąć widząc, że się ogrzewamy słomianym ogniem. Bytność księcia Krzysztofa u dworu, otwarta rozmowa z królem, bardzo się kanclerzowi podobały: już teraz temu panu nie tak łacno będzie wichrzyć, zawsze go WKsM. będziesz mógł mieć w saku; odłożenie własnego wesela — barzoć to na mię trudny i ciężki węzeł, ale usłucha; o księciu Batorym pisze, dziwny to tam szpak, co się tak często w tytuły odmienia, niespokojna JKsMi główka; z Inflant donoszą o komisyej Kurońskiej nowej z starym ogonem. Łukasz Sapieha prosi Boga, aby poczciwe życie me wszystkim ludziom uczciwym się podobało a złym i zazdrościwym w suchoty się obróciło; jako ludzie mówią, samo złe przez się zginie i ustanie; wymawia się, z strony spraw abym je miał prowadzić do Lublina, częstegoś by to WM. chciał mieć ze

mnie furmana; a więc to twoja stateczność, pisać, mówić i stanowić właśnie by na motowidle nici; wiem, że mi w tem placu nie dostoisz, aza cię nie wstyd i onych spraw twych smrodliwych i sromych potwarzy, którycheś był naglozował na JM. p. kanclerza i familią naszą? radbym jednak wiedział, żebyś mi go z pod pokrywki wynurzył, kim mi grozisz; pokazujesz mi to WM., że są dzwony... znać żeś WM. ten paragraf bez okularów czytał popraw się WM. w czytaniu, aza lepiej zrozumiesz: taki list naturalnie do miłego krewnego wysłany. Skarga na pachołków: (urzędnika mego broń), bo służka niezły i wierny, a teraz jakoś pachołki zwłaszcza u nas chudszych na kieł drudzy biorą i swego pożytku, nie pańskiego pilnują. Mikołaj Sapieha radby swego też kiedy dojrzał, nie kawęcząc nad tym Kodniem, pytał więc kanclerza, kiedy odprawić pogrzeb wojewodzica, zmarłego w Lublinie: jak po księdzu brali, jam i grosza nie zastał tylko nędzne niemal gołe ciało, ale czeladź dobrze i świeżo odziałą. Co to znaczy jak po księdzu brali, objaśnia owa anegdota z Polityki Jabłonowskiego, o któréj wyżéj wspomnieliśmy, objaśnia relacya wojewody mińskiego do ks. Sierotki o śmierci biskupa chełmskiego (r. 1587): we wtorek umarł, a w środę bydło, zboże i inne rzeczy, że się nic nie zostało w folwarkach, rozebrano, majętność między się księża, słudzy, nakoniec chłopi rozszarpały i różno rozniosły, owak kto chciał ten łupił, brał; wojewoda zabiegając temu, aby się i do końca nad skarbnicą łup i szarpanina nie stała, przyłożył pieczęci; oddarli je i majętność wybrali; ciało na chłopskich klaczach do Janowa przyprowadzono, truna niczem nie była obita, nawet i grochowin pod głowami nie było, owo uczciwie mówiąc tylko że ciało koszulą było przyodziane i to koszula z prostego płótna, w kościele ciało bez mar postawili.

Andrzej Sapieha pisze do kanclerza, by wziął na siebie prowenty województwa połockiego, by nie szarpali tak tego nędznego województwa, bych ci miał ten dostatek, o zdrowie by nic, otrząsnąłbym się tym panom i Siemaszkom i nie Siemaszkom, ale *paupertas* niecnotliwa, ta nie dopuści, dała mi się znać, snadź pierwsza tam droga, że i do tych czasów jako mówią wykaszlać się nie mogę a gdziebym drugi raz tam jechał, toby żona z dziećmi z mantyką (torbą) po Krakowie. Kanclerz procesów nie lubi, radzi np. wierę by już docirać i dopinać tego jednania, lepsze bowiem każde jednanie niż prawo; jednak, gdzie trzeba, trzyma się twardo, np. z p. Narbutem, co to znowu *fabricat* komisyą jakąś, która się ufam Bogu że na swych nogach nie

ustoi, potrząsa (grozi), zgoła kręci się jako wąż w sidle, kogoby jadem swym zaraził. O łaskę jego ubiega się coraz więcej, na której się ja — pisze Jan Sapieha — jako na pewnym fundamencie sadzę, bo tu przy dworze mieszkając a nie mając promotora jest właśnie tak jako na głębinę bez wiosła się puszczać... na zdrowiu i na mieszku barzo się źle mam. Wszystko opiera się o kanclerza: jemu pokazują impetycje (nagabania) jakie cierpią od ludzi chciwych a najbarziej koronnych, zaczem i do zbioru sumy jakiej znacznej nie może się przyjść, aby wżdam (przecież) ta panienka (wychowanica - sierota) rutki tak długo nie siała, wszakże... najdzie dali Bóg swadźba soroczku, byle się za błogosławieństwem Pańskim rychło skojarzyła.

Inni z familii dosyć niespokojni, szeroko się eksplikują z różnych zatarżek, np. Łukasz Sapieha, który chce objaśnić kanclerza co do p. Mieleszki, wielkiego przyjaciela kanclerzowego, pomniąc na to, że miłość zupełna nic nie baczy do przyjaciela serdecznego, choć co dobrego bądź też na odwrót czyni; nie wiem, kto mię za takiego udał, abym się miał prawnymi labiryntami bawić, na rokach albo na roczkach musiał mię ten powiadacz przez sen widzieć... jakobym chcąc co ugonić na p. Mieleszku miał potrząsać listami czyimi; więc w tej sprawie nie wielki by był zaciąg z p. Mieleszkiem; jużeż ja w tym tak rosole leżeć mam, że mię p. Frąckiewicz siestrzanek WMi w drodze potkawszy chciał zabić z rucznicy ale nadto, co więtsza, nazwał mię nieprzystojnie słowy uszczypliwymi prawie bez obrzezków, czego i wstydby pisać, synem nieczystego łoża; żem się pokwapił z infamią na p. Służkę, jakobym miał rewokacyą czynić, puszczam ten cug p. Służce, w Nowogródku skasowano ostrzkiem dekret Lubelski otrzymany w ten sens: uderzyłeś mię w Antonowie, odpowiadaj w Mińsku, zaprawdę siła poszło na tego co powiedział że go uderzono a z kalety wypadły pieniądze: jak na jeden list, i na jednego człowieka, spraw dosyć. O Narbucie, że złym językiem swym szermować nie przestaje, bardzom żałosny jednak że zły ptak, trudno ma dobrze śpiewać; z obsessem (z opętanym) dotąd słowa nie mówiłem, jeno czapka za czapkę.

Nad prywatnemi sprawami i zajściami górują polityczne i wojenne; do walki z Carolusem szwedzkim o Inflanty przyłączą się niebawem waśni domowe, tak że kanclerz zapyta, baczęć ja to, że w Inflanciech barzo gore, ale co pilniej gasić, jeśli Inflanty czyli dom w tym ogniu? o polskiém i litewskiém wojsku tamże pisze, dwaj ko-

towie trudno się w jednym worze zgadzają, lecz obawia się zarazem, że polskie wojska bodaj nie więcej na litewską niż na inflancką zgubę idą... litewskie jałowice smaczne, Litwy się im chce dokonać, p. Boże im nie pomóż. Korespondenci ostrzegają kanclerza za takiemi jakiemiś burzami, które się wzniecają; co dziś człowiek cnotliwy sercem najlepszym uczyni, źle udadzą do uszu pańskich (królewskich), ali miasto przysługi odsługa, zaczém przychodzi ludziom cnotliwym albo na stronie siedzieć albo jako po brzytwach stąpać, jednak lekce sobie tych rzeczy nie trzeba ważyć i trzebaby zabiegać i dawno było, póki się koła nie rozbiegły. Teraźniejsze inflanckie sprawy barzo na cienkiej nici, jeśli sam p. Bóg na nas nie wejrzy, zawisły... czyniłeś WM. nadzieję dobrą... ale inaczej padło, odbiegamy jako na sparze *salutem* i dobra naszego, nie wiem komu tem zaszkodzim jeno sami sobie, pisze biskup Piotr Tylicki, podobnie Bernard Maciejowski: nie pomału ludzie narzekają, że za takimi znacznymi ratunki od Rptej jakoś ta wojna skrzypiąc idzie, u p. Boga w ręku zwycięstwo, jednak też rozum każe wedle czasu wszytko czynić, (my zaś) na sejmie w noc radzimy a zimie wojujemy, (wie) p. Bóg, jeśli to dobrze. Litewscy panowie chcą się dla „statecznej i gruntownej namowy" zjechać, więc nie po ogień by tam trzeba jechać (t. j. na prędce), bo to nie na zająca wyrwać się a kłusać się teraz coraz do Wilna i zaś nazad, szkoda. Strona rokoszowa nie bierze się do zgody, raczej do załepków, posłani są do nich (panowie) na ucieranie tej niezgody, wiesz to p. Bóg co sprawią, ale nie bierze się zgoła ku dobremu; przez dziś abo jutro spodziewamy się szachu abo metu. Przy otwarciu sejmu Warszawskiego r. 1609 wielka kontrowersya między marszałkiem koronnym a litewskim, którego poniżyć chcą, skarży się kanclerz, dobrze sam znać jako nam tę wielebną unją trzymają, radziby z nas Wołyń uczynili, przywileju oni gwałtem jak zamesz (zamsza) ciągną, zgoła zła sprawa z nimi, radziby z nas many (lenników) poczynili, zwłaszcza ci co są z kuźni onego nieboszczyka (Zamojskiego), co nas zwał *gens inimica mihi* (lud mi wrogi), wielką nam niemiłość pokazują, prawie jako WXM dokładać raczysz, potknieli się który, miasto podchwycenia, popchną go na szyję, aby wyleciał jako pjany z karczmy. Z obozu pod Smoleńskiem pisze, co za koniec tego igrzyska będzie, trudno zgadnąć; tu wszyscy narzekają na zły rząd, jakoż zawadza się tego; ale cóż temu rzec, a to sam WXM. przypominać raczysz dawne *adagium* polskie że nierządem

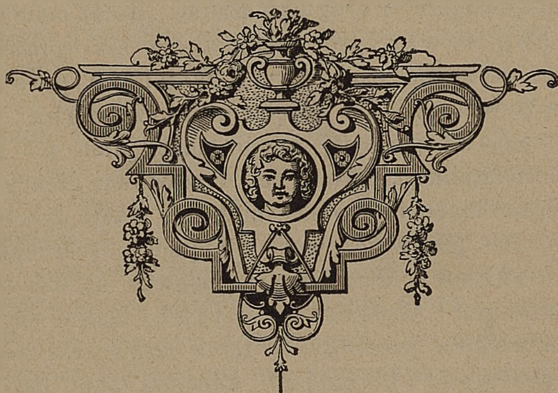
stoi; lecz najbardziej skarży na Belzebuba — Chodkiewicza, (póki wojny inflanckiej), my u niego zawsze w garści być musim... (inny) żołnierz przeszedł jako burza jaka z gradobiciem ale wżdam minęła i mało by tego znać, a żołnierz inflancki już to dziesięć miesięcy (nas trapi, następuje opis tej plagi). Cieszy się kanclerz, że familia jego zażywała wczasu u Księcia (Janusza), Krzyś mój że tam z komorami walczył i przegrał słuszną wniósł racyą, że szable nie miał, by on p. Hanus co szerszniów owych złych bąków wyzywał na pojedynek i potym szpadą się im bronił frit frit panie szerszeń! wołając, tak on właśnie komorom szablą grozi, ba i to wiem że rad spełni, kiedy mu doleją, mniemam że nie wyda p. ojca, a to chwała p. Bogu, mam co mi czasem zabłaznują i zafrasowanego ucieszą. A zafrasowany kanclerz bardzo: p. Bogu dziękuję żem tu taki czyściec na świecie wytrwał, po sejmie chcę waledykować dworowi a doma z pokojem usieść... Boże jeno daj ze złego targu z uszyma do domu; tę rezolucyą powtarza, umyśliłem dworować przestać, skoro po sejmie, do domu odjachać a pług przeprosić, nie namówi mnie nikt na dworną polewkę, bo mi się dała znać dobrze. Z Niemenczyny, gdzie bez pościeli, bez wszystkiego nocuje, radzi ks. Januszowi pojednać się rozmówiwszy z biskupem wileńskim, z księdzem nieprzyjaźń trudna, bić się go nie godzi, bo nie nosi broni a ubiwszy niesława, więc i w sąsiedzkich krzywdach mówiąc rychlej się domówi każdy krzywdy swej i sprawiedliwości, milczenie nic nie poradzi; cieszy się, że książę zamierza służyć ojczyźnie, prawda żeć z kosztem to będzie, ale chlebem chleba się dorabiają. Oddanie wielkiej buławy po Chodkiewiczu kanclerzowi, nie hetmanowi polnemu Krzysztofowi Radziwiłowi srodze tegoż oburzyło, na listy jego pełne jadu, łajania, zniewagi i kontemptu odpowiada kanclerz w tonie choć umiarkowanym a anergicznym, zły to rok powiadają gdy wilk wilka kąsze; gdy mojemi słabemi siłami wrzucony w studnią kamień dźwigać, pochylone Rp. ściany wspierać i nieostrożnie wzniecony zapał gasić przychodzi, już tu ani latom ani zdrowiu folgować trudno; siła to poszło na ową przypowieść Baranie nie mąć wodą... com ja był zszył, toś WXM. rozprół, com ja naprawił to WXM. popsował... tę sukienkę niewdzięczności w którą mię WXM. oblec usiłuje niech kto inszy zdrów znosi... jako chmura słońcu tak *invidia* cnocie mało szkodzi; wolno się swego u pana domawiać i domagać i nie trzeba być w sprawach Rptej niemkiem... nie dziwuję się że z takiej ku-

źni takie dymy wychodzą... racz WM. pióro na ludzkie uczciwe (cześć) rozpędzone hamować.

Warto też wynotować kilka szczegółów z obszernych listów Hipacego Pocieja do kanclerza; ciągłe skargi na nędzne uposażenie, na nieposłuszeństwo podwładnych, którzy z niego śmieszki w żywe oczy stroją, prośby by im dobrą łacinę dano (ukarano), by szukano za dokumentami w metryce litewskiej, by mieć lepsze oko na nas i naszę sprawę, nie chcecieli żeby po staremu pod ławą leżała; opowiada przygodę, w której co u trzeźwego na myśli to u pianego na języku się okazało; banicya nam mało pomogła a jeśli jeszcze sublacya jej będzie, tocieśmy tylko w siewkę grali; wszyscy się złemu duchowi godzą; żadnemu się na głodzie i na chłodzie służyć nie chce, każą mu z ołtarza żyć a na ołtarzu pustki, źle z nim gorzej bez niego, jam się z nim nie wieńczał, nie będzie li dobry, łatwie jako żabę z wierszy wyrzucić (pozbyć się go) a drugiego szukać... a cóż mam działać, nie rozłupiwszy spatrzyć, dobrocią nic nie sprawimy, proszę abyś też WM. od siebie co by mu w pięty poszło napisać raczył; widzę że temu mieścu świętemu na zgubne imię (albo na zgubę) poszło; więcej onym aniżeli nam po szwu się porze (idzie pomyślnie). Kiedy ich władykowie greccy karać chcą, zwykli mówić, nie macie nic do nas, bo to nie wasza dyecezia; a kiedy właśni biskupi ich pozywają, wymawiają się patryarcharmi, właśnie Marchołtowe drzewo (wymówka na wszystko); odjęli to i to, bo król dał Gasztold odjął, azaliby się te potencie Gasztołtowskie przesiliły, bo teraz bezpiecznie rzecz się może, król dał a Gasztolt odjął; kanclerz sam listy pieczętuje obawiając się, aby mnie Gasztoltem nie krzczono. Kraków nie Warszawa, niejednego i bogatszego niżelim ja strząśnie (ogołoci); przeciwnicy nie zaniechają gdakać, chocia im już skrzydła ogorzały. Daleko ztąd do onąd; każdy jako na cle musiał się tam pierwej oprzeć (u wojewody zapłacić); dopieroż tą dziurą może każdy wyleźć; wojewodzie to podano właśnie jako wilkowi owce paść; jeślić i to za głową pójdzie, toć i seminarjum nasze, co ledwie jako kokosze grochowe ziarno dostało się, w niwecz się obróci. Przez te półtory lata on i psem mnie nie nawiedził; mój tytuł wielki ale pożytek płochy, kto nie wierzy niech każe spróbować; w naszychże szatach nas posiadają (biorą górę nad nami), to mię najwięcej trapi; będzie się i setny kajał, na to patrząc; proszę aby mię nie zmyto bez ługu. Nic

to (nie pomaga), jakoby przed świnie perły miotał, ale cóż mam czynić, kiedy moja *autoritas* u nich jest tak ważna, jako trzewik bez podeszwy a to już jako lin po dnu chodzę, cierzpliwie wszytko przyjmuję a przedsię pokoju mieć nie mogę, przedsię brykają; mieli być u mnie a przedsię psią sztukę (psikus) ukazali i nie byli, chociażem z nimi skromniuchno postępował, nic to nie pomogło, po staremu w kawki, nie widząc nad sobą żadnej grozy.

(D. n.) *A. Brückner.*



UMOWY NA ZŁOTO

W ŚWIETLE KWESTYI MONETARNÉJ.

Świéżo uchwaloną została ważna reforma finansowa o prawie umów na złoto. Aby zrozumiéć istotę, cel i rozciągłość téj reformy, pozostającéj w związku z ogólną kwestyą monetarną, potrzeba zatrzymać się na kilku teoretycznych zagadnieniach, a przedewszystkiém na prawnym stanie waluty rosyjskiéj. Świadomość, czém jest z tego punktu widzenia rubel rosyjski, musi być pierwszą przesłanką do wywodu, który pozwoli ocenić znaczenie umów na złoto i ich stosunek do kwestyi walutowéj.

Należy więc naprzód ustalić fakt, jaką rubel ma prawną wartość, a jeżeliby ta wartość udeterminować się nie dała, odpowiedziéć na pytanie: co właściwie wewnętrzną wartość rubla kredytowego stanowi?

Taka metoda badania odsłoni nam zarazem szereg ciekawych zjawisk z teoryi monetarnéj — i przekona, że świéżo uchwalone prawo jakkolwiek pozostaje w łączności z planem wznowienia obiegu metalicznego, na obecny stan waluty rosyjskiéj ujemnie oddziałać nie może, lecz owszem wpłynie na poprawę techniki pieniężnéj.

Czém jest rubel, na to daje odpowiédź zasadniczy przepis menniczy, okréślający jednostkę monetarną w Rosyi. Jednostką monetarną wedle ukazu ces. Aleksandra I-go z d. 27 sierpnia 1810 r. i wedle uchwały rady państwa Najwyżéj zatwierdzonéj d. 17 grudnia 1885 r., jest rubel srebrny zawiérający 4 zołotniki 21 doli czystego srebra. Żadne

nowsze prawo nic w tym przepisie nie zmieniło. Mimo całą jednak pozorną jasność, przepis ten nastręcza rozliczne wątpliwości, gdy weźmiemy pod uwagę nie to, czém jest rubel srebrny, a więc moneta, od dłuższego czasu w obrocie nie będąca, lecz czém jest bilet kredytowy — papiérowy rubel. Właściwym pierwowzorem obecnych „państwowych biletów kredytowych” były wypuszczone w wyniku reformy Kankryna na mocy manifestu z 1843 r. bilety, które, po dewaluacyi asygnat, z cechą wymienności na kruszec weszły w życie. Od téj epoki, pomimo zniesienia wymiany —ograniczonéj już w 1850 r., skasowanéj w 1856 r. i raz jeszcze na krótko przywróconéj w 1862 r., bilet kredytowy zmieniał barwę i rysunek, ale formalnie swego charakteru nie zmienił i podotąd nosi na sobie napis, wyrażający zobowiązanie banku państwa z r. 1843, że okaziciel na żądanie otrzyma srebną lub złotą monetę. Bilety te wymieniały się téż między 1843 a 1856 r., oraz w r. 1862 na srebro i złoto, a taka alternatywna wymiana była usprawiedliwiona i z tego powodu, że reformę Kankrynowską poprzedził stan przejściowy, wśród którego skarb wydawał obligi depozytowe wzamian za składane w kasach złoto i srebro w monecie i sztabach. Gdy tak zwane depozytki, wymieniane na kruszec, zyskały ogólne zaufanie, przystąpił Kankryn dopiéro do emisyi obecnych biletów kredytowych, wymienialnych i na depozytki i na monetę. Przy wymianie obowiązująca była relacya kruszców 1 : 15, 45, t. j. relacya, jaka w Rosyi stała się podstawą monet srebrnych i złotych od 1839 r. Zdawać by się tedy mogło, że wprowadzenie tych biletów powołało do życia walutę podwójną i że odtąd, jak wszędzie w krajach bimetalizmu od czasu gwałtownéj deprecyacyi białego kruszcu, — moneta srébrna, gdyby się jeszcze w obrocie znajdywała, miałaby tylko charakter monety zdawkowéj, moneta zaś złota, gdyby przyszło do wymiany, byłaby téj wymiany główną podstawą. Jakkolwiek bowiem w 1885 r. sprostowano relacyę monet i imperyały oparto na stosunku do srébra 1 do $15^1/_2$, była to tylko mała poprawka o $^5/_{100}$, choć na rynku cena kruszców opiérała się już na znacznie dla srébra niekorzystnym stosunku 1 : $19^1/_2$. Oczywiście jednak ani ta deprecyacya białego kruszcu, ani dalsza, która stosunek doprowadziła do 1 : 30 (chwilowo nawet 1 : 33) nie miała dla skarbu rosyjskiego znaczenia dlatego już, że w praktyce niebyło ani rubla srébrnego ani złotego, tylko kredytowy i że o kwestyi systemu monetarnego faktycznie już zdecydował brak wymiany. Prawny stan rzeczy był zakapturzony, — gdy zaś wreszcie zawieszono bicie monet na rachunek prywatny, gdy zakazany został przywóz do Rosyi obcych monet srébrnych i gdy ustanawiać poczęto dla rubli srébrnych niższy, niż dla rubli kredytowych, kurs przy

opłacie cła, — formalnie już nawet zaprowadzono prowizoryum waluty kredytowéj z nieograniczonym terminem, a w każdym razie odebrano srébru jego wątpliwą podstawę monetarną.

Ostatecznie więc, choć nastręczają się tu różne sprzeczności, praktycznie kwestya ta jest o tyle rozstrzygnięta, iż w téj chwili nie mogłoby być mowy o wymianie rubli kredytowych na ich nominalny równoważnik bądź w srébrze, bądź w złocie. Niezależnie bowiem od strony formalnéj — z chwilą zawieszenia wymiany i przeistoczeń wartości kruszców na międzynarodowym rynku, pod wpływem tych ostatnich uległa zmianie wewnętrzna wartość rubla.

O wartości téj decyduje cały szereg czynników ekonomicznych, których splot składa się na t. zw. siłę nabywczą piéniądza. Bez względu już na to, ile ta siła wynosi, faktycznie rubel jest mniéj wart niż 100% w złocie, a więc gdyby nawet był jednostką z punktu widzenia prawnego, płatną w złocie to skutkiem niewymienności, praktyczna dewaluacya już nastąpiła i restytucya do 100% musiałaby spowodować poważne zaburzenia ekonomiczne. Dlatego też na przyszły ustrój uporządkowanego systemu monetarnego wpłynąłby nie taki czy inny wykład prawny, lecz wzgląd na finansowe i ekonomiczne interesy państwa. Przywrócenie wartości 100% w złocie, podniósłszy siłę nabywczą rubla, wzbogaciłoby wierzycieli kapitalistów, a zubożyło dłużników, choćby więc było nawet aktem prawnym, stałoby się aktem niesprawiedliwym. Tak się na rzeczy zapatrując, można i trzeba stać wyłącznie na gruncie oceny aktualnéj siły nabywczéj rubla.

Sprobujmy sprawdzić, jaką jest ta siła. Aby dojść do oceny przybliżonéj (ścisła jest niemożliwa) musimy sobie jeszcze odpowiedzieć na dwa elementarne, teoretyczne pytania: 1) czém jest piéniądz ze ściśle ekonomicznego stanowiska, oraz 2) dlaczego i w jakim stopniu waluta papiérowa wykracza przeciwko postulatom monetarnym. Teoryę piéniądza najściśléj sformułował Karol Marx. Podług niego, piéniądz spełnia funkcye miernika wartości i środka wymiany, a zarazem służy do gromadzenia i przechowywania bezzmiennéj w zakresie czasu wartości, wreszcie zaś jest środkiem wypłat wewnętrznych w postaci monet i międzynarodowych w formie kruszców szlachetnych. Formułę tę jednak sprowadzić można do prostszéj, opuściwszy ostatnie funkcye (o wypłatach), które pośrednio wynikają z poprzednich. Miernikiem wartości i narzędziem wymiany może być każdy symbol wartości, do którego przywiązany jest pewien zasób rękojmi, taką więc rolę gra każdy surogat piéniądza, — nietylko banknot i moneta zdawkowa, lecz także czek i weksel. Wszystkim tym narzędziom wypłat i wymiany brak jednak tych możliwie niewzruszonych rękojmi bezpieczeństwa

materyalnego, które w piéniądzu stanowić winno jego zdolność gromadzenia bogactw, bezzmiennych w czasie — tezaurowania ich, że się tak po Marxowsku wyrazimy.

Taką cechę posiada tylko moneta, z kruszcu szlachetnego wyrobiona, bo w danéj jednostce kruszcu tkwi ilość pracy, względnie najmniejszym wahaniom podlegająca. Wprawdzie od czasu deprecyacyi srébra, teorya ta da się tylko do złota i to ze znacznemi jeszcze zastrzeżeniami przystosować; ale jeśli nawet kruszec, jako moneta, względne tylko bezpieczeństwo przedstawia, to wszystkie inne surogaty pieniędzy tém większą chwiejność wykazywać muszą. W miarę zaś, jak piéniądz oddala się od rękojmi, na kruszcu opartych, chwiejność ta stopniowo rośnie. Banknot, na metal wymienny, jest wprawdzie surogatem piéniądza, bo sam żadnéj materyalnéj wartości nie przedstawia, ale tkwiące w nim prawo do wymiany czyni go obligiem depozytu metalicznego i nadaje rękojmię prawie równoznaczną. Pierwiastek materyalnéj gwarancyi spada, gdy, jak się to praktykuje we wszystkich bankach emisyjnych, wypuszcza się pewna ilość wymienialnych banktotów po nad sumę rozporządzalnego kruszcu.

Pozostaje nam sama moralna rękojmia i piéniądz staje się tylko symbolem wartości, gdy wypuszczone banknoty pozbawione są prawa wymiany na kruszec i gdy opiérają się wyłącznie na gwarancyi państwowéj, bez wskazania terminu, kiedy wypłata obligu ma nastąpić. W takiém położeniu znalazł się system monetarny w Rosyi, który od stulecia przeszło, z krótkiemi przerwami, posługuje się niewymiennym na metal rublem. Tym sposobem piéniądz w Rosyi utracił ścisły charakter środka, służącego do gromadzenia i przechowywania wartości w czasie,—bo wartość jego stała się zawisłą od chwiejnych czynników i dowolnych konjunktur. Na wewnątrz ta chwiejna wartość piéniądza mniéj się uwydatnia, ponieważ atrybutem waluty kredytowéj, musi być wewnętrzny kurs przymusowy, ale cena banknotu na zewnątrz — na rynkach międzynarodowych — musiała się stać zależną, bądz od zaufania zagranicy do gwarancyi kredytowych państwa, bądź sił i środków spekulacyi, dla któréj rubel zamienił się na podatne narzędzie gry, dopóki zarząd skarbowy nie wprowadził w ruch skutecznych ale represyjnych środków, celem stłumienia téj gry. Przy naturalnéj zależności cen towarów na rynku wewnętrznym od cen na wszechświatowéj targowicy, z chwilą, gdy siła nabywcza rubla na zewnątrz słabła i wahała się — musiała się téż obniżać i ulegać falowaniom na wewnątrz. Wobec tego jasném jest, że pomimo przymusowego kursu i pomimo gwarancyi podatkowéj rubel na zewnątrz nie miał ani stałéj, ani pełnéj swéj nominalnéj wartości. Jaką jednak była ta wartość?

Cena, którą rublowi wyznacza giełda zagraniczna, jest decydującą, dla jego siły kupczéj tam, — gdzie ową cenę rubla zadyktowano. Zwyczajna logika uczy, że skoro w Berlinie 100 rs. warte są 220 marek, to za 100 rs. dostać można tyle tylko towaru, ile za 220 marek. Siła nabywcza rubla zmienia się na rynku międzynarodowym, gdy zmienia się jego kurs. Ale na rynku wewnętrznym siła ta nie jest bezwarunkowym równoznacznikiem kursu giełdowego. W ogólności w ekonomice wprawdzie utarło się przekonanie, że wewnętrzna wartość rubla najściśléj równoważy się z jego ceną na giełdzie zagranicznéj. Pogląd ten, bardzo szeroko rozpowszechniony, wypływa z rozumowania, że rynek międzynarodowy prawie bezwzględnie rozstrzyga o ogólnych cenach towarów, gdyż prawo podaży i popytu nie ma w zakresie przestrzeni żadnych zapór. Gdy atoli bliżéj wejrzymy w stosunki praktyczne, to okaże się, że właśnie prawo podaży i popytu, kształtujące ceny, inaczéj oddziaływa na pewnym ściśle określonym rynku, gdzie większy i bezpośredni nacisk wywiera lokalny popyt, zależny między innemi od siły nabywczéj piéniądza. Gdy siła ta jest rozciąglejszą, gdy piéniądz jest drogi, gdy więc można otrzymać zań dużo towaru,—popyt rośnie—przeciwnie zaś, gdy zdolność nabywcza się kurczy—popyt słabnie.

W naturalném tego następstwie podaż musi się dostosowywać do obniżonéj zdolności nabywczéj piéniądza, rozszerzając ją przez swoje ustępstwa. To téż nawet w pewnym zakresie zaofiarowanie zagraniczne akomoduje się do miejscowéj ceny rubla, bo, nie chcąc utracić pola zbytu, obniża ceny towarów, co wartość wewnętrzną piéniądza podnosi. Możnaby temu rozumowaniu zarzucić, że ma ono za sobą tylko formalną słuszność, gdyż w miarę nacisku wzmożonéj zagranicznéj podaży, siła nabywcza rubla wprawdzie rośnie, lecz to się wyrazić powinno zarazem w jego kursie, a więc znowu kurs o téj zdolności rozstrzyga. Takby jednak było wtedy, gdyby o kursie rubla decydowały warunki naturalnego na giełdach popytu i podaży. Skoro zaś prócz tych pierwiastków dawniéj wchodził w grę czynnik spekulacyjny, a więc dowolny, a obecnie od czasu interwencyi rosyjskiego zarządu skarbowego czynnik podtrzymywania kursu na mniéj więcéj stałym poziomie, to o regulowaniu kursu podług praw ściśle ekonomicznych mowy nie ma. Ale to kwestyi nie wyczerpuje. Oddziaływanie podaży wewnętrznéj w zakresie produkcyi surowych materyałów, nie będących przedmiotem eksportu, jako téż w rozległéj dziedzinie produktów krajowéj przetwórczości jest albo zupełnie wolne, albo mało zależne od międzynarodowego rynku. Gdy oba te względy weźmiemy pod uwagę —

to okaże się, że kurs, jaki rubel na giełdzie zagranicznéj otrzymuje, nie jest wyrazem całéj jego siły nabywczéj.

67 kop. w złocie za 100 kop. kredytowych jest *minimum* siły kupczéj rubli, *minimum*, do którego dodać należy tę różnicę na ich korzyść, którą, jak to wyjaśniliśmy, wywołują lokalne warunki rynku i ustępstwa zniewolonéj do tego produkcyi międzynarodowéj [1]).

Tym sposobem, jak sądzimy, ustaliliśmy dwie tezy: 1) że rubel jako jednostka, niewymienna na kruszec, pozbawiony jest zasadniczego warunku monetarnego, to jest zdolności przechowywania bezzmiennéj w zakresie czasu wartości i 2) że wartość jego nabywcza niższa od 100%, a wyrażająca się teraz na zewnątrz państwa w kursie 67%, na wewnątrz powinna być wyżéj szacowana. Podniesienie tedy z natury ułomnych i zdewaluowanych pieniędzy papiérowych do godności waluty, wymiennéj na kruszec, musi przedewszystkiém natrafić na tę zasadniczą trudność: jak ocenić ich siłę nabywczą, t. j. w jaki ściśle ująć ją stosunek przy ewentualnéj wymianie na złoto?

Przy reformie monetarnéj w Austryi, gdzie, lubo obowiązywała waluta srebrna, lecz w rzeczywistości wobec upadku ceny srebra miano do czynienia, z tém samém prawie zjawiskiem dewaluacyi, poradzono sobie w ten sposób, że wzięto za podstawę przeciętny kurs z lat ostatnich, który to rachunek dał 85%. Waluta austryacka znajdowała

---

[1]) Różni ekonomiści, próbujący wykazać, że siła nabywcza rubli nie spada do poziomu zagranicznego kursu, błędnie utożsamiali dwa różne pojęcia — mianowicie ogólny spadek wartości towarów na rynku międzynarodowym, a więc rosnącą z tego powodu siłę kupczą rubla, z różnicą między wartościami rubla na zewnątrz i na wewnątrz. Dowody ich cyfrowe opiérają się téż zazwyczaj na nieporozumieniu, stąd wynikającém, iż ekonomiści ci nie zdawali sobie sprawy z doniosłego zjawiska ekonomicznego, które po r. 1871 w całym świecie się ujawniło, to jest z faktu coraz silniejszéj deprecyacyi towarów, będącéj podług bimetalistów następstwem wprowadzenia w Niemczech (a za ich przykładem — w innych państwach) waluty złotéj, a podług monometalistów — wynikiem rosnącéj nadprodukcyi. Kwestya ta wprawdzie oddziaływa na siłę nabywczą pieniądza, ale jako regulator ogólny, bez związku z temi specyalnemi prawami, które mają wpływ wyłączny na wartość rubla jako waluty kredytowéj z przymusowym kursem na wewnątrz. Tutaj nie chodzi o ogólne różnice cen w zakresie czasu, lecz o uchwycenie w danym momencie—bezwzględnego stosunku, między wartością towarów i pieniądza w terytoryalnych granicach rubla kredytowego. O argumenty statystyczne bardzo tu trudno i prawie pozostaje tylko powyższe rozumowanie dedukcyjne, oraz spostrzeżenia z praktyki życiowéj. Niektórzy znowu powołują się na dowody pośrednie, a między innemi na wyższą stopę procentową w krajach waluty kredytowéj, choć jednak w téj wyższéj stopie jest cząstka większéj siły nabywczéj będącéj wynikiem samego charakteru waluty, to decydującą rolę odgrywają inne względy, których tutaj roztrząsać nie możemy.

się w lepszém od ruskiéj położeniu o tyle, że istotna dewaluacya była mniejsza, a przy wyższym kursie giełdowym równoważnik siły kupczéj niewątpliwie bardziéj jest do tego kursu zbliżony, co już samo przez się wynika z mniejszéj różnicy między złotem, jako normą siły nabywczéj, a ceną giełdową waluty. Niemniéj wszelako takie oszacowanie wartości guldena było dowolne, ponieważ pomijało pewną zwyżkę na korzyść wewnętrznéj zdolności nabywczéj zdewaluowanego guldena, i pewną znowu zniżkę na rzecz rosnącéj już w stadyum reformy absolutnéj wartości złota. Nie możemy tu myśli téj bliżéj rozwijać, bo wkroczylibyśmy w zawiły labirynt ogólnéj kwestyi monetarnéj. Wystarczy zasadnicze twierdzenie faktu, że restytucya zdewaluowanego piéniądza w drodze prawodawczéj prostém pociągnięciem pióra — bez przygotowawczego stadyum, wśród którego stosunki przygotowywałyby się do przyszłéj zmiany—jest rzeczą ryzykowną i bez zaburzeń na rynku piéniężnym dokonać się nie może.

Taki sam pogląd wypowiedział p. minister finansów Witte, gdy r. z. w Abbazyi, w rozmowie z pewnym sprawozdawcą dziennikarskim oceniał regulacyę waluty austryackiéj. Zauważył on wtedy, że każda reforma monetarna musi się naprzód dokonać w życiu, a późniéj dopiéro może w drodze prawodawczéj doznać uświęcenia. Temi samemi tendencyami kierowali się téż wszyscy ruscy ministrowie finansów, ilekroć chcieli powołać do życia prawo o umowach na kruszec. Projekt takich umów istniał bowiem już od 1877 r. Po raz pierwszy wtedy wniósł go minister finansów Reutern, a późniéj powracali do niego kolejno Bunge i Wyszniegradzkij. Nie znajdował on uchwały, ponieważ w okresach, gdy go pod obrady składano, uchodził za przedwczesny. Projekt Reuterna nie znalazł urzeczywistnienia ze względu na stosunki polityczne w przededniu wojny. Projekt Bungego zyskał aprobatę w zasadzie, lecz rada państwa zażądała, by przed wykonaniem projektu wypełnić prawo o stopniowém umorzeniu tymczasowych biletów kredytowych, i by projekt wprowadzony został w życie w ten sposób, iżby dla każdego było wiadomém, że zniesienie zakazu umów na złoto jest środkiem przejściowym do przywrócenia wypłat metalicznych. (Mamy tu więc wyraźną wskazówkę znaczenia tego projektu). Punktem wyjścia projektu Wyszniegradzkiego było powołanie się na spełnienie już warunku, od jakiego rada państwa uczyniła zależném wykonanie tego prawa.

Warto tu przypomniéć, że projekt p. Bungego żądał: 1) przyjmowania i wydawania przez skarb monety złotéj i srebrnéj w wypłatach podług ceny, odpowiadającéj kursowi wekslowemu, z pozostawieniem ministrowi prawa ustanawiania w razie potrzeby różnicy na korzyść

skarbu, nie przenoszącéj jednak 2%, i 2) prawa zawierania umów między osobami prywatnemi na złotą i srebrną monetę, przyczém jednak prawo to nie miało przysługiwać włościanom i mieszczanom.

Projekt ministra Wyszniegradzkiego mało się różnił od powyższego.

Plan p. Wittego przed jego uchwałą w połączonych departamentach rady państwa opiérał się na tych samych prawie zasadach; projekt bowiem brzmiał jak następuje:

1) Zezwolić na używanie we wszystkich wypłatach, za wzajemną zgodą stron, ruskiéj monety złotéj podług kursu, oraz dozwolić wszystkim, wyjąwszy włościan i mieszczan, dokonywania tranzakcyi w rzeczonéj monecie, z warunkiem, by w takich tranzakcyach płacący mieli prawo uskuteczniać wypłatę biletami kredytowemi podług kursu dnia wypłaty, lub téż w razie sporu — podług kursu dziennego giełdy petersburskiéj, przyczém atoli wkłady, wniesione do banku państwa, ostatni obowiązany będzie zwracać w monecie złotéj; 2) upoważnić ministra finansów do zezwolenia na wnoszenie pewnych podatków, a mianowicie: akcyzy, podatku od handlu i procederów, oraz opłat gruntowych i od darméj alienacyi majątków, w monecie złotéj podług kursu, w tych miejscowościach, gdzie minister finansów uzna tó za stosowne — a także do ustanowienia kursu monety złotéj dla przyjmowania jéj przy opłatach skarbowych i dla dokonywania wypłat przez skarb.

W radzie państwa zapadła uchwała, nadająca projektowi następującą osnowę:

W wyjaśnieniu i uzupełnieniu odpowiednich przepisów postanawia się:

1) Wszelkie dozwolone przez prawo umowy piśmienne mogą być zawierane na złotą monetę ruską. 2) Z umów, piśmiennie zawieranych na monetę złotą, wypłata ma być dokonywana albo monetą złotą odpowiednio do sumy, w umowie oznaczonéj, albo państwowemi biletami kredytowemi według kursu złota w dzień wypłaty rzeczywistéj; w razie zaś sporu co do kursu, według ostatniego otrzymanego na miejscu kursu średniego tranzakcyi giełdy petersburskiéj. 3) Wysokość opłaty stemplowéj, przypadającéj od aktów i dokumentów, piśmiennie zawieranych na monetę złotą ruską, oblicza się według sumy nominalnéj. 4) Ministra finansów upoważnia się do: 1) zezwolenia odnośnym instytucyom, w tém stopniowaniu, jakie będzie przez niego ustanowione, na przyjmowanie przy żądaniu płacących, złotéj monety na opłatę akcyzy, według oznaczonego przez ministra kursu, z przesyłaniem za każdym razem wiadomości o swoich rozporządzeniach

w tym względzie senatowi rządzącemu dla opublikowania i 2) komunikowanie rzeczonego rozporządzenia odpowiednim instytucyom za pomocą telegramów do wykonania, pod warunkiem, aby o treści depeszy były niezwłocznie poczynione ogłoszenia, że rozporządzenia nabiérają mocy obowiązującéj nazajutrz po ich otrzymaniu na miejscu.

Gdy porównamy osnowę projektu z uchwałą rady państwa, to przekonamy się, że pod jednym względem jest ona rozciąglejszą, pod dwoma innemi zaś szczuplejszą. Rozciąglejszą jest dlatego, że usuwa ograniczenie co do włościan i mieszczan, pozwalając korzystać z umów na złoto wszystkim stanom, atoli sam zakres operacyi stał się mniejszym, bo zamiast zezwolenia na używanie złota we wszystkich wypłatach, uchwała obejmuje tylko piśmienne umowy na złoto. Nadto zaś, gdy projekt p. ministra pierwotnie żądał upoważnienia do przyjmowania w złocie: akcyzy, podatków od handlu i procederów, oraz różnych opłat stemplowych — uchwała departamentów ogranicza te opłaty w złocie na rzecz skarbu tylko do akcyzy. Tym sposobem, zmniejszyła się doniosłość prawa, gdyż uszczupleniu uległ zakres jego oddziaływania, zarówno pod względem upowszechnić się mających obrotów handlowych na złoto, jak pod względem tych środków, które pozwolą rządowi wpływać na ustalenie kursu. Z tego wnosić wprawdzie można, że prawodawca przystępuje do próby z całą ostrożnością, nie zmienia to jednak faktu, że projekt nawet w téj formie jest stadyum przygotowawczém do regulacyi waluty. Z uszczuplonego zakresu (co potwierdzają niżéj podane motywy), wynika tylko, że dotychczasowa uchwała ma znaczenie pierwszego ogniwa w szeregu środków, które stopniowo doprowadzić powinny do stanowczéj reformy.

Z ogłoszonych w „Gońcu urzędowym" motywów, które p. minister finansów przytoczył na korzyść projektu, zwrócimy przedewszystkiém uwagę na dowodzące, iż reforma ma charakter przejściowy ku ostatecznéj regulacyi waluty. Na wstępie powiedziano tam: Ze względu na niewątpliwie szkodliwe strony istniejącego obecnie niewymiennego obiegu pieniężno-papiérowego, myśl uregulowania go i stopniowego zaprowadzenia waluty metalicznéj, musiała stanowić przedmiot troski wszystkich osób, powołanych do zawiadywania finansami ruskiemi. W celach tych w ciągu dwu ubiegłych panowań przedsiębrane były różne środki, które stopniowo przygotowywały grunt do rozwiązania w przyszłości kwestyi wznowienia obiegu metalicznego. Do téj kategoryi środków odnosi się i przedmiot niniejszego projektu. Środek ten w niczém jednak nie dotyka zasadniczych podstaw systemu pieniężnego i nie przesądza z góry

w żadnym razie sprawy przejścia do waluty złotéj, ani tego, czy innego sposobu likwidacyi zobowiązań ciążących na rządzie w stosunku do biletów kredytowych państwa.

Kładziemy silny nacisk na te uwagi. Wynika z nich, iż skarb nie decyduje tymczasem o prawnéj wartości rubla kredytowego, ani nie rozstrzyga kwestyi jego siły nabywczéj, z czego pośrednio płynie, że, wprowadzając umowy na złoto, pragnie ominąć trudności, jakie w téj chwili przy regulacyi, pod temi ostatniemi względami nastręczyćby się musiały, a któreby mogły spowodować powikłania ekonomiczne. Powołuje więc do życia środek, który przygotowuje praktyczne i stopniowe w przyszłości rozwiązanie zagadnienia, teoretycznie i prawodawczo niemożliwego do rozstrzygnięcia.

W motywach połączonych departamentów projekt rozważony został głównie z punktu widzenia jego samodzielnych funkcyi, t. j. zadania ułatwienia obiegu pieniężnego. Stwierdzono w nich również, że uchwała nie przesądza ewentualnego obowiązku rządu, co do wymiany biletów kredytowych bądź na srebro, bądź téż na złoto. Motywy te jednak nie osłabiają domniemania, iż uchwała sama przez się nie jest zaokrągloną całością, lecz prawodawczą fazą przejściową. Odkładając szczegóły z motywów prawa, odnoszące się tylko do kwestyi poprawy obiegu, na koniec tych wywodów, rozważymy tu znaczenie samego projektu już z punktu widzenia przyszłéj reformy walutowéj, z uwzględnieniem tego, cośmy o prawnéj wartości i sile nabywczéj rubla powyżéj powiedzieli.

Narzuca się przedewszystkiém pytanie, jaki jest stosunek projektu o umowach na złoto do kwestyi dewaluacyi i siły kupczéj rubli? Gdyby nowe prawo ustalało wartość rubla w kruszcu, t. j. gdyby bezzwłocznie nadawało mu obecną jego cenę giełdową w złocie, to tkwiłaby w niém dewaluacya, ponieważ, jak to wykazaliśmy, rubel kredytowy ma na rynku wewnętrznym większą wartość nabywczą, niż 67 kop. złotem. Kwestya jednak przedstawia się inaczéj. Prawo o tranzakcyach na złoto i, jako jego przyszły skutek, współrzędny obieg złota i waluty kredytowéj (na złoto niewymienialnéj) doraźnie nie pozbawia téj ostatniéj dotychczasowego jéj charakteru, i tymczasem nie zmienia warunków decydujących o sile kupczéj rubla papiérowego. Skoro bowiem podług naszego rozumowania część téj siły zawisła od podaży i popytu towarów na rynku wewnętrznym i od dostosowywania się do podaży zagranicznéj, to prawidło to będzie się musiało na dość długo ostać i zasadą pozostanie waluta kredytowa — tém bardziéj, że umowy na złoto stopniowo tylko wchodzić będą w życie i że wybór walut w wypłatach z takich umów przysługiwać będzie

płacącemu. Niemniéj wszelako, w miarę, jak zwyczaj zawierania tych tranzakcyi upowszechniać się zacznie—wzajemne na siebie oddziaływanie obu walut stopniowo i powoli wytworzy pewną faktyczną pomiędzy niemi równowagę — naturalnie w granicach kursu giełdowego. Rzecz oczywista, że zarząd skarbu będzie zarówno oznaczaniem kursu dla akcyzy, jak dotychczasowemi środkami, któremi rozporządza, podtrzymywał stałość kursu waluty, i że w żadnym już razie nie będzie chciał w nagłych odskokach przeciągać tego kursu do wysokości, przy któréj rozpoczęłaby się niekorzyść dłużników, ani po za poziom, gdzie rozpoczęłaby się krzywda wierzycieli. By ściśléj myśl tę wyrazić, dodamy, że umowy na złoto stanowić będą proces przejściowy, który z początku utrzyma w mocy bezzmienną wartość nabywczą rubla papiérowego, następnie jednak dostosuje tę ostatnią do wartości nabywczéj złota, wytwarzając tém samém łagodne przejście od jednéj waluty do drugiéj. Równowaga interesów stron w takim procesie nie będzie naruszona, o ile przemiana dokona się z ominięciem silniejszych wahań wartości walut i towarów. Gdyby w ostatecznym rezultacie nastąpiło uświęcenie kursu rubla mniéj więcéj 67 kop. w złocie, a więc uświęcenie względnéj dewaluacyi, to wywołałyby ją stopniowania tak słabe i powolne, że nikomu uczućby one się nie dały. Jeżeliby zatém dalszym celem polityki finansowéj było przywrócenie wypłat w złocie na podstawie kursu, który tymczasem wytrzymałby próbę umów na złoto, upowszechnionych już w życiu, t. j. jeśliby się po długotrwałém, skutecznem funkcyonowaniu tych umów, przy stałości rubla kredytowego, zarząd skarbu wypuścił jako ekwiwalent rubla monetę złotą, zawierającą w sobie 67 procent nominalnéj wartości rubla kredytowego (lub, co jest prawdopodobniejszém, monetę niższéj jednostki, ale na podstawie tego samego stosunku), to choć w porównaniu z dzisiejszą siłą nabywczą, byłaby to w zakresie czasu dewaluacya — dewaluacya taka nie wyrządziłaby żadnych szkód ekonomicznych. Taką może być tendencya umów na złoto, o ile reforma ta w bezpośrednim związku pozostaje z planem przywrócenia waluty metalicznéj w stosunkowo bliższéj przyszłości, zawsze jednak przy bezwzględnie długiéj mecie czasu obowiązywania umów na złoto). Że jednak jestto tylko próba, to oczywiście ani ostatecznych jéj celów, które nie są jeszcze ściśle udeterminowane, ani jéj skutku, zawisłego od wielu okoliczności, z któremi z góry liczyć się niepodobna, przesądzać nie można. To, cośmy powyżéj powiedzieli, wydaje się teoretycznie słusznem, przy względzie na fakt, że bezzmienność kursu powinna najłatwiéj zabezpieczyć interesa państwowe przed ewentualnością odpływu złota, któreby skarb na rynek wypuścił dla rozwoju tranzakcyi metalicznych—i że, z drugiéj strony,

tym sposobem zagwarantowane byłyby interesa kontrahentów w takich umowach. Inaczéj bowiem przy tranzakcyi warującéj, że zapłata ma być dokonana złotem, lub biletami kredytowemi podług kursu dnia wypłaty—na stratę narażony byłby dłużnik — przy zwyżce kursu złota, a wierzyciel — przy zwyżce kursu biletów kredytowych. Ale umiejętna technika finansowa zdołałaby prawdopodobnie ochronić rynek piéniężny przed zaburzeniami nawet wtedy, gdyby wypadło skalę kursu, dla względów przewidziéć się w téj chwili nie dających, zmieniać, i gdyby skutkiem tego w przyszłości wymiana waluty kredytowéj na złoto dopełnić się miała na podstawie kursu innego, niż 67 procent.

Przy bardzo powolném tempie stopniowéj zwyżki kursu w obrębie dłuższéj epoki, możnaby nawet przywrócić wypłaty metaliczne na zasadzie kursu zbliżonego do *pari*, a zawsze bez szkód i przewrotów, bo bez nagłego wyśrubowania siły kupczéj rubla kredytowego, który tymczasem w przejściowéj fazie współrzędnego ze złotem obiegu zaakomodował się do siły nabywczéj złota. Prawo o umowach na złoto nie przesądza wyboru takiéj, czy innéj metody — lecz tylko toruje drogę procesowi, który późniéj o wyborze środków rozstrzygnąć pozwoli.

Przechodząc teraz do szczegółów motywów urzędowych, przypominamy, że odnoszą się one głównie do względnie samoistnego zadania reformy, t. j. do polepszenia warunków obiegu, ale i w nich widocznym jest związek z pośrednią tendencyą projektu.

Wprowadzenie do obrotów pieniężnych złota, które nie zyskało sobie dotychczas w Rosyi prawa obywatelstwa, z punktu widzenia reformy, jako środka samodzielnego, ma na celu sprostowanie jednéj z ujemnych stron waluty papiérowéj. „Tą drogą poprawiony być może — słowa motywów — jeden z najważniejszych braków piéniężno-papiérowego obiegu, a mianowicie jego nierozciągliwość. Wiadomo, iż w krajach z walutą metaliczną ilość piéniędzy wogóle odpowiada zawsze potrzebie, albowiem brak ich, podnosząc ich cenę, wywołuje przypływ metalu z innych państw i odwrotnie ich obfitość, któréj towarzyszy upadek ich ceny, powoduje wywóz kruszcu na rynki zagraniczne, na których ceniony jest wyżéj. Zupełnie inny jest stan rzeczy w krajach, posiłkujących się wyłączną walutą papiérową. Ilość znajdujących się tam w obiegu znaków pieniężnych, w razie zwiększenia się popytu na nie, nie może powiększyć się kosztem przywozu z zagranicy metalu — ten bowiem nie stanowi przedmiotu wymiany.

Oto jest powód, dla którego w Rosyi wzmożona potrzeba pieniędzy, wytwarzana peryodycznie przez realizacyę urodzaju, zaspakajaną być nie może złotem zagranicznem i wszelkie żądania handlu i przemysłu w tym kierunku, z konieczności zwracane są do banku państwa, jako jedynego źródła, do którego ostatecznie spływa z obrotu cały nadmiar biletów kredytowych. Żądania te, wobec trudności, jakie spotyka bank w zabezpieczeniu sobie wysokiéj stopy procentowéj, stawiają go nawet w latach normalnych w trudne położenie, wyczerpujące znacznie jego kasę i krępujące uskuteczniane przezeń operacye. W razie zaś cokolwiek wyjątkowych okoliczności, zarząd finansów zmuszany bywa uciekać się do nowéj emisyi biletów kredytowych, zabezpieczonych złotem, bez względu na niekorzystne nader strony, właściwe temu środkowi.

„...Dopuszczenie zawiérania tranzakcyi na monetę złotą skierowane jest przedewszystkiém do usunięcia rzeczonego stanu nienormalnego, niepomyślnie odbijającego się na sprawie ekonomicznego rozwoju państwa. Istnieją podstawy do przypuszczenia, iż gdy na ruskim rynku wewnętrznym odczuć się da największe zapotrzebowanie pieniędzy, zezwolenie na wprowadzenie w obrót monety złotéj wywoła stopniowo przypływ złota zagranicznego i z czasem wybawi rząd od konieczności wypuszczania nowych emisyi biletów kredytowych. Gdyby nawet środek ten w pierwszych czasach nie wywarł tego oczekiwanego skutku, to potrzeba pieniędzy będzie mogła być zaspokojona, wobec pewnych warunków, przez wypuszczenie w obieg złota, należącego do banku państwa lub do skarbu, czemu obecnie na przeszkodzie stoi właśnie brak prawa, nadającego monecie złotéj cechy swobodnego obiegu, lub téż przez wypuszczanie, w zamian złota, specyalnych kwitów depozytowych na wyrażone w monecie złotéj sumy, na mocy których bank wypłacałby w każdym czasie sumę nominalną w téjże monecie. Tym sposobem dopuszczenie tranzakcyi w monecie złotéj doda obrotom pieniężnym brakującéj im sprężystości. Nadto środek ten prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu na ściąganie kapitałów zagranicznych, przekazywanie których związane jest obecnie z niemałemi zabiegami i trudnościami. Wreszcie wzmocni on zaufanie do systemu finansowego zagranicą, gdzie ocenione zostanie dążenie rządu do uregulowania obiegu pieniężnego, a ta okoliczność zasługuje już sama przez się na poważną uwagę."

Oto są główne samoistne cele reformy bez jéj bezpośredniego związku z przyszłą organizacyą systemu metalicznego.

Argumenty, które tedy przemawiają za wprowadzeniem umów na złoto, jako środka, poprawić mającego tylko technikę obrotów pienię-

żnych, streszczają się w ułatwieniu obiegu przez nadanie mu większéj elastyczności w widokach przyciągnięcia kapitałów zagranicznych, a więc rozszerzenie stosunków kredytowych, oraz we wzmocnieniu zaufania do systemu finansowego Rosyi.

Z motywów urzędowych musimy jeszcze przytoczyć te, które ściągają się do gwarancyi nowego prawa, że nie naruszy ono zaufania do obiegu pieniężnego. P. minister finansów, jak wiemy, chciał w swoim pierwiastkowym projekcie utrzymać ograniczenie, które istniało w dawnych projektach, mianowicie, że z prawa do umów na złoto, wyłączają się z wyjątkiem szlachty stany nie handlujące. Departamenty rady państwa były jednak co do tego punktu innego zdania, które tak w motywach formułowane zostało: Nie mówiąc już o tém, że korzyść kurateli rządowéj w dziedzinie obrotów cywilnych i tranzakcyi handlowo-przemysłowych jest wielce problematyczna, wyłączenie w obecnym wypadku niższych klas, stanowiących przeszło 80% ludności państwa, może dać powód do wcale niepożądanych komentarzy nad rozmaitym charakterem pieniędzy w różnych klasach społeczeństwa, oraz nad ustanowieniem specyalnego przywileju dla klas wyższych z niekorzyścią dla włościan, mieszczan i t. p.

Co do innych gwarancyi, p. minister tak je określił: Zezwolenie na zawiéranie tranzakcyi w ruskiéj monecie złotéj można ograniczyć wyłącznie do umów piśmiennych, które jedynie mają istotne znaczenie dla celów ministeryum finansowych i których rozprzestrzenienie, jak sądzić należy, doprowadzi bez szczególnego zezwolenia do zawiérania w odpowiednich warunkach i tranzakcyj ustnych na walutę złotą. Następnie należałoby zezwolić na wnoszenie złotem podług kursu takich tylko podatków, które wnoszą przeważnie osoby, mogące z powodu rodzaju swych zajęć praktycznie obeznać się z tranzakcyami na monetę złotą i z tego względu zastosować ten środek na początek tylko do wnoszenia podatków akcyznych. (Z obu tych uwag widzimy, że nawet ta przejściowa faza reformy monetarnéj nie jest zamknięta). Wreszcie zrzec się należy zupełnie zezwolenia skarbowi wykonywania wypłat monetą złotą, aby usunąć wszelką możność przypuszczenia, jakoby rząd chciał w przyszłości skorzystać z tego prawa dla wypełnienia swych zobowiązań podług oznaczonego przez niego samego, niekorzystnego dla wierzycieli kursu.

Kwestyą stempla od umów na złoto departamenty rady państwa rozstrzygnęły w następujący sposób: W myśl prawa z r. 1893 przy oznaczeniu sumy wekslu na monetę finlandzką lub zagraniczną, wysokość opłaty stemplowéj oblicza się według sumy wekslu na zasadzie wartości téj monety, oznaczonéj w oddzielnéj tabeli, w któréj za rów-

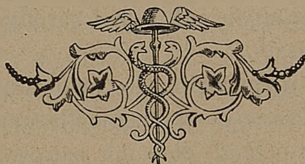
nające się jednemu (kredytowemu) rublowi ruskiemu uważa monety zagraniczne, odpowiadające wartości jednego rubla w walucie złotéj. Wobec tego, zdaniem departamentów, opłata stemplowa, przypadająca od aktów i dokumentów, brzmiących na państwową ruską monetę złotą, powinna być obliczana na zasadzie nominalnéj sumy umownéj.

Przepis o opłacie stempla od umów, na złoto zawiéranych, orzekający, że stempel pobiérany będzie od sumy nominalnéj, jest ważny bardzo, albowiem wobec korzyści, które stąd płyną dla kontrahentów, zachęci on ludność do zawiérania takich kontraktów.

Tym sposobem wyczerpaliśmy motywy, które złożyły się na redakcyę projektu, na początku powołanego. Redakcya ta już, jako, zdaniem naszém, jasna i ścisła, nie wymaga szczegółowego wyświetlenia. W końcu raz jeszcze stwierdzić trzeba, że wszystko, co w komentarzach urzędowych powiedziano, daje dowód, iż w środku tym widziéć można pierwsze kroki do dalszéj działalności w kierunku uregulowania waluty i że tém samém jestto część systemu, którego ogólne oddziaływanie powyżéj scharakteryzować spróbowaliśmy.

Ze względu na ramy artykułu musieliśmy już pominąć rozgłośny dziś w świecie nauki i interesów społecznych spór o monometalizm i bimetalizm, o tyle związek ze sprawą tą mający, że nie można dziś należycie ocenić żadnéj reformy monetarnéj, — zasadniczych argumentów bimetalistów nie uwzględniając, i że wobec tych argumentów, które z czasem mogą sobie utorować drogę do zwycięstwa, kto wié, czy nie ulegnie zakwestyonowaniu, jeśli nie zasada waluty złotéj, to fakt stopniowego wyłączenia srébra z obiegu monetarnego. Zwrócimy tu tylko uwagę, że względy te musiałyby oczywiście odbić się na przyszłéj organizacyi waluty monetarnéj w Rosyi, i że już dlatego nie można z góry liczyć się z ostatecznemi skutkami nowéj przejściowéj fazy obiegu pieniężnego, które umowy na złoto spowodują.

St. A. Kempner.



Czytelność wśród ludu.

Oświata warstw roboczych,—takiém zdaje się być hasło dogorywającego stulecia. Po równouprawnieniu w zasadzie z końca wieku XVIII-go, uposażenie stanu „najliczniejszego i najpożyteczniejszego” w niezbędne narzędzia wiedzy ogólnéj i fachowéj staje się na schyłku naszego wieku jakby obowiązkowém dopełnieniem woli poprzednika. Po rozmaitych próbach teoretycznych, po wielu marszach i kontrmarszach dwu wielkich stronnictw nowoczesnych, zachowawczego i postępowego, wypadło w ostatku wrócić — do początku i szczerze, wspólnemi siłami zabrać się do dzieła jedynéj mocnéj i skutecznéj reformy: podniesienia gminu na stopień świadoméj swych ruchów i czasów potęgi. Nie ulega wątpliwości, że na wyrobienie i rozpowszechnienie tego przekonania niemało wpłynął także i obóz przewrotu — krańcowy ów socyalizm naszego czasu, dla którego upośledzenie i ciemnota mas były nie samą tylko zachętą do upominania się o sprawiedliwość dla „wydziedziczonych...” Spostrzeżono w porę jeszcze, o ile ze wszystkiego wnosić należy, że w gęstych mgłach niewiedzy, równie dobrze ukryć się może apostolstwo wzniosłe jak i szał zbrodniczy, a często jednego od drugiego nie odróżnisz.

Od téj to daty rozpoczęło się owo współubieganie się gorące i gdzieniegdzie gorączkowe o dostarczenie klasom upośledzonym środków samodzielnego sądzenia o tém, co o ich szczęściu, swobodzie i mieniu radzono i stanowiono — bez nich. Sypnęły się programaty naprawy, potworzyły się instytucye wychowawcze ze strony kościoła i państwa, z inicyatywy prywatnéj i zbiorowéj, od jednostek zamożnych i od za-

możniejszych jeszcze spółek. Drogi obrane różnią się między sobą niezmiernie, odpowiednio do położenia każdego narodu: zasobności materyalnéj i mniéj więcéj sprzyjających warunków prawno-politycznych i dziejowych. We Francyi, gdzie wszystko, oprócz p. prefekta i prefektury centralizacyjnéj ulega zmianie bezustannéj, akcya rządowa pozostała po dawneniu wyłącznym regulatorem spraw wychowania narodowego. W Anglii znowu, która oddawna złożyła dział służby publicznéj na barki społeczeństwa, rozmaite ligi i korporacye szkolne podwoiły i potroiły swe zachody i usiłowania. Gdzieindziéj znów, jak w Niemczech np. i we Włoszech, ściérają się z sobą w wyścigach o lepsze rozmaite systematy mieszane. Godném jest zaznaczenia, że kraje mniejsze nietylko równolegle podążają w tych zadaniach z krajami rozległemi, lecz często je wyprzedzają. W czerwcu r. b., przy otwarciu w Kopenhadze nowego portu wolnohandlowego, korporacya dziennikarzy miejscowych pochlubić się mogła przed kolegami, zgromadzonymi na tę uroczystość ze wszystkich krańców świata, że wieśniactwo duńskie otrzymało pierwszą nagrodę w zapasach „o światło dla najmłodszych": stanęło w awangardzie tegoczesnego postępu. Jak gdzieindziéj człowieka czytelnego, tak w Danii nieczytelnych ludzi z latarką w ręku szukać dziś można po wsiach.

„Sprawozdanie za rok 1894 petersburskiego komitetu czytelności, istniejącego przy Cesarskiém towarzystwie wolno-ekonomiczném", uprzejmie w tych dniach do redakcyi „Ateneum" nadesłane, wtajemnicza nas w stan téjże saméj kwestyi w Rosyi. Jestto szczegółowy i obszerny referat, składający się z dwustu kilkudziesięciu stronic ścisłego druku (132 + 96) dużéj ósemki i zawiérający w sobie szereg działów, których tytuły dają już niejakie wyobrażenie o rozległości prac i przedsięwzięć pożytecznéj téj instytucyi, cieszącéj się, pod zwierzchnią opieką Towarzystwa ekonomicznego, protekcyą najwyższych władz w państwie. Mamy tu najpierw zwięzły wstęp o dotychczasowych rezultatach usiłowań komitetu czytelności; w dalszym ciągu następują: osobisty skład rady i wydziałów; trojaki rodzaj działalności rady: ogólny, w sprawie bezpłatnego rozsyłania książek i dotyczący wyprzedaży wydawnictw komitetu; finanse i budżet na r. 1895; specyalne sprawozdania wydziałów: wydającego dzieła dla ludu, opracowującego systematyczny przegląd literatury popularno-naukowéj, rozdającego zapomogi uczniom szkółek gminnych, zbiérającego wiadomości o oświacie ludowéj, poszukującego środków materyalnych, wreszcie wydziału bibliotecznego; zamykają rzecz: raport wydziału rewizyjnego, protokóły ogólnych zebrań w r. 1894, projekt statutu To-

warzystwa szerzenia oświaty narodowéj i lista członków komitetu czytelności po dzień 1 lutego 1895 r.

Obecny stan oświaty ludowéj w Rosyi, oznaczony choćby w przybliżeniu przez liczebny stosunek czytelnych do analfabetów, nie jest komitetowi znany. Wydział jego, zajmujący się tym przedmiotem, opracował dopiéro w roku ubiegłym programatologię przyszłych w tym zakresie prac zbiorowych. Przytém instytucya „czytelności” nie rozciąga swych poszukiwań na szkółki rządowe lub cerkiewne; działalność jéj obraca się wyłącznie w t. zw. sferze „pozaszkolnéj”. Urzędowa statystyka wychowania publicznego mieści się, jak dotąd, w najpoddańszych sprawozdaniach pp. ministra oświécenia i prokuratora synodu, których treść dochodzi do wiadomości powszechnéj nieprędko; tak np. sprawozdania z lat: 1888 i 1889 ukazały się z pod prasy dopiéro w r. 1894. Raporty gubernatorów i generał-gubernatorów niedostępne są dla publiki; co zaś do sprawozdań kuratorów okręgów naukowych, kaukazkiego, wileńskiego, kijowskiego i zachodnio-syberyjskiego, ukazują się one tylko luźnie i częściowo. Z tego względu prace komitetów statystycznych, centralnego i lokalnych, są również albo cząstkowe, albo ułomne, w każdym razie niewystarczające.

Wobec niepewności i omylności obrazu aktualnéj sytuacyi wychowawczéj, prace komitetu oświaty ludowéj, mające na widoku poprawę istniejących warunków, musiały być — jak to sprawozdanie wyraźnie zaznacza — całkiem dorywcze, kierować się na chybił trafił domysłem, poniekąd poomacku. Zresztą, obrotność ta aż do r. 1894 liczyć się musiała z innemi jeszcze względami. Oprócz miast stołecznych i gubernialnych, w których odczyty popularne odbywać się mogły z upoważnienia władz miejscowych i w ramach ogólnych przepisów cenzuralnych, inne miejscowości, tak miejskie jak wiejskie, nie mogły pod żadnym pozorem korzystać z tego sposobu szerzenia wiedzy, którego doniosłość, długi czas kwestyonowana na Zachodzie, przeszła za dni naszych w dziedzinę niewątpliwie dobroczynnych czynników pedagogicznych. Dopiéro w październiku 1894 r. zatwierdzoną została uchwała komitetu ministrów (nr. 200, „Zbiór ustaw i rozporz. rządowych”) stanowiąca, że odczyty po miastach powiatowych i po wsiach odbywać się mogą na mocy osobnego na każdy raz zezwolenia pp. ministrów oświécenia i spraw wewnętrznych, udzielonego po porozumieniu się z p. prokuratorem synodu i za uprzednią aprobatą władz lokalnych, cywilnych i duchownych, tak co do osób, urządzających odczyty, jako téż i co do osnowy tych pogadanek.

Aż do pomienionéj chwili nie mogło oczywiście być mowy o krzewieniu wśród ludu oświaty w żywém słowie. Wypadało poprzestać na jéj szerzeniu w literze martwéj, drukowanéj. W tym zakresie kilkunastoletnie doświadczenie petersburskiego komitetu czytelności zdobyło kilka wskazówek praktycznych, które tu w streszczeniu podnosimy.

Książki, przeznaczone do rozpowszechnienia wśród ludu, komitet w większości wypadków nabywa od wydawców z rabatem, wynoszącym od 27 do 35% i te przeważnie rozsyła bezpłatnie; dziełka zaś, wydane własnym nakładem wyprzedaje po cenie minimalnéj od 3 do 10 i 20 kop. za egzemplarz z pewnemi ustępstwami przy większych zamówieniach przez szkółki rządowe lub cerkiewne, przez ziemstwa, dyrekcye szkół lub zakłady i osoby prywatne. Z książek, zakupionych rozesłano w roku sprawozdawczym 31,317 egzemplarzy, — znacznie mniéj, niż w r. 1893 (51,150 egz.) i jeszcze mniéj, niż w r. 1892 (64,429 egz.). Zmniejszenie to sprawozdanie nazywa rozmyślném ze strony komitetu, zauważono bowiem marnotrawstwo i lekkomyślność w rozdawnictwie egzemplarzy gratysowych. Kolporterów własnych komitet czytelności nie posiada, lokalnych stowarzyszeń oświaty ludowéj jest w Rosyi zaledwie około 30, instytucye ziemskie istnieją tylko we wschodniéj połowie państwa, wszelkie zaś inne pośrednictwo najczęściéj naraża na zawód i straty. Nie każdemu zresztą pośrednictwu lud wierzy; egzemplarz, otrzymany z rąk „niepewnych", uważany często bywa za coś narzuconego, przymusowego — i w takim wypadku zamierzony cel nie daje się osiągnąć. W rozmieszczeniu egzemplarzy bezpłatnych po guberniach, posiadających ziemstwa, największą ilość książek otrzymała gub. twerska (2,363), najmniejszą —jekaterynosławska (5); z gub., nie posiadających ziemstw, pierwsze miejsce w bezpłatności zajęły: tobolska (4,000), i tomska 1,456); w zachodniéj połowie państwa rozkład był następujący: gub. mińska wystosowała żądań 12, na które wysłano 604 egz.; witebska żądań 5, egz. 407; mohilowska żądań 7, egz. 264; wołyńska żądań 8, egz. 214; grodzieńska żądań 3, egz. 183; kijowska żądań 3, egz. 133; kowieńska żądań 1, egz. 128; podolska żądań 2, egz. 55; wileńska żądań 1, egz. 33. Książki bezpłatne tak się dzieliły podług swojéj treści: beletrystyka 8,194 egz., historya i biografia 2,797, przyrodoznawstwo 2,305, gospodarstwo wiejskie 2,268, gramatyka 1,755, geografia, 1676, medycyna i hygiena 901, pedagogika 701 i t. d.

W miarę zmniejszania się ilości książek rozsyłanych bezpłatnie, wzrasta wyprzedaż dzieł tanich; od 1 grudnia 1893 do 1 grudnia 1894 r. rozeszło się książeczek takich 150,944 egz., w których rzędzie naczelne miejsca zajęły: Bajki Kryłowa (do 12,000 egz.), Robinson

(6,000 z górą egz.), Obrona Sewastopola (4,000 egz.) i t. d. Wyprzedażą zajmowały się składy księgarskie w Petersburgu: komitetowy, Stasiulewicza, Kałmykowéj, Zaleskiéj i t. d., oraz magazyn ziemstwa gubernialnego charkowskiego. Ulepszenia, jakie zdaniem komitetu należałoby zaprowadzić w tej najważniejszéj, jak dotąd, odnodze, przedsiębiorczości zbiorowéj byłoby następujące. Pożądaném jest najpierw podniesienie poziomu pożyteczności wydawnictw ludowych, zastąpienie w nich pasożytnego zielska beletrystyki, rozprawami z dziedziny ekonomiki, rachunkowości, pedagogiki, higieny i t. p. Szkopułem na téj drodze dotąd niezwyciężonym była zawsze spekulacya wydawców drobnych, pokątnych nieraz, puszczających w obieg uliczny przy współudziale t. zw. patentowanych roznosicieli, towar drukowany najlichszego i niekiedy najwstrętniejszego gatunku, tak pod względem etycznym jak i estetycznym. Następnie zaprowadzićby należało ściślejsze rozgraniczenie pomiędzy literatyrą dla dzieci (szkolną) a literaturą dla dorosłych (popularno-wiejską), gdyż z istoty swéj i przeznaczenia są to dwa rodzaje najzupełniéj różne. Wreszcie w drugim z tych działów—w literaturze ogólno-ludowéj—koniecznie dążyć wypada do usunięcia bezmyślnego i pod pewnym względem zgubnego trybu popularyzacyi odrębnéj, specyalnéj, podniecanéj, wspiéranéj dziś nawet zachętami konkursowemi. Obserwacye, najdokładniéj sprawdzone, wykazały, że lud doskonale korzystać może i potrafi ze skarbnicy literatury i umiejętności powszechnéj, — tak ojczystéj jak i obcokrajowéj, bez podszywania się pod tematy i kanwy jakiegoś udostępnienia czy téż udogodnienia. Z obrad, jakie w téj sprawie przeprowadził komitet czytelności w swéj radzie głównéj i na posiedzeniach odpowiednich wydziałów wysnuto cały program postępowania, który podajemy tu w krótkości, w przykładzie dla naszego czytelnictwa zrozumiałym.

Przypuśćmy, że na mocy uzyskanego pozwolenia, w miejscowości X. zawiązała się filia petersburskiego komitetu czytelności i pozyskawszy w drodze składek publicznych wystarczający fundusz, postanowiła wydać dwadzieścia tanich dziełek rozmaitéj osnowy, każde w 10 lub 20 tysiącach egzemplarzy. Idzie o wybór przedmiotów. Nic nad to łatwiejszego i prostszego — powiada komitet petersburski. Z dziejów literatury bierzemy jeden, dwa najjaśniéj, najzrozumialéj pisane ustępy Wiszniewskiego, z estetyki takiż rozdział Libelta, Kremera lub Cieszkowskiego („Ojcze nasz" ma takich miejsc sporo), z psychologii parę stronic Szokalskiego, z podróżnictwa kilkanaście kartek Goszczyńskiego „Wycieczki w Tatry", z beletrystyki nowelkę Sewera „Dla świętéj ziemi", z geografii Wincentego Pola wstęp do „Północnego wschodu Europy", z budownictwa jakąś składową cząst-

kę biblioteczki „Wisła" (o chacie wiejskiéj) i t. d.—bez końca; dajemy temu osobne tytuły, dosadnie malujące zawartość — i w świat. Wypada to taniéj, niż kiedybyśmy zamawiali elukubracye osobne, przystosowane jakoby do pojętności gminnéj, — przedewszystkiém zaś łączy się tu pożytek praktyczny z uznaniem i nagrodą dla imion dobrze społeczeństwu zasłużonych pisarzy i pracowników. Wprawdzie na liście komitetu petersburskiego Puszkin, Lermontow, Iwan Turgieniew, Lew Tołstoj, Garszyn, Korolenko, zdaleka zaledwie podążają pod względem statystyki poczytności za „Nocą krwawą", „Trzydziestu rozbójnikami" lub jakimś tam „Palcem piorunowym". Ale to jest tylko tymczasowość, która zniknie bez śladu, gdy rozwiązany zostanie problemat, stanowiący w obecnéj chwili główny przedmiot rozpraw i zabiegów przyjaciół oświaty ludowéj.

Problemat to niemal ekonomiczny — zbliżenie wytwórcy do spożywcy, organizacya łatwéj i szybkiéj wymiany. Idzie o to, aby zacna książka ludowa dostała się z najmniejszą stratą czasu i wydatku w te ciemne kąty, gdzie byłaby najbardziéj pożądana i potrzebna. Ta sama, jak widzimy, historya, co i przy bezpłatném rozsyłaniu książek. Gdziekolwiek istnieją organa samorządu prowincyonalnego, sprawa daje się jeszcze jako tako nawiązać i załatwić; gdzieindziéj wszystko jest na łasce ślepego trafu. Myśl zakładania czytelni ludowych i opatrywania ich dobranemi kompletami dzieł i pism na ten cel przeznaczonych, wcześnie weszła na dzienny porządek obrad i trosk towarzystwa pozaszkolnéj oświaty ludowéj. Ale długo nie znajdowała jakoś trwalszego gruntu pod sobą. I niedobrze na razie wiedziano, dlaczego. Komitet napróżno wykazywał ludziom dobréj woli korzyści i zalety podobnych bibliotek-czytelni, w których „lepsza część włościan znajdować będzie wypoczynek, godziwe pocieszenie i zasiłek moralny w ciężkich warunkach bezpośredniego swego otoczenia; wyłoni się tym sposobem wśród pustek i zdziczenia życia wiejskiego klasa inteligencyi chłopskiéj, która, znalazłszy poparcie i pokrzepienie, zdobędzie się następnie na środki dalszego kształcenia siebie i niższéj swéj braci..." Powody obojętności odsłoniły się zupełnie przypadkowo. W początkach r. 1894 komitet otrzymał kilka zapytań, pochodzących głównie z Rosyi południowéj, co do przypuszczalnéj możliwości dostarczania projektowanym czytelniom książek w języku ludności miejscowéj. Zagadnienie to, postawione na zgromadzeniu ogólném w dniu 10 maja pod postacią podania niejakiego p. Szraga z Czernihowa o niezbędności wprowadzenia do bibliotek ludowych w Małorosyi książek małoruskich, otrzymało uchwałę przychylną z tém wyjaśnieniem w motywach, że zgromadzenie kieruje się uczuciem poszano-

wania praw narodowości i przedstawicieli literatury małoruskiéj". W tymże duchu zapadło orzeczenie z d. 15 listopada 1894 r. w przedmiocie używania po czytelniach książek w językach obcoplemiennych („inorodczeskich"). Przyjęcie tych wniosków — zapewnia sprawozdanie— wywołało wszędzie, szczególnie na południu Rosyi, najżywsze współczucie,— i odtąd kwestya zakładania czytelni-bibliotek stanęła odrazu na gruncie rzeczywistości i niezachwianego powodzenia. Płyną sute ofiary w piéniądzach i naturze, wznoszą się po gminach domy na pomieszczanie zbiorów, urządzają się tymczasowe sale zimowe przy kancelaryach gminnych. Komitet czytelności tak dalece ufa w dalszy pomyślny rozwój swojego przedsięwzięcia, że w końcu bieżącego roku przystąpić zamierza do zakładania przy czytelniach muzeów gminnych i szkółek przemysłowo-rzemieślniczych, oraz do tworzenia osobnego dla siebie organu prasy.

W widokach rozpowszechnienia wśród ogółu znajomości przepisów prawnych, dotyczących czytelni-bibliotek ludowych, petersburski komitet czytelności rozesłał w kwietniu r. b. 50,000 egzemplarzy „Zbioru postanowień o bezpłatnych bibliotekach-czytelniach dla ludu, z dodaniem trzech typowych wzorów urządzania takowych". Okazuje się z ogólnego zestawienia pomienionych przepisów, że skromne te napozór ogniska oświaty gminnéj, pozaszkolnéj, zażywają dość stosunkowo szerokich prerogatyw. Statuty ich potwierdza gubernator, nie zaś—jak w biblioteczkach szkolnych —ministeryum oświécenia; wybór dzieł i pism podlega zastrzeżeniom dość łagodnym, górują zaś one nad bibliotekami szkolnemi przez to jeszcze, że wolno im nie ograniczać się do prostéj wypożyczalni książek, lecz utrzymywać zarazem i sale dla zajęć wspólnych.

J. T. Hodi.



SZKAPLERZYK.

NOWELKA.

Deszcz począł padać, gdy, dzierżąc w rączkach prawie większy odemnie parasol, z zachwytem przypatrywałem się sztukom akrobatów przed sceną, na środku dużego ogrodu umieszczoną.

— Znowu zapomniałem parasola! — rzekł obok mnie wysoki, przystojny mężczyzna, którego sylwetka odrysowała się niejasno w głowie sześcioletniego chłopca, pozostawiają mi jedynie wrażenie pańskości.

Pamiętny na przepisy matki, odezwałem się śmiało:

— Czy chce pan mój parasol?

Nieznajomy popatrzył się na mnie z miłym uśmiechem.

-- To twój ten olbrzymi parasol?

— To taty parasol.

— A gdzie twój tata?

— Tam jest, z panem Rawskim—odparłem, wskazując w stronę budynków restauracyjnych w głębi ogrodu publicznego.

— A ty tak sam biegasz?

— Tak.

Rozpiął parasol i, biorąc mnie za rękę, rzekł:

— Chodź ze mną, kawalerze, dostaniesz pomarańcz! Wstąpię do pomieszkania o kilka kroków stąd po parasol i przyprowadzę cię do taty.

Podskakując swawolnie, zdążałem obok tego przewodnika ulicą, opowiadając mu zapewne wiele mądrych rzeczy.

Weszliśmy do narożnéj, cichéj kamienicy, w któréj jedna część okien wychodziła na plac i ogródek, gdzie zwykłem się był gonić z innemi dziećmi.

W dużym pokoju, do którego mnie wprowadził, panował zupełny zmrok, bo przez zapuszczone weneckie okienice przekradały się tylko rzadkie pasma gorącego słońca. Przy oknie ujrzałem siedzącą młodą kobiétę, w białym, płóciennym negliżu. Miała włosy czarne, niezwykle duże, ciemne oczy i bardzo białą twarz.

— Prowadzę ci gościa — rzekł do niéj mój towarzysz i wytłómaczył niespodziewaną wizytę.

Odłożyła kanwową robotę na kolana.

— Jaki ładny chłopczyk! — rzekła melodyjnym głosem, przyglądając mi się z przyjaznym uśmiechem.

— Jak ci na imię?

— Henryś — wybąknąłem, zafrasowany w obcém mi otoczeniu.

— No, chodź do mnie, Henrysiu, przywitaj się! Bardzo grzeczny z ciebie kawaler.

Zbliżyłem się do niéj nieśmiało.

Głądząc mnie po głowie, wypytywała o dom i rodzeństwo.

— Co to pani szyje? — zagadnąłem po chwili, odzyskując swobodę.

— Dywanik na ścianę dla tego pana — odparła, sadzając mnie na kolanach i pokazując swą robotę.

— Widzisz tego zajączka wyszytego?

— Tak, a tu w tym rogu pies.

— Lubisz pieski jak ten pan?

— A czy ten pan to pani tata?

Nieznajoma roześmiała się.

— Nie... za młody, aby był moim tatą?

— A co? Pani mąż?

Piękna bruneta wahała się z odpowiedzią i nie znalazła jéj.

W téj chwili wtrącił mężczyzna:

— Heleno, gdzie masz pomarańcze? Chciałem dać temu małemu.

Wysunęła się do drugiego pokoju i, wróciwszy z półmiskiem pełnym przysmaków, wyładowała mi kieszenie rodzynkami i migdałami. Wziąwszy mię znowu na kolana, obierała mi pomarańczę.

Nie spieszno mi było odchodzić; zapomniałem o ogrodzie, o ojcu

i akrobatach, zajęty wyłącznie pomarańczami i łaskawą na mnie kobiétą, która odrazu zjednała sobie moje względy.

Gdy przechyliła głowę, dostrzegłem na białéj szyi cienką, niebieską wstążeczkę, która mnie zaintrygowła.

— Czemu pani ma ten sznurek na szyi?

Wsunęła rękę na piersi i wydobyła szkaplerzyk.

— Czy masz taki szkaplerzyk?

— Nie, nie mam. Czy to pani dał ten pan?

— Nie, to... to mi dała mama, gdy byłam taka mała jak ty...

— Czemu mama dała pani ten sznurek?—pytałem znowu.

— Czemu?... Ażebym o niéj i o Bogu nie zapomniała i była grzeczna.

— A była pani grzeczna?

— Chodź, Henrysiu, bo tata-by się o ciebie niepokoił! — odezwał się „ten pan" tonem takim, że ani mi przez myśl nie przeszło sprzeciwić się. Lecz piękna kobiéta nie skorą była mnie puścić.

— Przyjdziesz znowu do mnie?

— Dobrze.

— Kiedy przyjdziesz?

Na to pytanie nie umiałem dać odpowiedzi, ale mi sama przyszła w pomoc.

— Czy bawisz się na tym placu.

— Tak.

— Zatém jak będziesz na placu z twą boną, to przybiegnij do mnie na słodycze.

— Dobrze.

— A znasz drogę?

— O! znam.

— A jak powiész bonie, idąc do mnie?

— Powiem, że ta pani, co mi dała pomarańcz i ma sznurek na szyi, kazała mi przyjść na górę.

— Sznurek na szyi?!—roześmiała się, lecz uśmiéch jéj przeszedł nagle w zamyślenie. Rzekła słodko:

— Nie sznurek, ale szkaplerzyk.

— Szkaplerzyk?—powtórzyłem.

Ucałowała mnie serdecznie i patrzała za odchodzącym z taką czułością, że instyktownie odgadłem w niéj przyjaciółkę.

Z największą przyjemnością wbiegałem po ciemnych schodach do „téj pani", którą zastawałem zwykle samą, zajętą albo czytaniem, albo szyciem. Raz czy dwa razy spotkałem u niéj dwie młode kobiéty, lecz nigdy „tego pana". Uderzyło mnie to i zapytałem o niego.

— Nie może ciągle u mnie siedziéć—odparła.

— Czemu nie może?—pytałem jeszcze.

— Bo... ma zajęcia.

W istocie musiał miéć—zajęcia.

Pewnego razu znajdując się z matką na dworcu kolei, zobaczyłem go prowadzącego pod ramię ciemno ubraną damę. W pierwszéj chwili chciałem biedz i powitać go, lecz na mój widok, rzucił mi tak dziwne spojrzenie, szybko odwracając głowę, że coś mnie tknęło i nawet nie pokazałem go matce.

Raz zastałem „tę panią” chodzącą po pokoją i deklamującą.

— Czemu pani tak ciągle coś mówi?—spytałem.

Roześmiała się i znowu wyściskała mnie serdecznie.

— Muszę się nauczyć tego na pamięć.

To było mi zupełnie obojętném.

Gdy ją sobie dziś uprzytomnię wysoką, piekną, powabną, widzę, z jaką ogromną witała mnie radością. Czasami, gdy bawiąc się z dziećmi na placu, nie śpieszyłem z wizytą, przypominała mi się, stając w oknie i wiewając chusteczką. Żal malował się téż na twarzy, gdy mi raz rzekła:

— Wiész, Henrysiu, że niedługo odjadę.

— A kiedy pani przyjedzie?

— Może nigdy, ale przyślę ci na gwiazdkę konika i zabawek.

W rzeczy saméj na Boże Narodzenie otrzymałem ogromną pakę ku zdziwieniu rodziców, którzy dopiéro teraz dowiedzieli się, kto to jest „ta pani”, aby podziękować.

Pamiętam—była to ostatnia moja wizyta—dał się słyszéć dzwonek i ukazał „ten pan”, przynosząc pudełko ze złotą bransoletką. Helena nie długo się jéj przyglądała, lecz znowu zaczęła się ze mną gonić po pokoju. Potém, wziąwszy mnie na łono, zabawiała rozmową. On usiadł tuż przed nią i, oparłszy ręce na jéj kolanach, patrzył się na nas.

— Wydaje mi się, że tego malca kochasz więcéj odemnie — rzekł.

— Bardzo kocham małego Henrysia—szepnęła, przyciskając mą głowę do piersi.

Ubrana była w luźny strój ranny, który pozwolił mi zoczyć „sznurek” na jéj szyi. Siegnąwszy w jéj zanadrze, wydobyłem szkaplerzyk, co już z powodu nazwy, któréj nie mogłem zapamiętać, wzbudzał mą ciekawość.

— Pokaż mi pani ten niebieski sznurek.

— Chciałbyś miéć taki szkaplerzyk?

— Tak. Na co on jest ten szkaplerzyk?

Zamyśliła się. Zdjąwszy go nagłym ruchem, zawiesiła mi go na szyi. Zdaje mi się, że miała łzy w oczach.

— Weź go odemnie na pamiątkę! Ja... inny mam na szyi... sznurek... Ale musisz mi przyrzec, że będziesz go nosił całe życie, całe życie...

— Tak, dobrze.

— Nie zapomnisz, Henrysiu? Nigdy nie zapomnisz?

— Nigdy nie zapomnę.

— Coś ty sobie uwidziała do tego malca?! — wtrącił niechętnie mężczyzna.

Z długiéj jéj odpowiedzi zapamiętałem sobie tylko jedno słowo: niewinność.

— Jakaś ty dziwaczna! — roześmiał się cierpko „ten pan". Puść tego malca!

Ona swym zwyczajem ułożyła twarz na méj głowie, a z zamkniętych jéj oczu płynął gorący strumień łez. Nie bacząc na jego uwagi, mówiła do mnie:

— Przyrzeknij mi, Henrysiu, że co niedzielę zmówisz za mnie paciérz!

— Zmówię co niedzielę.

— Ten szkaplerzyk... (Nie powinnam go nosić!). Niech on ci przypomina, coś przyobiecał „téj pani"... Będzie ci téż trochę żal, gdy odjadę?

— Głupstwo!—szepnął przez zęby mężczyzna.

— Bardzo mi będzie żal.

— Mój ty aniołku!

— Jakaś ty nierozsądna, Heleno! Zapomni cię bęben za minutę.

— Ale ten szkaplerzyk będzie mnie mu przypominał.

— I cóż ci na tém zależy?

— Zależy mi na modlitwie niewinnego dziecka, przy którém... czuję się lepsza...

Płakała.

— Jak cię kocham, myślałby kto, że występujesz w melodramacie...—rzekł ironicznie.

— Zupełnie mnie nie rozumiész... — szepnęła, płacząc coraz więcéj.

Chociażby ze względu na słodycze, któremi mnie zawsze przyjmowała, nie mogłem się do niéj nie przywiązać. Widząc przeto jéj łzy, objąłem ją za szyję, wołając:

— Niech pani tak nie płacze!

— Ty jeden mnie żałujesz!...—szepnęła, pieszcząc mnie czule.

— Daję ci słowo, Heleno, jesteś dziś nieznośna! — rzekł „ten pan", powstając zły.

Zamilkła i uspokoiła się.

Po chwili podniosła się z siedzenia i cichym głosem zaczęła z nim rozmawiać.

Ucieszony i zajęty szkaplerzykiem, nie zwrałem na nich uwagi, lecz odrysowywa mi się dziś żywo w pamięci postać rozprawiającego i gestykulującego pana, gdy Helena, trochę blada, z wyrazem niezłomnego postanowienia na twarzy, wsunęła mu bransoletkę w kieszeń.

Długo umawiali się z sobą, on wzburzony, ona cicha. Wreszcie pochwycił laskę i cylinder. Wychodząc odezwał się sarkastycznie:

— Nie masz przecież szkaplerzyka!!....

— Dlatego właśnie, że nie mam...

Trzasnął za sobą drzwiami.

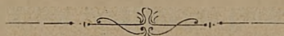
Nigdy już jéj nie widziałem, lecz i nie zapomniałem... Noszę do dziś dnia ten szkaplerzyk i — rzecz dziwna — chociaż za siebie się nie modlę, za nią odmawiam paciérz co niedziela...

Maciej Wierzbiński.



NIELETNI PRZESTĘPCY

W ŚWIETLE NOWYCH PRĄDÓW W PRAWIE KARNEM.



I.

Nauka prawa karnego znajduje się obecnie w dobie przesilenia. Klasyczna jurysprudencya ze swemi abstrakcyami, ignorującemi wymogi życia praktycznego, została w swych posadach wzruszoną i ustępuje nowym prądom i nowym doktrynom zasilonym nowemi ideami. Filozofia naturalistyczna drugiéj połowy obecnego stulecia, przyjmując metodę badania empirycznego, podkopała wiarę w kardynalne podstawy prawa karnego. Dotychczasowe prawo karne oparte było na dogmacie o winie i odpowiedzialności moralnéj człowieka i zbudowało na gruncie tym gmach, który jednak wobec pewników wykrytych w ostatnich czasach runąć musi. Był to przesąd trwający wieki, w który nam wierzyć kazała średniowieczna teologia i metafizyka. Przesąd ten dziś przeżył się, a w miejsce jego wstępuje nieubłagany fatalizm panujący wszechwładnie w wszechświecie. Jednostka musi zstąpić z wzniosłego piedestału i stać się atomem niknącym w wszechświecie, który nią rządzi według wieczystych prawideł życia i natury.

Szkoła klasyczna prawa karnego była w swym czasie objawem wielce znaczącym. Stworzyli ją wielcy myśliciele XVIII-go wieku, a w epoce oświecenia powitaną została z entuzyazmem. Idea filantropii, będąca w owych czasach hasłem popularném, a zarazem ożywczém światłem, odniosła tryumf nad dawnym teroryzmem i barbarzyń-

stwem. Postaci Beccarii, Howarda, Voltaire'a i encyklopedystów wniosły do prawa karnego element etyczny i idealny. Kara przestaje być aktem instynktu czyli raczéj egoizmu indywidualnego, domagającego się pod wpływem uczucia zemsty, reakcyi przeciw bezprawiu, a wznosi się na wyżynę etyczną. Doktryneryzm Kanta, Herbarta, Hegla stworzył prawo karne o charakterze absolutnym i metafizycznym i kazał nam wierzyć w idealizm kryminalny, zamknięty w ciasném kole pojęć abstrakcyjnych. Idealizm ten stworzył maksymę *fiat justitia, pereat mundus*, uchodzącą za najwyższy szczyt sprawiedliwości karzącéj, a zamknąwszy się w sferze filozoficznych spekulacyi, zapomniał o wszelkiém innéem posłannictwie prawa i kary.

I ten to idealizm ze swoją metodą spekulacyjną nie mógł się dłużéj ostać wobec wielkich prawd, wykrytych przez antagonistów kierunku absolutnego. Teorye Benthana, Iheringa i innych filozofów zasilają prawo karne nowym ożywczym pierwiastkiem. Uczyli oni: jeżeli głównym momentem pojęcia prawa w znaczeniu podmiotowém ma być cel, a tłem prawnéj organizacyi ludzkości ma być suma celów indywidualnych i socyalnych, to i dla prawa karnego ideą przewodnią musi być praktyczny cel, a idealizm w pojmowaniu istoty urządzeń prawnych nie może żadną miarą pogodzić się z tym kierunkiem praktyczności.

Zainaugurowany więc został kierunek realistyczny, zrywający z dotychczasowemi tradycyami, z inspiracyami idealistycznemi, a natomiast wprowadzający do umiejętności prawa karnego pierwiastek świeży, zaczerpnięty z życia realnego i jego potrzeb. Drogą metody indukcyjnéj, drogą badania zjawisk życia społecznego, realizm wysnuwa wnioski i prawidła i zużytkowuje je w interesie społecznym. Realizm ten śledzi bacznie wszelkie pulsowanie życia społecznego, bada atmosferę społeczną, wśród któréj żyje i obraca się przestępca, korzysta z materyału nagromadzonego umiejętną ręką przez statystyka, który zgłębia rozwój moralności społecznéj i według osiągniętych rezultatów nadaje ustawom nowe kształty i nowe tendencye. Realizm ten stawia w końcu wobec sędziego karzącego żądanie, żeby zerwał z dotychczasową metodą, która posługując się dedukcyą, stwarza abstrakcyjne pojęcie przestępstwa, a natomiast aby zajął się przestępcą nie abstrakcyjnym, lecz rzeczywistym tak, jak on żyje, kradnie, morduje. A wówczas i kara przez sąd wymierzona nie będzie aktem sprawiedliwości odwetowéj, a natomiast przybierze postać aktu obrony społeczeństwa zagrożonego w warunkach swego bytu.

Prawo karne ugruntowane na takich podstawach odbiega o całe niebo od prawa karnego obecnego, które niejednokrotnie stawia kon-

strukcye prawne dowolne i niestwierdzone przez badania empiryczne. W ewolucyi idei prawa schodzi ono z piedestału wzniosłego i szczytnego, a wstępuje na grunt egoizmu, bo utylitaryzmu społecznego i z punktu tego widzenia ocenia wielkie zagadnienia tu się wyłaniające.

Nie jestto jednak ów krótkowidzący utylitaryzm nowatorów włoskich *à la* Lombroso, Garofalo, Ferri, którzy dla korzyści społecznéj, po swojemu pojmowanéj, gotowi są poświęcić moralne motywa. Nie mamy tu na myśli owego prawa karnego, które według interpretacyi radykalnych antropologów, ma być tylko sztuczném dopełnieniem adaptacyi i selekcyi biologicznéj w duchu Darwina i nie sprowadzamy istoty przestępstwa na poziom jednakowych w świecie ludzkości i zwierzęcym popędów, a istoty kary na poziom czysto materyalnéj reakcyi przeciw takiemu przestępstwu. Zresztą i między pozytywistami podobnego kroju spostrzedz się daje od lat kilku widoczny odwrót, a siła agresywna „nowych horyzontów" nietylko nie wzrasta w świecie prawnym, lecz przeciwnie—upada. Prawa morfologiczne i ewolucyjne Lombrosa i jego adeptów dziś zostały obalone, a ostatni kongres międzynarodowy kryminalno-antropologiczny, ferował uroczyście wyrok śmierci na cały lombrosyanizm. „Nie istnieje już odrębny typ „człowieka-przestępcy", odbiega on od rzeczywistości, jak ideał Kantowskiéj filozofii" — czytamy w sprawozdaniu z r. 1891 złożoném przez Związek międzynarodowy kryminalistyczny. Przestępca z urodzenia, atawizm w przestępstwie—to pojęcia, które już straciły swój walor.

Socyologia Herberta Spencera, pozytywizm Augusta Comte i ewolucyjna teorya Darwina wprowadzają do przestępności pierwiastek socyologiczny. Pierwiastek ten stawia we właściwém świetle przestępstwo w szeregu innych zjawisk życia społecznego. Sfera więc socyalna, w któréj przestępca żyje i obraca się, warunki życia społecznego, ewolucya więc społeczna—oto grunt, na którym analiza źródeł i pobudek przestępstwa ma się dokonać. Nie istnieje więc typ przestępcy w znaczeniu antropologiczném, istnieje jednak typ społeczny. Zwalczać więc należy przestępstwo jako zjawisko społeczne, zwalczać należy za pomocą kary, jeżeli ona w danym wypadku będzie skuteczną, zwalczać jednak należy i innemi środkami. Przy sanacyi chorobliwych stosunków społecznych, spowodowanych wskutek zbrodni, winien być wzięty w rachubę czynnik zbiorowy, a więc wina kolektywistyczna zastępuje winę indywidualną, gdyż każde przestępstwo jest wymownem świadectwem, że w organizmie społecznym coś nienależycie funkcyonuje.

Pod temi hasłami powołanym został do życia w r. 1889 „Związek międzynarodowy kryminalistyczny” *(Union Internationale de droit pénal)*, który w historyi obecnie dokonywującéj się ewolucyi prawa zajął przodownicze stanowisko.

Program i kierunek działalności stowarzyszenia określony jest w następujących postanowieniach statutowych: „przestępstwo i kara powinny być ocenione tak ze stanowiska socyologicznego, jak i prawnego (§ 1), zadaniem kary jest zwalczanie przestępstwa jako zjawiska społecznego (§ 2), wyniki badań antropologicznych i socyologicznych powinny być uwzględnione przez naukę prawa karnego i ustawodawstwa karne (§ 3).”

Powiedzieliśmy, że w tym ruchu w sferze prawa karnego Związek kryminalistyczny zajął dominujące stanowisko.

I rzeczywiście, zdumiewać się należy nad prawdziwie mrówczą działalnością stowarzyszenia, które, istniejąc lat zaledwie pięć, zdołało tyle kwestyi aktualnych, bo dotykających w najwyższym stopniu interesu społecznego, objąć swojemi pracami i osiągnąć tak daleko idące rezultaty. Ruch to zresztą nie lokalny, lecz przeciwnie o charakterze kosmopolitycznym. Kryminaliści rozmaitych krajów i rozmaitych odcieni szeregują się około Związku, a sprawozdanie z dwóch pierwszych lat wojennych, jak się wyraża, zaznacza z pewną dumą, że idee Związku zjednoczyły reprezentantów rozmaitych kierunków, bo począwszy od pozytywisty krańcowego Enrico Ferri, a skończywszy na nestorze niemieckiéj jurysprudencyi, znanym hegliście Bernerze. Wszystkie szkoły, jakie się obecnie mniéj lub więcéj dobitnie zarysowały, wysyłają swych przedstawicieli. Szkoła trzecia, szkoła lyońska, ruska, a nawet zwolennicy szkoły klasycznéj przystępują do Związku, o którym belgijski kryminolog, A. Rivier, w *Revue de droit international et de législation comparée* wyraża się: „dążność, jest wyraźnie reformatorska i pozytywna, czego prawo karne, tak spustoszone w naszém stuleciu przez doktrynę abstrakcyjną i utopijną, ma z pewnością wielką potrzebę”.

Ostatni kongres międzynarodowy kryminalistyczny określił dokładnie stanowisko szkoły kryminalno-antropologicznéj, gdyż taką nazwę urzędową uchwalili uczestnicy kongresu. Szkoła ta, występująca we Włoszech pod nazwą *terza scuola*, we Francyi nazywająca się *école de Lyon*, w Belgii reprezentowana przez Prinsa, omija starannie wszelkie kwestye metafizyczne, a czyniąc ustępstwo dla szkoły klasycznéj, szuka do niéj zbliżenia, żądając porzucenia przeżytego apryoryzmu. Ruski pozywista, Drill, podał charakterystykę téj szkoły, która znalazła u uczestników kongresu ogólny poklask. Powtarzamy ją w stre-

szczeniu: szkoła antropologiczna opiéra się również na pozytywizmie czyli realizmie, jednak nie w rozumieniu Lombrosa i porzuca ideę odwetu. Ochrona społeczeństwa za pomocą moralnego odrodzenia, albo eliminowania przestępcy jest celem kary, która przestaje być bezmyślną reakcyą. Kara nie powinna być wymierzana, aby zaspokoić uczucie zemsty. Nowa szkoła wnika w stosunki życiowe, gdyż poddaje konkretnego przestępcę umiejętnéj obserwacyi w jego sferze zwykłéj działalności. Pod wpływem tego badania społeczeństwo przychodzi do świadomości, że ma do czynienia z nieszczęśliwym i zwyrodnionym organizmem, który mu nie dozwala dopełnić tych wszystkich warunków, jakich żąda od niego jego środowisko społeczne *(milieu social)* w walce życia codziennego. Formy, pod jakiemi zbrodnia w organizmie społecznym występuje, należą do wielkiéj kwestyi społecznéj, zaprzątającéj umysły ludzkości.

I my, omawiając ewolucyę, jaka zapanowała w prawie karném, nie dotykamy kwestyi metafizycznych, stanowiących punkt wyjścia wszystkich nowych szkół. Wszystkie te nowoczesne szkoły hołdują stanowczo determinizmowi, a zaprzeczając wolność naszych działań, wierzą w ich konieczność. Na téj konieczności oparty jest fatalizm przyrodzony i społeczny, odgrywający w przyszłém prawie karném tak ważną rolę. Natomiast wszystkie pozytywne ustawodawstwa, mimo przekonywujących argumentów wyznawców determinizmu, wychodzą z założenia, że niezbędną podstawę całego świata moralności musi stanowić wolność woli i na niéj oprzéć się ma fundament budowy prawa karnego. Powiedziano, że przejęcie się niższych warstw ludności zasadami deterministycznemi wywołałoby wielkie niebezpieczeństwo, a władza państwowa powinna unikać tego wszystkiego, coby mogło wpływać na ustalenie się wśród ludności mniemania, że człowiek jest automatem bez wolnéj woli.

Wszystkie więc ustawy karne sankcyonują autonomię woli sprawcy, przeciwstawiając téj autonomii te ustawy, w których groźba, prawo wyższéj konieczności, konieczna obrona, błąd i obłąkanie znoszą odpowiedzialność kryminalną. A nawet taki pozytywista, jak Jhering, nie zgadza się z apoteozą determinizmu, jakkolwiek skonstruował on swoją naukę o wolności woli na prawie psychologicznéj przyczynowości działań ludzkich.

II.

Rozmaite są przyczyny wpływające na ukształtowanie popędu do zbrodni. Przyczyny te są tak różnorodne, że niemal niepodobna ich

wyliczyć. Wyczerpująca klasyfikacya wpływów działających na człowieka jest rzeczą niedościgniona, a już słusznie zaznaczył Quetelet, że są one trudne do zbadania, a wiele z nich prawdopodobnie na zawsze pozostanie przed nami ukrytych. Kongres statystyczny we Florencyi zajmował się klasyfikacyą pobudek do przestępstw i ułożył szemat składający się aż z dwunastu motywów, tą drogą jednak nie poszła ani francuska, ani włoska statystyka urzędowa i unikają one zbytniéj kazuistyki. Dzisiejsi kryminologowie nie zajmują się analizą wnętrza duszy i nie gubią się w domniemaniach, a natomiast zgłębiają owe potężne zewnętrzne wpływy, rządzące człowiekiem i wpływające na jego pozornie dowolne czynności. Powszechnie przyjęty jest podział tych przyczyn wytwórczych na trzy grupy. Podział ten przyjęty został i przez Ferrego, lubo musiał on oczywiście położyć główny nacisk na element antropologiczny. Pierwszą grupę stanowią przyczyny indywidualne, do których zaliczone są i fizyczne stosunki życiowe, jak wiek, płeć, własności somatyczne. Drugą stanowią takie własności, jak klimat, temperatura, pora roku, różnica między miastem a wsią, a trzecią grupę wytwarzają stosunki społeczne i polityczne, jak urodzenie, stan, zajęcie, życie rodzinne i towarzyskie, stosunki gospodarcze, stosunki oświaty i wyznań.

Wpływy te rozmaicie oddziaływają na człowieka, bardziéj lub mniéj potężnie, a wogóle są tak ściśle ze sobą powiązane i często tak różnorodne, że wykrycie istotnéj przyczyny przestępstwa połączone jest z niemałemi trudnościami.

Pomiędzy czynnikami indywidualnemi, wpływającemi na powstanie popędu do przestępstwa, pierwsze miejsce należy się wiekowi. I cyfry statystyka i doświadczenie praktycznego kryminalisty wykazują, że rozmaitym okresom wieku odpowiadają rozmaite przestępstwa i rozmaita ilość tychże. Ścisła ta łączność między ilością, a nawet rodzajami przestępstw a okresami wieku jest zupełnie naturalną. W miarę rozwoju sił fizycznych i umysłowych i przestępstwa kształtują się ilościowo i rodzajowo, a jak trafnie podnosi Quetelet, przestępność musi przechodzić przez rozmaite fazy, zależne od wieku sprawców. Wiek dziecięcy zadawala się kradzieżą domową i rodzinną, wiek młodzieńczy uzbrojony już w silniejszą energię woli i wyposażony większym zasobem sił fizycznych, szuka zaspokojenia w czynach brutalnych i gwałtownych. Okres męskości, w którym refleksya, zastanowienie się i stanowczość górują nad porywem i namiętnością, nadaje przestępstwom cechę skomplikowaną o charakterze skrytym i podstępnym. Quetelet na podstawie tych właściwych każdemu wiekowi skłonności, ułożył nawet stałe i niezmienne tablice kryminalne, oparte

na stopniach, przez które przechodzić musi popęd do przestępstw w różnych okresach.

W Austryi na podstawie sprawozdań centralnéj komisyi statystycznéj da się ułożyć w przybliżenin tablica kryminalna przestępstw popełnianych przez nieletnich przestępców.

Najniższy okres wieku, niżéj 16 lat, najpochopniejszy jest do zbrodni przeciw obyczajności. Udział stosunkowo znaczny w zbrodniach tego rodzaju pozostaje w najściślejszéj łączności z okresem budzenia się popędów płciowych. Obok tych zbrodni symptomatycznie występuje w tym okresie kradzież zwłaszcza w Galicyi, gdzie ta zbrodnia stała się przestępstwem typowém. Wielkie centra pauperyzmu stwarzają najczęstsze kradzieże. Kradzież jednak w okresie pełnoletności kryminalnéj, a w okresie nieletności różni się pod względem motywów. Kryminaliści śledzący psychologiczną stronę zbrodni, dochodzą do rezultatu, że osią środkową i najgłówniejszym bodźcem przeważnéj części zbrodni jest egoizm występujący pod rozmaitemi formami. Egoizm ten występujący pod postacią chciwości, próżności, żądzy posiadania i używania, najczęściéj nędzy, zwalcza motyw powstrzymujący od zbrodni. Nędza jest najsilniejszym popędem, bo wynikającym z instynktu samozachowawczego. To téż w Galicyi produkuje ona te wielkie masy przestępców, nie szanujących cudzéj własności, nadając kryminalności naszego kraju typową cechę. Kradzież jednak przez nieletnich przestępców popełniana rodzi się z innego motywu. Bodźczą siłą, rzucającą nieletniego na drogę występną, jest żądza posiadania i używania, czasami dziecinna próżność, rzadziéj już chciwość.

Okres od 16 — 20 lat odznacza się również znacznym udziałem w przestępstwach popełnianych na tle zmysłowości, obok których grupują się zbrodnie przeciw własności, uszkodzenia ciała, gwałty publiczne przeciw osobom urzędowym i niebezpieczne groźby. Kobiéty w tym okresie wieku, prócz przestępstw przeciw własności dopuszczają się dzieciobójstw, których cyfra w okresie doletności kryminalnéj jeszcze bardziéj się wzmaga.

Szemat to zresztą niedokładny i jedynie w przybliżeniu nakréślony. Niepodobna bowiem przestępności młodzieńczych umysłów ująć w pewne stałe prawidła, niepodobna z góry wskazać owych dróg bezprawnych, któremi wiek młodociany krocząc, szuka zaspokojenia swych namiętności i żądz. Jestto jednak pewnikiem, że w miarę przyśpieszonego pulsowania dzisiejszego życia społecznego i przestępstwa nieletnich zaczynają przybierać odmienne postaci, zastosowane do owego szybszego tętna. Niknie coraz więcéj prostota cechująca umysł

jeszcze niedoświadczony, a w miejsce jéj wstępuje pomysłowość, lubująca się w formach skomplikowanych i odbiegających od zwykłego szablonu. To téż coraz częściéj słyszymy o wstrętnych i do głębi przenikających zbrodniach, popełnianych przez nieletnich z wyrafinowaną przebiegłością, czy genialnością w wykonaniu i obmyśleniem w najdrobniejszych szczegółach, które wprowadzają w zdumienie sędziów śledczych. Wielkie zwłaszcza miasta, będące siedliskami pauperyzmu, ze swoją spotęgowaną komplikacyą stosunków życiowych, produkują rozliczne formy dzikiéj i głośnéj zbrodni, mówiąc słowami Joly'ego, które wrażliwy umysł młodociany przy swojéj moralnie słabéj jeszcze organizacyi, odtwarza następnie w postaci zdrożniejszéj i głośniejszéj. Obok tych zgrozą przejmujących zamachów zwracają całkiem słusznie dzisiejsi kryminologowie baczną uwagę na owe drobne przestępstwa, pozornie nie budzące obawy, nie wpływające ani dorażnie, ani dotkliwie na organizm, a jednak powoli podkopujące jego siły żywotne i sprowadzające w swych następstwach charłactwo moralne. Że atmosfera taka, przepełniona mikrobami zepsucia, jak się francuscy kryminologowie wyrażają, zabójcza jest dla umysłów młodocianych, z natury pochopnych do naśladownictwa, że jest ona jednym z najpotężniejszych czynników, przysposabiających grunt dla chorób najcięższych, to rzecz aż nadto jasna.

To téż dzisiejsi kryminaliści, patrzący na sytuacyę ze stanowiska społecznego, porzucają dotychczasowe bezowocne drogi. Oparłszy się na wynikach współczesnych głębokich obserwacyi i badań kryminalistycznych, ulękli się oni sytuacyi, jaką wytworzył dotychczasowy system represyi i zaczynają przemyśliwać nad nowemi środkami ochronnemi. I właśnie owe przestępstwa wieku młodocianego, dotychczas niemal spuszczane z uwagi, a w najlepszym razie nie oceniane symptomatycznie, pobudziły świat prawniczy do poważnych refleksyi, do mnóstwa projektów reformatorskich w zakresie prawa karnego i systemu kar. Dzisiejsza polityka kryminalna pojęła w całéj doniosłości ważność interesów wchodzących tu w grę, a jéj bezsprzecznym tryumfem jest, że w interesie utylitaryzmu socyalnego rozwija gorączkową akcyę, by ochronić młode pokolenie od deprawacyi psychicznéj. W walce z mikrobami zepsucia wzywa dzisiejsza kryminologia do pomocy oprócz prawa, także kościół, szkołę, rodzinę, wogóle całe społeczeństwo. System represyi ma być zastąpiony przez system zapobiegawczy,—oto jest w najogólniejszym zarysie charakterystyka dzisiejszego prądu w kwestyi nieletnich przestępców. Prewencya obmyślana radykalnie i bezwzględnie przeprowadzona z całym swym aparatem edukacyjnym i pedagogicznym, została dziś powszechnie przyjętą jako

środek jedyny w téj walce, którą prowadziła bezskutecznie wieki bezmyślna represya z całym zasobem swych środków połowicznych. I walka ta dziś wprawdzie jeszcze nie skończona, dobiega już do rozegrania. Państwa najbardziéj postępowe nie wzdrygają się przed zaprowadzeniem najradykalniejszych środków, byleby społeczeństwo najwięcéj korzyści mogło osiągnąć i wprowadzają do swych ustawodawstw postanowienia zasilone ideami, które wyszły zwycięsko z téj walki. A jeżeli ruch zapoczątkowany przez głębokich badaczy metamorfozy przestępstwa nie jest jeszcze zamknięty, to przyczyna tego objawu w tém leży, że dzisiejsi kryminologowie nie mogli się jeszcze zgodzić na tę formę prewencyi, która, ich zdaniem, byłaby najskuteczniejszą.

I zapytajmyż się, czy rzeczywiście kryminologowie mają słuszny powód do utyskiwań nad obecną represyą i czy dotychczasowa sprawiedliwość karząca, która posługuje się skomplikowanym systematem środków karnych, może uprawniać do postawienia tak smutnego horoskopu przyszłości dla moralności społecznéj. Szukajmy przyczyn, które pobudzają nowatorów do podnoszenia tak ciężkich zarzutów przeciw dzisiejszym społeczeństwom, które musiały być bardzo krótkowidzącemi, skoro nie mogły się zdobyć na skuteczniejsze środki.

Wszyscy nowocześni pozytywiści, występujący z wnioskami reformy społecznéj, oparli się w swych spostrzeżeniach na cyfrach statystyki kryminalnéj, która jest odzwierciedleniem, lubo nie całkowitém, ale w każdym razie ważnego odłamu moralności wśród pewnego społeczeństwa. W świetle tych cyfr socyolog musi zapisać gwałtowny upadek altruizmu, skoro przestępność ogólna rokrocznie wzrasta, a od pewnego czasu zaczyna zapisywać jako symptom zatrważający, że władza ojcowska lub opiekuńcza z całym zasobem środków karności domowéj okazuje się bezsilną wobec coraz szybciéj postępującéj nicości moralnéj, która ogarnia umysły młodociane, i dochodzi już do tego stopnia, że władza państwowa w interesie porządku społecznego widzi się spowodowaną do czynnego wystąpienia.

Głęboki badacz tajników duszy ludzkiéj, Stratford on Avon, przepowiedział upadek tym społeczeństwom, które nie zdołały ochronić umysłów młodocianych od moralnéj zgnilizny i od téj zaraźliwéj atmosfery, w jaką pogrąża je przestępstwo, wytwarzające w dalszém następstwie typy nałogowych zbrodniarzy. Więzienia dzisiejsze, zorganizowane w przeważnéj części na systemie wspólności, w które wtrąceni są nieletni przestępcy, to szkoły, w których mistrzami są weterani zbrodni, owi niepoprawni przestępcy, stali niemal mieszkańcy murów więziennych. A ciężką winę ponoszą społeczeństwa, skoro

dozwoliły tym nowicyuszom oddychać tą samą atmosferą, którą oddychają przedstawiciele najbrutalniejszych zbrodni. Zresztą i najwzorowsza organizacya więzienia, kryjącego w swych murach najrozmaitsze żywioły, nie jest zdolna ochronić nieletniego przestępcy od wpływu demoralizującego i nie przeistoczy i nie odrodzi go moralnie.

W tém właśnie leży bezsilność dzisiejszych systematów penitencyarnych, a nawet najbardziéj racyonalnie obmyślana klasyfikacya skazańców nie jest w stanie zaradzić złemu. W ten sposób kara, wymierzana na nieletnich przestępców nie osiąga owych wyższych celów, jakie dzisiejsza polityka kryminalna sobie zakréśla. Przestępca nieletni opuszcza mury więzienne ogołocony z resztek uczuć etycznych a w świetle utylitaryzmu społecznego kara staje się aktem sprawiedliwości odwetowéj, dziś już porzuconéj. Reakcya społeczno-lecznicza dokonywa się obecnie pod inném hasłém. Kryminologia wypisuje na sztandarze swych systematów karnych dwa słowa, mieszczące całą tajemnicę, dawniéj dla umysłu ludzkiego zakrytą, — dewizą jéj jest *ne peccetur*, która zastąpiła dawniejszy brutalizm przemocy, kryjący się w słowach: *quia peccatum est.*

Przypatrzmy się systemowi penitencyarnemu w Austryi obowiązującemu i odpowiédzmy na pytanie: jakież rezultaty wydał on u nas?

Najwięksi nawet nasi optymiści muszą zapisać bankructwo austryackiego systemu represyjnego. Mamy wprawdzie postanowienie, zakazujące władzy więziennéj umieszczać nieletnich przestępców wspólnie z wytrawnymi zbrodniarzami lub recydywistami, mamy daléj w naszych zakładach karnych starannie przeprowadzoną naukę więzienną, a mimo to powszechny jest głos utyskiwania na wadliwość naszych więzień. Na czele tych zakładów stoją rutyniści i praktycy, wychowani w dawnéj szkole, przesiąkli wspomnieniami dawnych tradycyi, rządzący siłą brutalną i ci powołani są do spełnienia misyi edukacyjnéj. Zresztą przepełnienie więzień i pewne trudności techniczne czynią złudnemi wszelkie postanowienia, dążące do usunięcia złego. Odczuwała to i najwyższa administracya więzienna i zaczęła na seryo zastanawiać się nad systematyczną organizacyą systemu represyjnego przeciw nieletnim przestępcom. Uczyniono wreszcie w r. 1889 krok, wprawdzie nieznaczny, obfity jednak w doniosłe następstwa i zbliżający się do dawno upragnionéj reformy. Są to oddziały dla nieletnich przestępców, urządzone przy zakładach karnych w Pradze i Marburgu. W oddzielnych pomieszczeniach, w zupełném odosobnieniu od reszty skazańców, pod ustawicznym nadzorem odrębnego personelu więziennego, mają pozostawać nieletni przestępcy, zajęci odpowiednio zorga-

nizowaną nauką szkolną, rzemiosłem i rolnictwem. Nie mogą być osadzeni w tych zakładach tacy nieletni, od których obawiać się należy ujemnego oddziaływania na innych skazańców i na których orzeczoną została kara, nie sięgająca jednego roku. Sprawozdanie z ostatniego okresu administracyjnego zapisuje najkorzystniejsze rezultaty, jakkolwiek zbyt szczupła liczba skazańców znalazła w tych oddziałach umieszczenie. Natomiast inne zakłady karne, nie posiadające oddziałów dla nieletnich przestępców nie wykazują wyniku dodatniego. Jeżeli miarą skuteczności systemu represyjnego ma być cyfra recydywistów, to według ostatniego rocznika komisyi centralnéj z r. 1890 cyfra skazańców recydywistów w wieku 16—20 lat wyniosła w zakładach męzkich 9.0%, w żeńskich 7.9%, wzrost więc w porównaniu z poprzednim rokiem o 2%, względnie o 6.7%.

A skoro jesteśmy przy statystyce kryminalnéj, skoro jéj cyfry stały się potężną bronią w rękach pozytywistów, znających wyniki dotychczasowych systemów, sądzimy, że nie od rzeczy będzie przedstawić w świetle tych cyfr przestępność młodocianych jednostek w poszczególnych państwach. Zaczniemy od Austryi, a skończymy na Anglii, która pierwsza zaprowadza u siebie wzorowo zorganizowane instytucye, opiekujące się nieletnimi przestępcami, będące poniekąd wzorem dla krajów na lądzie stałym.

III.

Obraz ogólnéj kryminalności nieletnich przestępców w Austryi okażą nam cyfry, zebrane przez centralną komisyę statystyczną z dziesięciolecia 1881—1890, i przekonają najwymowniéj o bezskuteczności dzisiejszego systemu represyjnego, zastosowanego do nieletnich przestępców.

W roku	Liczba ogóln. skazanych za zbrodnie	Liczba nieletnich przestępców od 11—14 r.	od 14—20 r.	Razem.	Na 100 skazanych przypada nieletnich
1881	33,469	460	5,405	5,865	17.5
1882	32,092	525	5,258	5,783	18.0
1883	30,359	525	5,256	5,781	19.0
1884	30,592	579	5,538	6,117	19.9
1885	30.805	566	5,249	5.815	18.8
1886	29,706	546	5,287	5,833	19.6
1887	28,745	625	5,358	5,983	20.8
1888	28,112	593	5,241	5,834	20.8
1889	28,516	614	5,615	6,229	21.8
1890	29,090	578	6,001	6,579	22.6

Cyfry te nie są jeszcze miarą oceny obyczajowéj działalności małoletnich. Przedstawiają jedynie pewien odłam, nie są jednak jeszcze wiernem odzwierciedleniem całego życia występnego małoletnich. Brak tu wszelkich danych, odnoszących się do udziału młodego pokolenia w lżejszych przestępstwach. A właśnie dzisiejszy kierunek pozytywny zwraca najbaczniejszą uwagę na te drobne przestępstwa, umieszczane na szarym końcu kodeksów. Tarde, jeden z najpoważniejszych dzisiaj badaczy metamorfozy przestępstwa w socyologicznem znaczeniu, zaznacza, że dziś nad głośną i brutalną zbrodnią górować zaczęło, w miarę przyśpieszonego rozwoju cywilizacyjnego i komplikakacyi stosunków, jako cecha znamienna, życie występne, składające się właśnie z mnogości drobnych zamachów, które w kodeksach karnych podrzędne zajmują miejsce, które jednak wytwarzają w następstwie typy nałogowych zbrodniarzy. To też społeczeństwo dzisiejsze nie korzy się bynajmniéj przed hierarchią kodeksową i przemyśliwa nad środkami, mogącemi zaradzić zgorszeniu w tym okresie wieku, w którym człowiek najwięcéj jest narażony na niebezpieczeństwo deprawacyi psychicznéj. A jednym z potężnych czynników, opanowujących grunt psychiczny i przysposabiających go dla chorób najcięższych, są głównie owe mniejsze przestępstwa.

Niestety, roczniki centralnéj komisyi statystycznéj nie podają nam udziału małoletnich przestępców w występkach i przekroczeniach. Z ogólnéj jednak cyfry, odtwarzającéj przestępność téj kategoryi, wnosić możemy, że udział nieletnich rokrocznie wzrasta, skoro cyfra ta ogólna w dziesięcioleciu 1881—1890 wzrosła w Austryi z 437,753 na 536,301, czyli o 22.5%.

Galicya o tyle odbija korzystnie od innych prowincyi, że wykazała stosunkowo najmniejszy udział przestępców nieletnich. Przyczyny tego objawu w tém szukać należy, że jakkolwiek najwięcéj materyału kryminalnego dostarcza nam nasza ludność wiejska i małomiasteczkowa, to do efemerycznych niemal wypadków należą przestępcy nieletni, rekrutujący się pośród ludności wiejskiéj. Prostota obyczajów, pewna karność domowa, religijność i brak wszelkiéj pożądliwości składają się na ten pocieszający objaw. Natomiast największy kontyngens początkujących nieletnich zbrodniarzy kryje się po naszych miastach stołecznych i oni téż zapełniają więzienia. Niezdrowa atmosfera, w któréj żyją i obracają się, rzuca ich już we wczesnym wieku na drogę zbrodni.

Z najświéższéj publikacyi Zuckra „*Ueber die Behandlung der verbrecherischen... Jugend*" czerpiemy niektóre nasze informacye, odnoszące się do kryminalności nieletnich przestępców w innych krajach.

We Francyi materyał statystyczny z pięciolecia 1886—1890 r., dokąd sięgają urzędowe publikacye, wykazuje wzrost przestępstw popełnianych przez nieletnich.

W sądach policyi poprawczéj zasądzono:

	1886	1887	1888	1889	1890
niżéj lat 16					
chłopców	2,894	3,405	3,458	3,463,	3,378
dziewcząt	360	616	558	596	558
w okresie między 16—21 lat:					
mężczyzn	23,471	21,520	22,628	24,092	24,158
kobiét	2,543	2,311	2,536	2,761	2,740

I Francya, postrzegłszy groźny upadek moralności, wstrząsający podwalinami społeczeństwa, zatrwożyła się i zaczęła poważnie przemyśliwać nad środkami zaradczemi. Opinia publiczna zaczęła natarczywie domagać się uregulowania kwestyi ochrony zaniedbanych i opuszczonych dzieci i wskazywała braki, mieszczące się w postanowieniach obowiązującego kodeksu cywilnego, a kiedy L. Lallemand na konkursie akademii odniósł nagrodę za pracę, rozważającą wychowanie przymusowe, sprawa nielelnich przestępców stała się przedmiotem rozpraw parlamentarnych. Począwszy od r. 1880, sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego, w r. 1883 Berenger, Jules Simon i Roussel przedstawiają projekt, który, przeszedłszy przed alembik rozmaitych czynników parlamentarnych, stał się 24 lipca 1889 r. prawem obowiązującém. Tak Francya liberalna pochwala najnieliberalniejszą ustawę, bo pozbawiającą niegodnych rodziców władzy rodzicielskiéj nad dziećmi i w interesie wyższym nie chce nawet uszanować świętości życia rodzinnego i wykonywa rodzaj moralnéj cenzury nad etyczném zachowaniem swych obywateli. Z ustawy téj wyjmujemy najgłówniejsze postanowienia, o ile pozostają one w pewnym związku z podobnemi projektami, wnoszonemi gdzieindziéj.

Utrata władzy ojcowskiéj jest obowiązkową lub zależną od uznania sądu. Z urzędu utrata musi być orzeczoną:

a) jeżeli jéj posiadacze na podstawie ust. 334 ust. 2 kod. karn. zasądzeni zostali; to postanowienie nakłada karę na ojców, matki, opiekunów lub inne osoby, które osoby, powierzone ich nadzorowi, nakłoniły do uwiedzenia lub niemoralnego życia, lub były w tém pomocnemi;

b) jeżeli, jako podżegacze, spólsprawcy lub pomocnicy za zbrodnię, wymierzoną przeciw osobie dziecka, zasądzone zostały;

c) jeżeli dwukrotnie, jako podżegacze, spółsprawcy lub pomocnicy za występek, wymierzony przeciw osobie dziecka, zasądzone zostały;

d) jeżeli dwukrotnie za nałogową pomoc lub nakłanianie małoletnich do rozwiązłości zasądzone zostały.

W tych wszystkich wypadkach muszą być odjęte rodzicom wszystkie prawa, jakie im, według kodeksu cywilnego, nad dziećmi przysługują, co jednak nie zwalnia ich od obowiązku alimentacyi dzieci.

Władza ojcowska może, według uznania sądu, być odjęta:

a) jeżeli ojciec lub matka skazani zostali na więzienie dożywotnie lub czasowe, jako podżegacze, sprawcy lub pomocnicy za jedną ze zbrodni w art. 86—101 wymienionych;

b) jeżeli ojciec lub matka dwukrotnie za pewne przestępstwa, jak włóczęgostwo, porzucenie dziecka, zatajenie stanu osobistego, zaś raz za nałogowe nakłanianie do rozwiązłości, lub za przekroczenie przepisów ustawy przeciw pijaństwu zasądzeni zostali;

c) jeżeli dzieci zostały o pewien czyn karygodny oskarżone, ale ze względu na brak potrzebnego do rozpoznania karygodności tego czynu rozeznania oddane zostały do zakładu poprawczego;

d) jeżeli ojciec lub matka w skutek pijaństwa, złego prowadzenia się, lub złego obchodzenia się narażają zdrowie, bezpieczeństwo lub obyczajność dzieci

Druga część ustawy urządza opiekę w wypadku odjęcia władzy rodzicielskiéj. Jeżeli matka umrze lub w wypadku nie powierzenia jéj opieki, orzeka sąd, czy ma być opieka według przepisów prawa opiekuńczego ustanowioną, jeżeli jednak sąd nie uzna tego za stosowne, zakłady publiczne dobroczynności sprawują opiekę, oddając dziecko na wychowanie pewnéj uczciwéj rodzinie, lub do zakładu poprawczego.

Nie przytaczamy dalszych, nader szczegółowych postanowień ustawy, która w całéj Francyi nader sympatycznie powitaną została. Wogóle francuscy kryminologowie w ostatnich czasach nawołują społeczeństwo by wzięło w ochronę nieletnich przestępców. Guy Tomel, Henryk Rollet, Georges Barry, w jaskrawych barwach roztaczają ponury i do głębi wzruszający obraz nędzy i zgnilizny moralnéj, w któréj nieletni przestępcy są pogrążeni. Dyrektor 20-go okręgu penitencyarnego, M. Raux, odwołuje się do ofiarności prywatnéj i zachęca do zawiązywania stowarzyszeń, opiekujących się młodocianymi przestępcami, a w r. 1890 H. Rollet powoduje w Paryżu założenie stowarzyszenia „Komitetu ochrony dzieci, stawianych przed sądy". Francya stała się ostatniemi czasy klasycznym gruntem, na którym z powodzeniem pracu-

ją niezliczone instytucye, stowarzyszenia rządowe i prywatne, chroniące małoletnich od zepsucia, moralnego upadku i duchownego i fizycznego zaniedbania.

Przechodzimy do Belgii, która rozwija prawdziwie gorączkową działalność, gdy chodzi o wydoskonalenie lub przekształcenie istniejących instytucyi karnych. Ze sprawozdania, złożonego przez ministra Le Jeune na kongresie związku międzynarodowego prawa karnego w r. 1893 dowiadujemy się, że dzieci występne i zaniedbane są przedmiotem nader troskliwéj pieczy ustawodawstwa belgijskiego. Wychodzi ono z założenia, że wszelkie przepisy represyjne są połowicznemi, jeżeli się nie usunie źródła złego. Dla dopięcia tego celu Belgia postępuje metodycznie, z doskonale obmyślanym planem, rozdzielając dzieci opuszczone i zaniedbane od występnych i starając się obmyśléć środki zaradcze dla każdéj kategoryi. Przeprowadza więc rozdział między młodymi przestępcami, których rodzice znajdują się w więzieniach, a dziećmi prześladowanemi, gnębionemi; klasyfikacya ta sprawia, że w każdéj z pojedyńczych instytucyi nie potrzeba uciekać się do segregacyi i podziałów, któreby, mnożąc się nieustannie, musiały nieraz dochodzić do przesady.

Prawo belgijskie wprowadza środki przeciwko nadużyciom władzy rodzicielskiéj. Ojciec lub opiekun, niegodni wysokiego swego powołania, zostają pozbawionymi możności wykonywania swych praw, opiekę zaś nad dzieckiem, jego wychowanie porucza się państwu. Sądy mocne są nieletnich przestępców skazywać do szkół specyalnych, których zadaniem jest kształcić, przyzwyczajać do pracy, a przedewszystkiém dawać moralne wychowanie. Dawniejsze szkoły reformistyczne, w których umieszczano zaniedbanych i opuszczonych, zastąpiono szkołami dobroczynnemi. Tutaj następuje rozklasyfikowanie według wieku i według pewnych moralnych skłonności. Komitety opiekuńcze przychodzą rządowi i władzom publicznym ze skuteczną pomocą roztaczając nad nieletnimi, umieszczonymi w rodzinach uczciwych, dobroczynny i czujny nadzór za pośrednictwem wydelegowanych członków. Organizacya ta funkcyonuje od r. 1892, odkąd około 3,000 dzieci znalazło opiekę, a 800 rostało rozmieszczonych.

Okres reform w Belgii jeszcze nie zamknięty. Prawo z d. 27 listopada 1891 r. nadaje sędziom pokoju władzę, nieletnich mniéj lat 16, winnych lżejszych przekroczeń, uwalniać lub umieszczać w domach wychowawczych. O systemie tym dziś niepodobna jeszcze wydać sądu ostatecznego, jestto eksperyment, którego skuteczności wyczekiwać należy.

Belgijska statystyka kryminalna nie zawiéra dat, odnoszących się do wieku przestępców. Mamy jedynie skąpy materyał, obejmujący nieletnich, przebywających w *Maisons de reforme*. Ruch tam w ostatniém pięcioleciu był następujący:

w r. 1886	1,049	chłopców i dziewcząt niżéj 16 lat
„ 1887	1,040	„ „ „ „
„ 1888	1,000	„ „ „ „
„ 1889	923	„ „ „ „
„ 1890	905	„ „ „ „

Stały więc, lubo nie zbyt znaczny ubytek umieszczonych w tych domach dzieci jest widoczny.

We Włoszech pod nazwą *minorenni condamnati* objęci są ci, którzy w czasie zasądzenia nie ukończyli jeszcze 21 roku życia. Rozpadają się oni na trzy grupy: pierwsza obejmuje zasądzonych w wieku do 14 lat, druga okres od 14—18 lat, trzecia wreszcie od 18—21 lat.

Stosunki ogólnéj kryminalności we Włoszech są nader opłakane i nastrajają kryminologów włoskich do smutnych medytacyi. W grupie pierwszéj wzrost nieletnich przestępców jest przerażający, dosięgnął bowiem niebywałéj gdzieindziéj cyfry, w przeciągu bowiem dwóch lat przyrost wyniósł 40.7%. W okresie 1887—1889 r. wzrosła ogólna cyfra małoletnich przestępców o 8.7%, z 63,798 na 69,352 przestępców. W grupach pojedyńczych zasądzono:

		w r. 1887	w r. 1889
w wieku	do 14 lat	4,566	6,426
„	między 14—18 rokiem	22,361	24,229
„	„ 18—21 „	36,871	38,697

Interesującemi są daty, odnoszące się do udziału nieletnich w pojedyńczych zbrodniach, w ich świetle bowiem odzwierciedla się tamtejszy charakter kryminalny młodocianego wieku. Żywy i krewki temperament Włochów porywa ich już wcześnie, to też udział nieletnich w powyższém trzyleciu w zbrodni zabójstwa przedstawia wzrost z 19.3% na 22.6%. Drugą zbrodnią typową, spowodowaną w przeważnéj części nędzą ekonomiczną, jest kradzież, która wzrosła z 9.12% na 12.22%, a w lżejszych formach na 20.4%. I ten to właśnie stosunkowo znaczny udział nieletnich przestępców w przestępstwie, wynikającém z poziomych motywów wystawia moralności społecznéj we Włoszech niekorzystne świadectwo i pobudza w ostatnich czasach umysły trzeźwe do obmyślenia środków zaradczych.

Pomijamy inne kraje, w których statystyka młodocianych przestępców nie wykazuje pewnych symptomatycznych objawów, a podaje-

my cyfrę nieletnich przestępców w Niemczech, które natarczywie w ostatnich czasach domagają się od władzy państwowéj zmiany dotychczasowego systemu represyi. Jeżeli publikacye Aschrotta, Appeliusa, Helmekiego, Fulda i innych kryminologów zdołały obudzić pewne żywsze zainteresowanie się nawet i w sferach niebezpośrednio interesowanych, to przyczyna tego powodzenia głównie w tém leży, że oparły się one na dokładnym materyale statystycznym. I ten to materyał roztoczył obraz prawdziwie ponury i do głębi przenikający, stwierdza bowiem, że deprawacya psychiczna ogarnia w Niemczech coraz szersze koła. Statystyka młodocianych przestępców w Niemczech obejmuje okres wieku od 12—18 roku życia i wykazuje w dziesięcioleciu 1882—1892 przyrost o 51%. Rok 1882 liczył przestępców, zasądzonych za zbrodnie i występki 30719, rok 1892 wykazał już cyfrę 46,488, stosunek prawdziwie fatalny, jeżeli się zważy, że w tym samym okresie cyfra ogólnéj przestępności w Niemczech wzrosła tylko o 28%.

Nie chcemy obciążać czytelnika większym balastem cyfr. Sądzimy bowiem, że i to, cośmy przytoczyli, jest aż nadto wymownem i usprawiedliwić może zupełnie agitacyę, jaką podjęto obecnie w Niemczech przeciw obowiązującemu ustawodawstwu, nie stawiającemu skutecznéj zapory przeciw szerzącéj się demoralizacyi, któréj ofiarą padają młodociane umysły.

Obraz natomiast świetlny przedstawiają stosunki, w Anglii panujące. W ojczyźnie wielkiego filantropa Johna Howarda idee, krzewione przezeń, przyjęły się i wydają obfite plony, a ofiarność prywatna stawia gmachy pomnikowe, przeznaczone wyłącznie na wychowanie nieletnich przestępców. Różne stowarzyszenia z wzorową organizacyą ujęły w swe ręce ster zakładów, otaczających szczególną pieczołowitością bądź to upadłych i występnych, bądź opuszczonych i zaniedbanych, a rezultaty osiągnięte tak są zdumiewające, że Anglia z dumą spoglądać może na swój system wychowania. Akcya téż władzy państwowéj jest jedynie pomocniczą, a nie tykając autonomii tych zakładów, ogranicza się na niszczaniu pewnych stałych, zresztą nieznacznych zasiłków.

Kiedy w r. 1856 Anglia liczyła jeszcze 13,981 nieletnich niżéj 16 roku życia przestępców, to cyfra ta spadła w r. 1891 na 3,855, czyli opiérając się na cennych informacyach Lenza, cyfra przestępców nieletnich w tym przeciągu czasu spadła o 63%. Mniéj korzystne stosunki istnieją już w Szkocyi. W r. 1869 liczono małoletnich przestępców 1,138, w r. zaś 1891 już tylko 797, a więc ubytek 30%.

Dwa rodzaje zakładów opiekują się w Anglii nieletnimi przestępcami, są to tak zwane *reformatory* i *industrial schools*. W pierwszych mogą być umieszczeni przestępcy miedzy 10 a 16 rokiem życia, jeżeli odpokutowali za jakieś przestępstwo karę najmniéj 10-dniowego więzienia, prócz tego i ci małoletni przestępcy, którym w drodze łaski darowano wprawdzie karę więzienia, jednak pod warunkiem przebywania przez pewien czas w zakładzie poprawczym, wreszcie chłopcy niżéj lat 16, których przydybano na spółkowaniu z dziewczyną niżéj lat 13, wtym wypadku jednak kara chłosty wyprzedzić musi przyjęcie do *reformatory*.

W *industrial schools* umieszczane być mogą dzieci niżéj 14 lat, które trudnią się żebraniem lub wałęsają się po miejscach publicznych, nie mające stałego mieszkania lub zatrudnienia, obcujące ze znanymi złodziejami lub nierządnicami, a w końcu moralnie upadłe.

Według Aschrotta urządzenie obu rodzajów tych zakładów oparte jest na nader prostych podstawach i zasadniczo zakłady te nie różnią się między sobę, *industrial schools* są jedynie łagodniejszą formą *reformatory schools*, karność domowa jest lżejsza, praca przymusowa zajmuje cztery godziny dziennie, a z ukończonym 16 rokiem życia z reguły wolno opuścić zakład. Porządek dzienny, przyjęty w słynnym zakładzie w Redhill jest następujący: godz. 5 min. 30 wstawanie, godz. 6 praca przymusowa, godz. 8 śniadanie i zabawa, godz. 9 nabożeństwo, godz. 9 min. 30 praca lub nauka, godz. 12 obiad i zabawa, godz. 1 praca, godz. 5 min. 30 koniec pracy, godz. 6 wieczerza i zabawa, godz. 8 spoczynek.

Podobny rozdział czynności przyjęty jest w *industrial schools* z tą jedynie różnicą, że większy nacisk położono na wydoskonaleniu wychowańców w praktycznych rzemiosłach, w szewctwie, krawiectwie, tkactwie.

Zakłady te, jeżeli są urządzone według pewnego przyjętego regulaminu, otrzymają ze skarbu państwa stały zasiłek, wynoszący 6 szylingów za utrzymanie jednego skazańca przez tydzień. Dalsze zasiłki uiszczają hrabstwa, gminy, zakłady dobroczynne, a i rodzice lub krewni skazanego mogą być zobowiązani do ponoszenia kosztów. Liczba ogólna takich szkół reformowanych, subwencyonowanych przez skarb państwa, wynosiła w Anglii i Szkocyi 53, w których przebywało 5,584 młodocianych przestępców, między tymi 4,863 chłopców, a 721 dziewcząt. Znaczniejszą była liczba szkół przemysłowych. Istniało ich w r. 1893 w rozmaitych hrabstwach 153, wychowujących ogółem 23,688 dzieci. Z końcem więc r. 1891 w całéj Anglii pozostawało 29,272 dzieci w przymusowém wychowaniu, na utrzymanie których

płacono ze skarbu państwa około $5^1/_2$ milionów złr. Za tę cenę, niezbyt znaczną w porównaniu z bogactwem Anglii, osiągnięto tak korzystne rezultaty. Cena ta nie jest znowu dość wysoka, aby mogła odstraszyć inne państwa od naśladowania przykładu Anglii, która w r. 1891 poszczycić się mogła, że cyfra ogólnych zasądzeń na karę więzienia w porównaniu z r. 1871 spadła o 23%.

System przymusowego wychowania, przyjęty przez Anglię, lubo wkracza w sferę stosunków rodzinnych, zyskał powszechną aprobatę. Ani szkoła, ani rodzina nie mogą tworzyć skutecznéj zapory przeciw budzącym się w wieku młodocianym występnym popędom; jedynie zakłady odpowiednio zorganizowane z całym swym aparatem edukacyjnym, poddające nieletniego bezustannéj obserwacyi, oparte na najściślejszéj indywidualizacyi, mogą stworzyć skuteczną gwarancyę. A racyonalna, nie krótkowidząca, polityka kryminalna domaga się dziś, aby temu przymusowi poddać nietylko tych, którzy przekroczywszy normę prawa pozytywnego, wstąpili już na drogę zbrodniczą, ale także i tych, u których czy to z powodu indywidualnych właściwości, czy też skutkiem szczególnych stosunków rodzinnych, podobne niebezpieczeństwo przyszłéj obrazy prawa zachodzi.

To stanowisko zajmuje najnowszy regulamin więzienny we Włoszech z 1 lutego 1891 r., dzieło głośnego reformatora więzień Beltrani-Scalia, wprowadzający dla nieletnich przestępców, tudzież dla dzieci zaniedbanych lub opuszczonych odrębną grupę poprawczą. Do téj grupy należą: *a) instituti di educazione et di corezione* dla przestępców 9—14 letnich wogóle, zaś dla 14 — 18 letnich działających bez rozeznania; *b) instituti di educazione corezionale* dla dzieci zaniedbanych; *c) instituti di corezione paterna* dla dzieci dobrowolnie przez rodziców do zakładu oddanych.

Tendencya zerwania z dotychczasową rutyną i tradycyą, a zastąpienia jéj nowemi ideami, wypielęgnowanemi na gruncie nowych prądów, przestaje zresztą być tylko doktrynerską, przeciwnie, zdobywszy sobie wstępnym bojem prawo obywatelstwa, obejmuje coraz szersze dziedziny i staje się dziś hasłem popularném. Na kongresie penitencyarnym w Petersburgu w r. 1890 położono szczególniejszy nacisk na moralizujące zadanie kary i na konieczność uprzedzenia jéj odpowiedniemi środkami profilaktycznemi. Ogólny kierunek, jaki dosyć wyraźnie zarysował się na kongresie, zmierza do wykazania wyższości środków pedagogicznych, uprzedzających i humanitarnych ponad właściwą represyą. W czerwcu r. b. obradował w Paryżu V-ty międzynarodowy kongres więzienny. Na propozycyę delegata ruskiego komitet przygotowawczy postanowił utworzyć odrębną sekcyę, która

ma się zająć wyłącznie kwestyami odnoszącemi się do dzieci i nieletnich. Program rozesłany zajmuje się kwestyami aktualnemi. Dosyć będzie wymienić kwestyę zaprowadzenia rozmaitych typów zakładów, przeznaczonych dla różnych kategoryi nieletnich, kwestyę odnoszącą się do racyonalnego wychowania fizycznego młodych uwięzionych, określania *minimum* zakresu skazywań ich na poprawę, skutecznego czuwania nad rozmieszczanymi pośród rodzin nieletnimi, po opuszczeniu przez nich kolonii penitencyarnych, kwestyę daléj środków wytępienia lub uprzedzenia prostytucyi nieletnich, a wreszcie porozumienia się różnych państw w celu tém skuteczniejszego ścigania agentów zajmujących się wysyłaniem młodych prostytutek zagranicę.

A jeżeli mamy choć w ulotném streszczeniu odtworzyć historyę tego ruchu, nie wolno nam milczeniem pominąć kongresów Związku międzynarodowego kryminalistycznego, który w całéj téj akcyi podjął inicyatywę. Już na pierwszym kongresie w r. 1889-ym w Brukselli umieszczono na porządku dziennym dwie kwestye, tyczące się nieletnich, a mianowicie:

a) od jakiego wieku ma się rozpocząć karne ściganie nieletnich przestępców?

b) czy dopuszczalność przymusowego wychowania ma być zależną od popełnienia czynu karygodnego?

Obiedwie te kwestye spadły wprawdzie z porządku dziennego, umieszczono je na porządek dzienny zaraz w następnym roku na kongresie w Bernie, dodając jako trzecie pytanie:

c) czyli jest koniecznem i stosownem ściganie nieletnich przestępców czynić zależnem od pytania: czy działali oni z wymaganem do poznania karygodności rozeznaniem?

Interesującym jest nader przebieg dyskusyi, jaka się nad powyższemi tematami wywiązała. Streszczenie chociażby pobieżne tych rozpraw przekroczyłoby znacznie rozmiary niniejszego sprawozdania; wspomnimy jedynie, że najpierwsi współcześni kryminologowie, jak Gauckler, Fojnicki, Guillaume, Forel, Prins, Liszt, wystąpili w szranki i podali swoje uwagi oparte na długoletnich obserwacyach, nawet nieobecni członkowie z rozmaitych krajów pośpieszyli z przesłaniem swych spostrzeżeń, a powzięta rezolucya, wywracająca dotychczasowy system represyjny i wprowadzająca daleko idące zmiany w prawie obowiązującém, stoi na wysokości naukowych postulatów. Przytaczamy więc w dosłownem brzmieniu odpowiedź, jaką dał Związek kryminalistyczny na powyższe tezy:

Uwzględniając w całéj pełni znaczenie i wpływ geograficznych i etnograficznych stosunków, Związek wypowiada swe zapatrywanie:

1) że dzieci, które nie przekroczyły 14 roku życia, nie powinny podlegać karno-prawnemu ściganiu;

2) że wobec nieletnich, którzy 14 rok życia przekroczyli, kwestya świadomości winna odpaść, a natomiast ma być zastąpiona pytaniem: czy należy ich poddać wychowaniu publicznemu;

3) że wychowanie dzieci uznanych winnemi lub dzieci zaniedbanych musi zastosować się do ich indywidualności.

IV.

Wszystkie projekty, jakie się w kwestyi omawianéj wyłoniły, a które dotknęliśmy tylko pobieżnie, godzą się na to, że istniejące ustawodawstwa pozytywne w sprawie nieletnich przestępców zajęły zasadniczo błędne stanowisko, wszystkie téż zdążają do zmiany tych postanowień i zastąpienia ich przepisami, któreby uwzględniały stawione postulaty. Reforma jednak nie ogranicza się jedynie dziedziną prawa karnego, lecz zakréśla sobie szersze rozmiary. Stronnicy jéj zrozumieli, że jedynie przez celowe współdziałanie i innych czynników dadzą się na tém osiągnąć korzystne rezultaty. Dla odtworzenia całokształtu zamierzonéj reformy zastanowimy się, nie wchodząc w kazuistykę i nie badając szczegółów, nad jéj punktami wytycznemi i rozpoczniemy od przymusowego wychowania, które ma być kamieniem węgielnym przyszłéj reformy.

I. Wychowanie publiczne zorganizowane jest na następujących podstawach: Orzeczenie dopuszczalności wychowania dozorowanego przez państwo zależy przedewszystkiém od uznania sędziego. Wychowaniu temu mogą podledz: *a)* w okresie bezwzględnéj nieodpowiedzialności, który ma sięgać do ukończonego 14 roku życia, zaś według projektu Liszta do ukończonego 16 roku życia, małoletni, którzy dopuścili się przestępstwa; *b)* w okresie względnéj odpowiedzialności po ukończeniu 14, względnie 16 roku życia, a przed ukończeniem 20 roku sędzia może orzec karę lub przymusowe wychowanie; *c)* także w wypadku niepopełnienia czynu karygodnego dzieci, które nie ukończyły 14, względnie 16 roku życia, a których wychowanie jest tak zaniedbane, że nastąpił już moralny upadek, może sędzia na wniosek urzędu wychowawczego poddać przymusowemu wychowaniu. Jest ono dwojakiego rodzaju: *a)* albo umieszczenie we własnéj lub obcéj rodzinie, w obu jednak wypadkach władza przez swe organy rozciąga nadzór nad wychowaniem; *b)* umieszczenie w państwowym zakładzie wycho-

wawczym lub zakładzie prywatnym, pod nadzorem jednak państwa zostającym.

Przymusowe wychowanie nie trwa dłużéj nad ukończony 21 rok życia. Wypuszczenie z zakładu wychowawczego przed tym okresem wówczas tylko nastąpić może, jeżeli zabezpieczoném jest umieszczenie skazańca w rodzinie. W wypadkach szczególnych można już po ukończeniu 18 roku życia odstąpić od umieszczenia w rodzinie, jeżeli to leży w interesie nieletniego. Każde jednak wypuszczenie jest odwołalne.

Rodzice i opiekunowie, którzy w tym stopniu zaniedbują wychowania dzieci poruczonych ich pieczy, że aż wychowanie przez państwo nadzorowane nastąpić musi, podlegają karze, a mianowicie rodzice karze pieniężnéj lub ukaraniu policyjnemu, opiekunowie grzywnie lub karze na wolności.

Taka-by była w najogólniejszym zarysie organizacya wychowania przymusowego, które posiłkuje się rozmaitemi organami. Pełnia władzy wychowawczéj spoczywa w rękach urzędu wychowawczego, który ma być urządzony na zasadzie autonomicznéj. Organami jego pomocniczemi są mężowie zaufania, którym poruczony jest nadzór wychowania w rodzinie, najwyższą instancyą jest sąd wyższy, powołany do rozstrzygnięcia zażaleń wniesionych przez rodziców lub opiekunów na zarządzenia urzędu wychowawczego.

II. Odpowiedzialność kryminalna nieletnich ma się rozpocząć z ukończonym 14-ym rokiem życia. Granica ta opiéra się z jednéj strony na przeprowadzonych studyach antropologicznych w północnéj i środkowéj Europie, z drugiéj — łączy się z ukończeniem przymusu szkolnego. Do tego okresu wieku przestępcy nie należą do sędziego kryminalnego, lecz karność szkolna lub domowa ma poskramiać wszelkie ich zboczenia. Dziécię, znajdujące się w tym okresie, chociażby działało z należytém rozeznaniem, nie posiada jeszcze téj siły moralnéj odpornéj, ani tego indywidualnego samorządu, jakim wyposażona jest jednostka, znajdująca się w okresie pełnoletności kryminalnéj. Ani wychowanie, ani rozwój umysłowy, moralny i fizyczny nie dobiegły jeszcze do kresu. To też roztaczanie aparatu karno-sądowego przeciw nieletnim, znajdującym się w okresie niżéj 14 roku życia, nietylko jest bezcelowém, ale i wręcz szkodliwém, i polityka kryminalna musi z całą stanowczością oświadczyć się przeciw represyi w tym peryodzie.

Liszt przemawia za posunięciem téj granicy jeszcze daléj. Twierdzi on, że siły duchowe i fizyczne u nieletniego w całéj pełni występują dopiéro w wieku dojrzenia organów płciowych. W tym dopiéro

okresie cielesne i duchowe rozwinięcie okazuje się w całym blasku. Ciało zdobywa pełnię sił i zdolność wytrwania w znoszeniu natężeń i wysileń, z drugiéj strony rozum zyskuje pewną dojrzałość, wola dochodzi do stanowczości i mocy. Tym punktem kulminacyjnym według Liszta ma być ukończony 16 rok życia.

Granica ta wydała się jednak większości kryminalistów za daleko posuniętą. Oznaczenie stałéj i niezmiennéj granicy bez uwzględnienia właściwości geograficznych i etnograficznych sprzeciwia się rezultatom badań antropologicznych. To téż Związek kryminalistyczny oświadczył się za 14 rokiem życia, nie negując jednak doniosłości wpływów geograficznych i etnograficznych.

III. Najdaléj idącém nowatorstwem, projektowaném przez pozytywistów, jest eliminowanie z prawa pozytywnego kryteryum, od którego dotąd zależném było ściganie karne przestępców nieletnich. Jestto kryteryum „*discernement*" prawa francuskiego, czyli jak prawo niemieckie, a podobnie i najnowszy projekt do kodeksu karnego austryackiego, wyrażają się „potrzebne do poznania karygodności czynu rozeznanie". Uwolnienie prawa pozytywnego od tego wymogu, będącego bezmyślną spuścizną prawa francuskiego, a zastąpienie go niczém nie krępowaném uznaniem sędziego, któremu nieograniczona ma być udzielona władza stanowienia, czy w okresie względnéj doletności kryminalnéj ma nastąpić represya karna, czy téż przymusowe wychowanie, uważają pozytywiści za największą zdobycz i za zwycięstwo bronionéj zasady. Prawo obowiązujące czyni zależną odpowiedzialność kryminalną w tym okresie od władzy rozpoznawania, czyli odróżnienia dobrego od złego. Prawo jednak nie chce uwzględnić, że samorząd indywidualny zawarunkowany jest i przez inne czynniki. Takim potężnym czynnikiem w zakresie autonomii woli jest dojrzałość moralna, czyli siła odporna, użyczająca jednostce możności stawienia oporu rodzącym się popędom, a popychającym na drogę zbrodniczą. Chłopiec trzynastoletni ma zupełną świadomość, że popełnia coś prawem zabronionego, obcując cieleśnie z dziewczyną i wié o tém, że za czyn ten dotknie go zasłużona kara, czyż posiada on jednak tę samą siłę odporną, co mężczyzna dojrzały? Ze stanowiska obecnego prawa obowiązującego wymóg ten jest zupełnie obojętny, a dzisiejsza sprawiedliwość formalistyczna nakazuje sądowi dotknąć owego 13-letniego winowajcę karą kryminalną i skazać go na przebywanie przez pewien czas w atmosferze więziennéj, zamiast oddać go na wychowanie, któreby go podniosło z upadku, wykształciło i wyposażyło w pewien zasób sił etycznych. Kryminaliści francuscy stwierdzają, że sędziowie tamtejsi niemal w każdym wypadku nie przyjmują „*discernement*".

byleby nie pozbawiać nieletnich przestępców dobrodziejstw wynikających z przmusowego wychowania. To też kryminologowie dzisiejsi, chcąc wybawić sędziów od podobnéj kolizyi, domagają się od przyszłych ustawodawców, aby nie krępowali sędziego żadnym przepisem pozytywnym, tamującym swobodę jego działania. Dyskrecyi jego uwzględniającéj osobistość winowajcy, jego psychiczną dojrzałość, jego rozwój i skłonności ma być pozostawionym wybór między karą a między wychowaniem przymusowém.

IV. W zakresie represyi kryminalnéj i systemu środków karnych, zastosowanych przeciw nieletnim przestępcom, są według wniosków Appeliusa i Krohnego, obu sprawozdawców na kongresie kryminalistycznym, do których przystąpił i Liszt, następujące zmiany w prawie karném formalném i materyalném pożądanemi:

a) rozprawa sądowa przeciw nieletnim oskarżonym ma być przeprowadzona z wykluczeniem jawności; rodzice, opiekunowie, wychowawcy mają prawo być obecnemi na rozprawie;

b) pozostający w areszcie śledczym mają być trzymani w więzieniu odosobnionèm;

c) środkami karnemi dopuszczalnemi są: więzienie do lat 10-ciu, areszt, grzywna, nagana. Wykluczone są następujące kary: kara śmierci, więzienie ciężkie, odjęcie praw obywatelskich i nadzór policyjny;

d) kara na wolności ma być wykonaną tylko w więzieniu odosobnionèm, odosobnienie jednak trwać może nie dłużéj nad lat trzy;

e) nieletni więźniowie nie mogą schodzić się z dorosłymi;

f) nieletni skazańcy, pozostający we wspólném więzieniu, mają pozostawać pod bezustannym nadzorem urzędnika;

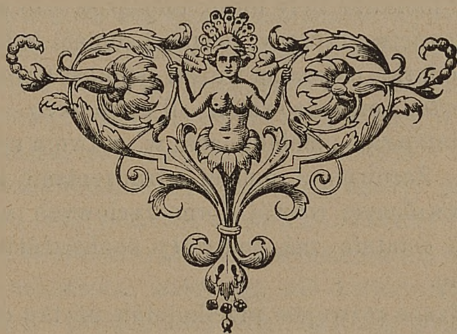
g) przy ukaraniu, które nie przechodzi dwóch lat uwięzienia, może po odbyciu połowy kary, jednak nie przed upływem trzech miesięcy, nastąpić warunkowe uwolnienie; przy karach dłużéj trwających, dopiéro po upływie jednego roku. O uwolnieniu rozstrzyga komisya, w skład któréj wchodzą: przełożony więzienia, naczelnik sądu, urzędnik prokuratoryi państwa; czas próbny trwa aż do upływu czasu kary, najmniéj jednak lat trzy. Może ono tylko wówczas być orzeczoném, gdy urząd wychowawczy postarał się o odpowiednie umieszczenie uwolnionego.

Pomijamy inne szczegóły, a natomiast podnieść nam wypada ze sprawozdania, że wnioskodawcy unikają starannie wszelkich kwestyi spornych, któreby mogły natrafić na opozycyę. Do takich należy kara chłosty, któréj powrotu domagają się pozytywiści, warunkowe uwolnienie, wyroki z nieoznaczonym czasem trwania, podwyższenie najniż-

széj granicy kary więziennéj, — słowem, kwestye, co do których i w łonie kryminologów zarysowały się poważne różnice w zapatrywaniach.

W tych ramach, w najogólniejszych zarysach naszkicowanych, ma być przeprowadzona zaprojektowana reforma. Na pierwszy plan wysunięta jest prewencya, po któréj pozytywiści spodziéwają się osiągnięcia największego sukcesu, na drugorzędne natomiast stanowisko zepchnięta została represya, przekształcona zresztą i znacznie odbiegająca od dzisiejszéj. Przyszłe prawo karne, osnute na tych zasadach i ożywione temi hasłami, pod któremi walczą dzielni pionierzy, zdoła skuteczniéj ochronić organizm społeczny od grożącego widma, jakiém jest niewątpliwie zbrodnia przez nieletniego popełniona. A już obecnie hołd oddać należy tym nowatorom, którzy przyczynili się do wykorzenienia odwiecznych przesądów i zapleśniałych tradycyi prawa karnego, rządzącego siłą brutalną.

Prof. dr. Piotr Stebelski.



Rozwój piéniężny.



Piéniądz w czasach obecnych posiada znaczenie środka organizującego siły robocze w celach wytwórczych i pośrednika w wymianie towarów. Rola ta jego jest tak ważna, że jeżeli wyobrazimy sobie kraj, w którym by nieznane były formy piéniężne,—to pomimo istnienia tam olbrzymich bogactw przyrody, licznéj i zdolnéj ludności—udziałem jego byłaby gospodarka naturalna i niski stopień kultury. Ze wszystkich znanych metod organizowania sił roboczych — piéniężna okazała się najdzielniejszą, piéniądz zaś w rozwoju społeczeństw odegrał czynną rolę. Zarówno z innemi urządzeniami ludzkiemi odbywał on pewną ewolucyę; rozwój form życiowych wywoływał zmiany w jego istocie, ostatnie zaś zmuszały społeczeństwo do dalszego przekształcania się.

Prawa, rządzące rozwojem przedmiotów użytku człowieka, posiadają wiele rysów wspólnych z istniejącemi w ewolucyi biologicznéj organizmów, opiérają się bowiem na tém samém podścielisku — zmianach, zachodzących w danych komórkach. Między rozwojem np. skorupy ślimaka lub pancerza pierwotniaka amoeby (składającego się z nalepionych na ciało drobnych ziarnek piasku) a ewolucyą, dajmy na to, odzieży — zachodzi analogia, gdyż w jednym i drugim wypadku spostrzegane różnice są jedynie wyrazem zmian w stwarzających je organizmach. Tym sposobem rozwój instytucyi ludzkich można uważać za wyraz konkretny nieuchwytnéj ewolucyi komórek mózgowych, — za dalszy ciąg rozwoju biologicznego. Wszelki rozwój odbywa się według pewnéj ogólnéj modły; zawsze można dostrzedz jakieś formy

szczątkowe, inne w pełni rozwoju, inne zaś w stanie zarodkowym, które spotężnieją dopiéro w przyszłości. Cechy jakieś drugorzędne, w danéj chwili, ledwie dostrzegalne, mogą w dalszym ciągu nabrać znaczenia pierwszorzędnego i odwrotnie; zarysowujące się zaś wyraźnie, pozwalają przypuszczać, że istniały jako drugorzędne i dawniéj, i nakazują poszukiwać ich w formach, z których się one wylęgły. Takie przyrodnicze stanowisko może nieraz być pomocném w rozpatrywaniu spraw społecznych.

Istota monety. Niegdyś Gladstone wyraził się, że nawet miłość nie zrobiła z większéj ilości ludzi głupców, niż rozmyślanie nad istotą piéniędzy. Do trudności objęcia kwestyi przyczyniają się orzeczenia ekonomistów, którzy piéniądz umieścili w szeregu towarów, przyznając mu jednak znaczenie szczególne, gdy tymczasem fakty nie zgadzają się z podobną klasyfikacyą.

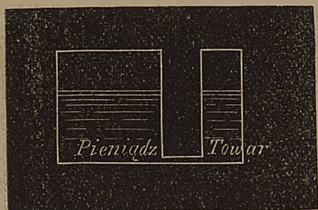
Towar przybywa na rynek po to jedynie, ażeby ostatecznie być spożytym. Istnienie jego jest krótkie; po spożyciu jednéj — musi wystąpić zaraz nowa fala towarowa, po któréj w dalszym ciągu nadejdzie inna. Wartość zamienna towaru określa się sumą wszystkich kosztów produkcyi + sumą wszystkich zysków. Wyprodukowany nie może zalegać składów, gdyż po to go stworzono, żeby sprzedać i zysk osiągnąć, rzucony zaś na rynek we względnym nadmiarze wywołuje silny spadek swojéj ceny i to nie w stosunku do tego nadmiaru, ale znacznie niżéj, sprzedający bowiem starać się będą jeden przed drugim pozbyć się towaru, zniżając cenę; następstwem tego jest zastój w produkcyi, gdyż straty w jednéj gałęzi muszą się odbić i na innych. Nieodzownym zaś warunkiem istnienia towaru, są dane jego cechy, pozwalające na zaspokojenie téj lub innéj potrzeby człowieka. Cechy te (np. skład chemiczny pszenicy, twardość stali, blask dyamentu i t. d.) same przez się mało interesują człowieka, nabiérają zaś dopiéro znaczenia odnośnie do jego organizmu. Świadomość tych cech użytecznych jest niezbędna dla istnienia towaru; dopiéro przez nią przedmioty nieożywione mogą odegrać rolę w procesach społecznych.

W przeciwstawieniu do towarów, piéniądz odznacza się trwałością istnienia. W monecie dzisiejszéj możnaby odnaléść złoto, które funkcye piéniężne spełniało nieprzerwanie od czasów Homera w ciągu tysiącoleci, zmieniając tylko swoją formę zewnętrzną. Już sama trwałość piéniędzy każe przypuszczać, że przedstawiają one raczéj jakąś instytucyę społeczną, nie zaś towar. Piéniądz nie jest obowiązany natychmiast iść na rynek i okazuje się tam dopiéro w miarę potrzeby zakupów, w braku zaś ich przebywa doskonale w kieszeni lub kasach posiadaczy, a zjawiając się we względnym nadmiarze, wywołuje rozwój,

a nie zastój w produkcyi, wartość zaś swoją obniża w daleko mniejszych rozmiarach i według odmiennych zasad. Różnica jednak najsilniéj się zarysuje, gdy sięgniemy do podstaw, na których się opiéra wartość piéniędzy.

Danéj chwili przekazaną została pewna rasa szlachetnych kruszców, wydobyta w rozmaitych czasach i miejscach kosztem przeróżnego wydatku pracy. Kruszec szlachetny zawsze występuje w dwóch postaciach: piéniężnéj (moneta) i towarowéj (wyroby i sztaby), a każda z tych części metalu ulega niezależnym zmianom wartości; wartość postaci towarowéj — zależna bywa od warunków produkcyi kruszcu, piéniężnéj zaś — od czynników obiegu. Jednak metal-towar posiada względem masy piéniężnéj znaczenie zapasowego materyału, i odwrotnie — piéniądze przedstawiają zapas dla wyrobów z kruszcu. Jeżeli więc wartość jednéj z tych części ulegnie zmianie — odbija się to również na wartości części drugiéj. Przy zwiększaniu się np. ceny towarów kruszcowych, okaże się korzystném tańsze od nich piéniądze przerabiać na rozmaite wyroby, a wzrost wartości piéniędzy wywoła przemianę części towarowéj na piéniądze, przy obniżaniu się zaś którėj z tych części — nadmiarowi materyału daje przytułek druga; tą drogą następuje ostatecznie równowaga wartości kruszcu i piéniędzy. W fakcie tym upatrują potwierdzenie teoryi towarowości piéniędzy, gdyż wartość ich przystosowywać się ma w ten sposób do warunków produkcyi metalu; właściwie jednak nie jest to potwierdzeniem jéj, ale negacyą.

Można to uplastycznić na następnym przykładzie. Wyobraźmy sobie wartość całéj masy kruszcu-towaru i wartość masy piéniężnéj, pomieszczone w postaci płynu w dwóch naczyniach odpowiedniéj wielkości, których proporcyonalne do objętości cieczy dna połączone są ze sobą tak cienką rurką, że płyn z jednego do drugiego przedostać się może dopiéro po pewnym czasie. Wysokość poziomu cieczy będzie naznaczała wartość jednostki towaru i piéniędzy. Jeżeli w jedném z naczyń poziom ten podwyższy się, —płyn zacznie przechodzić do sąsiedniego i w pierwszém obniży się, w drugiém zaś poziom wzrośnie, a tym sposobem nastąpi równowaga wartości. Otrzymany jednak nowy poziom nie będzie równy dawnemu, ale wyższy. Podobnie się stanie, gdy wartość któréjkolwiek części się obniży; poziom zrównoważony będzie niższy od poprzedniego. Skoro więc istnieje fakt samoistnego wznoszenia się i upadania wartości mo-



nety względem poziomu kruszcu-towaru—jasném się staje, że wysokość jéj w każdym czasie jest, między innemi wynikiem czynników obiegu piéniężnego, bez których byłaby inną. Przy regulowaniu się wartości zwykłych towarów nie dostrzegamy czynników podobnych i piéniądz zarysowuje się tu odrazu, jako coś odrębnego, w charakterze zaś towaru szczególnego, uprzywilejowanego, przedstawia się jedynie kruszec w postaci sztab i wyrobów, którego wartość zabezpieczona jest masą piéniężną i zależną od obowiązujących dla niéj praw.

Potęga wzajemnego oddziaływania kruszcu i piéniędzy zależna jest od ich mas. Jeżeli objętość wzmiankowanych naczyń przedstawimy sobie w postaci beczki i szklanki, a płyn w pierwszéj będzie oznaczał wartość piéniędzy, w drugiéj zaś kruszcu-towaru, zobaczymy, że każda zmiana poziomu wartości piéniężnéj wywoła taką samą różnicę wartości kruszcu, podwyższenie zaś lub obniżenie poziomu ostatniego spowoduje zaledwie jakąś nieuchwytną zmianę w pierwszéj. W wypadku takim warunki produkcyi metalu nietylko, że nie rządziłyby wartością piéniędzy, ale przeciwnie, same do niéj musiałyby się odpowiednio przystosowywać. Przy wzroście jéj np. mogą być wyzyskiwane mniéj wydajne kopalnie, gdzie wytwarzanie wymaga większéj ilości pracy i nakładu, przy spadaniu zaś—utrzymałyby się tylko bardziéj wydajne. Harmonia więc między produkcyą metalu i wartością piéniędzy nie jest wcale dowodem towarowości ich, gdyż może tu istniéć wypadek nie rządzenia wartością przez produkcyę, ale produkcyą metalów przez wartość piéniędzy. Dodać należy, iż okoliczność ta jest warunkiem niezbędnym dla bytu piéniądza. Nie znosi on nad sobą władzy materyału, ale chce sam panować nad nim, jeżeli zaś nie może utrzymać się na tém stanowisku — grozi mu upadek. Od piéniędzy wymagana jest możliwie stała wartość; ulega ona w nich tylko względnie małym wahaniom, gdy, przeciwnie, cena towaru narażona jest na znaczne zmiany. Jeżeli więc część towarowa metalu względem piéniężnéj jest dość wielka — ostatnia ulega szkodliwym dla produkcyi oscylacyom. Taki właśnie wzrost części towarowéj spowodował upadek monety platynowéj i obecne zachwianie się bytu srébrnéj. O ile więc dany piéniądz metalowy posiada pożądane cechy przybliżania stałéj wartości i nadzieję dłuższego istnienia, — cząstka jego piéniężna musi miéć przewagę nad towarową, wartość zaś regulowaną jest głównie przez czynniki specyalnie obiegowe.

Na podstawie zatém powyższego przykładu, można określić, w jakim stopniu piéniądz metalowy jest towarem. Tkwiąca w nim cząstka właściwości towarowych tak się ma do piéniężnych, jak znajdująca się na rynku masa towarów kruszcowych do ogólnéj ilości metalu w piéniądzach i towarach kruszcowych, w takim bowiem stopniu czyn-

niki towarowe mogą od działywać na wartość pieniędzy. Jeżeli więc masę towarów kruszcowych oznaczymy przez T, pieniądze zaś przez P — to otrzymamy: cząstka towarowa pieniędzy $C = \frac{T \cdot P}{P + T}$. Taką jest przekazana pieniędzom cząstka towarowa. Tąż drogą można oznaczyć siły właściwości pieniężnych towarów kruszcowych: $C_1 = \frac{P \cdot T}{P + T}$. Zatém $C = C_1$—cząstka towarowa pieniędzy równa się cząstce pieniężnéj towaru, ale względem niejednakowych mas towarów i pieniędzy te równe sobie ilości przedstawiają różną potęgę. Jeżeli więc $P > T$ — towar kruszcowy będzie bardziéj pieniądzem, niż pieniądz towarem. Stosunek $\frac{C}{P}$ wyrazi zmianę wartości pieniędzy wskutek i odnośnie do zmiany jéj w towarach (przed zrównoważeniem), zaś $\frac{C}{T}$ — różnicę wartości towarów wskutek zaszłéj w pieniądzach; $\frac{C}{P} + \frac{C}{T} = 1$, t. j. całemu przyrostowi wartości przed jéj zrównoważeniem.

Należy jednak zaznaczyć, że wzór $C = \frac{P \cdot T}{P + T}$ wyraża tylko możność oddziaływania z daną siłą w pewnych warunkach, szczególniéj dla wartości pieniędzy. Towar zaakcentuje się w nich w oznaczonym stopniu tylko wtedy, gdy rozwój produkcyi wszelkich towarów będzie powstrzymywany przez jakieś przeszkody; przy możności zaś rozrostu, będzie ona pochłaniać zwiększającą się ilość monety (na którą przerabia się towar-kruszec) i tym sposobem cząstka towarowa pieniędzy zaznaczy się słabiéj, niż w oznaczonym wzorze, albo wcale się nie zaznaczy.

Jeżeli więc zechcemy określić przyczyny istnienia obecnie téj a nie innéj wartości pieniędzy metalowych—spostrzeżemy, że rozwijała się ona historycznie, regulowana w ciągu wieków przez oddziaływanie cząstki towarowéj i pieniężnéj z przewagą ostatniéj. Poziom wartości przeszedł całą gamę podwyższeń i obniżeń, usunięcie zaś którego z nich w przeszłości sprawiłoby, że wartość obecna byłaby inną od istniejącéj. Produkcya kruszczu wywoływała chwilami różnicę wartości pieniędzy, głównie jednak sama zmuszona była przystosowywać się do niéj. Wartość zatém pieniędzy nie może być wyrazem ani pracy zużywanéj obecnie na produkcyą metalu, ani téż sumy jéj, wydanéj na wydobycie go w przeszłości. Właściwości pieniądza panują nad jego wartością i normują zużywaną na produkcyę kruszcu pracę ludzką, zależne zaś są od warunków wytwarzania wszelkich przedmiotów

użytku człowieka, w którym to procesie znaczenie ich jest pierwszorzędne.

Właściwości towarowe materyału pieniężnego, jako suma cech, objętych świadomością człowieka (twardość, plastyczność, ciężar, powinowactwo chemiczne i t. d.) przedstawiają się w postaci pojęć o cechach, istniejących faktycznie w danych przedmiotach; chociaż są one dorobkiem umysłu ludzkiego, ale określić je można rozpatrzeniem fizycznych właściwości przedmiotu. Właściwość pieniężna — to suma cech, dzięki którym pieniądz spełnia swoje specyalne zadanie. Są one już niezależne od cech materyału, z którego zrobiono pieniądze, i stanowią wyłącznie dorobek umysłu ludzkiego. Analiza np. cech fizycznych srebra wcale nie wykaże, o ile jest ono obecnie przydatne na pieniądze i jaką potęgę posiadają ostatnie, jako czynnik współczesnéj produkcyi. Rozwój warunków wytwarzania, będąc związany z rozwojem umysłowości człowieka, tylko przez nią oddziaływał na właściwości pieniędzy, i tym sposobem zjawiają się one wyłącznie jako suma pojęć, istniejących jedynie w głowach ludzkich. Dlatego też pieniądz bywa przybrany w rozmaitą szatę materyalną, która staje się dlań rzeczą podrzędną. Jest on istotą wyidealnioną i duszę swoją uniezależnił od ciała.

Pieniądz więc metalowy przedstawia się jako przedmiot szczególnego użytku człowieka, posiadający głównie właściwe sobie cechy, a cząstkę tylko cech towarowych. Ostatnie jednak przekazane są przez towar uprzywilejowany, ulegający zwykle mniejszym od innych zmianom wartości. Stanowi ona pozostałość cząstkową po towarowéj przeszłości monety i przypomina się jedynie w chwilach zmian w wartości metalu. W umyśle człowieka podupadła już do pewnego stopnia świadomość użyteczności materyału, służącego do wyrobu pieniędzy, które pożądane są przez niego nie z powodu możności przerobienia na kolczyki lub pierścionek, ale dla swoich specyalnych, użytecznych właściwości pieniężnych, jak wymienialność na wszelkie przedmioty użytku i pochodząca stąd możność czynienia pewnych opłat (podatki, kary, procenty) i organizowanie produkcyi przez najem sił roboczych ludzkich, zakup narzędzi, maszyn i t. d. W obecnéj erze ta ostatnia ich cecha jest najważniejszą. Sfera produkcyi — to właściwy żywioł pieniędzy. Tutaj on rozwija całą swoją potęgę twórczą raptownem pojawianiem się i znikaniem, odnosi iście napoleońskie zwycięstwa, lub przyczynia się do klęsk i wstrząśnień rynkowych, tu wreszcie sam ulega odpowiednim zmianom wartości. Działa on głównie przez pośrednictwo w wymianie, stosunki jednak wymienne zależne są od warunków produkcyi, nad któremi panuje potężny władca—pieniądz.

P i e n i ą d z w p r o d u k c y i. Jestto utartym poglądem w ekonomii, że dla zaspokojenia potrzeb przemysłu w danym kraju wystarczy każda, mniejsza lub większa, ilość pieniędzy. Gdy jest ich za mało w obiegu, wtedy wzrośnie wartość krążących i zwiększy się chyżość obrotów pieniężnych. Pieniądz zachowywać się tu będzie jak generał na polu bitwy, który chociaż ukazuje się w rozmaitych punktach pola bitwy, ale zawsze pozostaje jedną i tąż samą osobą. Oprócz tego, brak pieniędzy może na razie zastąpić kredyt' banki zaś wypłacając przez kompensatę, t. j. przez przenoszenie należności z jednego rachunku na drugi, usuwają potrzebę pokrywania każdego długu gotowizną i tym sposobem dają możność przy niewielkim zasobie pieniędzy robienia znacznych zakupów. Niektórzy ekonomiści, jak np. Karol Gide, sądzą, że system taki może nawet z czasem całkowicie wyrugować z obiegu pieniądze; gdyby np. jeden wielki bank ze swojemi filiami wziął na się pośrednictwo kupna i sprzedaży między wszystkimi Francuzami przez wyrównywanie rachunków — pieniądz stałby się niepotrzebnym.

Z procesem jednak wznoszenia się wartości pieniędzy, wywołanego brakiem gotówki, łączyć się może zastój w produkcyi, wobec czego zwiększanie lub uszczuplanie zasobów pieniężnych staje się sprawą wcale nie obojętną. Co się zaś tyczy chyżości obrotów pieniężnych— nie mogą one przekroczyć pewnéj granicy. Wypłaty przez kompensatę możnaby uważać za pewnego rodzaju jakby zwiększenie chyżości obrotu pieniędzy, rozszerzenie ich wpływu przy zmniejszeniu drogi. Jeżeli np. za towary Francya dłużna jest Anglii, Anglia Chinom, a Chiny Francyi — wypłata odbędzie się przez zamianę weksli bez udziału bezpośredniego pieniędzy, które zamiast wędrować naokoło świata, pozostaną we Francyi i użyte być mogą na zakup tych, sprowadzonych już z Anglii, towarów. W każdym razie przyczyną takich operacyi nie jest chęć wyrugowania pieniędzy, lecz raczéj względny ich brak, weksle bowiem wystawiają się przeważnie albo z powodu braku gotówki, albo też w wypadku, gdy dla posiadanych pieniędzy przedstawia się jakieś korzystniejsze pole. System kredytowy w rozmaitych krajach przedstawia rozmaity stopień zapanowania, zależnie od stosunków kulturalnych, zwyczajowych i t. d., nigdzie jednak nie może przekroczyć pewnéj miary, gdyż po za nią grozi bankructwo (gdy np. w szeregu wzajemnych dłużników ktoś zbankrutuje — grozi to ruiną wszystkim innym). Oprócz tego, zdolny on jest objąć tylko pewien zakres wytwórczo-wymiennych stosunków, odnoszących się do zakupów nie przez bezpośrednich spożywców i robionych przeważnie na większą skalę, których dalszą zaś konsekwencyą bywa sprzedaż

detaliczna, gdzie gotówka jest nieodzowną. Podobnież i w produkcyi piéniądz jest nieodzowny, ponieważ główna jéj podstawa, robotnik, musi być opłacany gotówką, co pewien okres czasu, zaspakajać zaś go towarami zabrania prawo, sam zaś on robi zakupy również w określonych odstępach czasu.

Dla funkcyonowania więc jakiegoś zakładu przemysłowego potrzebna jest pewna suma piéniędzy, szereg takich zakładów musi posiadać również niezbędne ich *minimum*, do tego zaś, by produkcya w danych warunkach mogła się rozszerzać — potrzebny jest dopływ nowych sum piéniężnych.

Dopływ nowéj fali pieniężnéj, bez względu na to, czy uzyskana została drogą prostego wydobycia z kopalni kruszcu i przerobienia go na monetę, czy za pomocą handlu, czy też przybyła ona wraz z posiadaczami z dalekich stron przez emigracyę, skoro tylko przejdzie przez ręce spożywców, wywołać musi rozrost przemysłu. W obecnych czasach, jeżeli kto swoje piéniądze zakopuje do ziemi lub trzyma nieprodukcyjnie u siebie—jestto objawem szczątkowym — zwykle zaś wkładane są one do rozmaitych przedsiębiorstw, wypożyczane na procent, czyli również użyte na produkcyę, albo też spożywane. Jeżeli przyjrzymy się danéj fali piéniężnéj w jéj organizacyjnym obiegu, zobaczymy, że odbywa się ona według stałego typu. Przy rozpoczęciu procesu od wznoszenia instytucyi przemysłowych, — prąd piéniężny rozdzieli się na 3 części: wypłaconą robotnikom jako ich płaca robocza *(p)*, użytą na zakup towarów *(t)*, potrzebnych przy budowie, jak materyały, maszyny i t. d. i na przeznaczoną do puszczania i utrzymywania w ruchu tych instytucyi po ich wzniesieniu. Dwie pierwsze części przepłyną tylko przez wznoszone instytucye i pójdą w świat daléj, — trzecia pozostanie w nich na stałe jako kapitał obrotowy *(o)*. Płaca robotnika użyta będzie przez robotników na zakup towarów, potrzebnych do ich utrzymania, poczém rozdzieli się na zysk przedsiębiorców tych zakupionych towarów i płacę roboczą pracujących nad ich wytwarzaniem robotników. Podobnież suma, wypłacona na materyały i maszyny, rozdzieli się również na płacę i zysk, — i w dalszym ciągu na płace robocze, przepływając przez towary, dzielić się będą ciągle w podobny sposób na płacę i zysk kapitalistów. Proces ten obiegowy możnaby przedstawić w szemacie graficznym, w którym wielkość dopływu piéniężnego oznaczałaby szerokość strumienia. Po zorganizowaniu instytucyi przemysłowych *J* i zostawieniu w nich kapitału obrotowego *O*, uszczuplony prąd dążyłby dwoma bocznemi strumieniami, przepływając ciągle przez płacę roboczą i towary, i wysyłając strugi zysków, które, łącząc się ze sobą, wytworzyłyby potężniejący coraz

bardziéj środkowy prąd zysków. Doszedłszy do pewnéj wielkości, zyski te stworzą znowu pewną ilość instytucyi przemysłowych J_1 i pozostawiwszy w nich kapitał obrotowy O_1, uszczuplone podążyłyby daléj, by znowu uledz temuż procesowi, co trwałoby dopóty, dopóki cała masa pieniężna nie osiędzie w stworzonych przez się instytucyach jako ich kapitały obrotowe. Gdy fala pieniężna użytą będzie najprzód nie na zakładanie instytucyi przemysłowych, lecz na prywatne potrzeby posiadaczy (np. pojawiająca się suma pieniężna może być najprzód wypłacona urzędnikom, którzy ją przeżyją) — obieg pieniężny odbędzie się według tegoż szematu, tylko proces jego rozpocznie się od zakupu towarów.

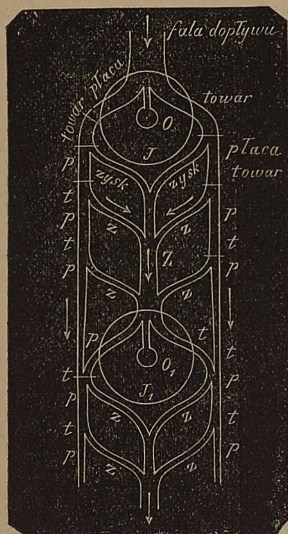


fig. *B*.

Rozrost jednak instytucyi przemysłowych nie skończy się z wyczerpaniem danéj fali dopływu pieniężnego. Stworzone przez nią fabryki i zakłady zaczną produkować i wysyłając na rynki swoje towary, wywołują nowy dopływ sum pieniężnych dla danéj miejscowości lub kraju, co znowu stanie się przyczyną dalszego rozwoju według poprzedniego wzoru. Granicą rozrostu przemysłowego na tle danéj fali pieniężnéj będą zasoby wyzyskiwanych rynków, które się wyczerpują. Ze względu zatém, że pojawiający się przyrost pieniężny osiada ostatecznie w utworzonych instytucyach jako kapitał obrotowy, — powyższy złożony proces przemysłowego rozwoju możnaby przedstawić graficznie: prąd pieniężny pozostawia na swojéj drodze kapitały obrotowe stwarzanych grup wytwórczych w postaci kół zamkniętych, uszczuplając się coraz bardziéj aż do całkowitego wyczerpania. Koła te (kapitały obrotowe), będąc w ruchu, wysyłają na rynki prąd towarowy *(pt)* i ściągają z powrotem prądy pieniężne *(pp)*, tak, jak gdyby połączone były z niemi za pomocą pasów transmisyjnych.

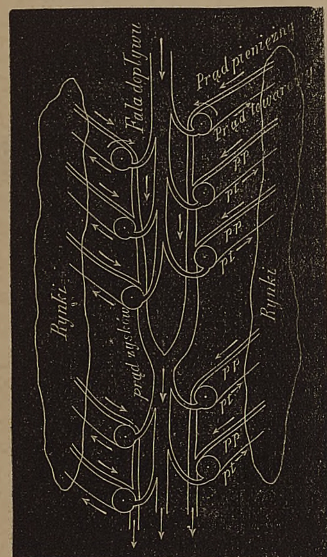


fig. *C*.

Ściągane strugi pieniężne, łącząc się, wytwarzają nowy prąd, który wywołując dalszy rozwój przemysłowy, spotęguje eksploatacyę rynków. Ściągany z nich dopływ pieniężny przedstawia zysk kapitalistów + część lub cały ich kapitał obrotowy, zależnie od tego, o ile oni potrzebne do produkcyi towary (materyały, żywność) zakupują na tych wyzyskiwanych rynkach. Dopływ ten jednak wtedy dopiéro użyty będzie na dalszy rozwój produkcyi, gdy przepłynie przez zyski innych kapitalistów. Dzieje się to w ten sposób, że przy zakupach na miejscu dla produkcyi na rynek zewnętrzny, kapitał obrotowy przedsiębiorstwa przechodzi w ręce innych miejscowych kapitalistów i zamieniany jest dopływem pieniężnym z zewnątrz. Zdobywany więc na rynkach zewnętrznych prąd pieniężny przedstawia zyski, ale nie wyłącznie danych przedsiębiorstw, lecz i wielu innych, stojących z niemi w pośrednim lub bezpośrednim związku, i wywołuje rozwój tych wszystkich gałęzi produkcyi (całego ich systemu).

Potrzeba dopływu nowych sum pieniężnych wynika już z samego systemu współczesnéj produkcyi. Przypuśćmy, że w danym kraju istnieje tylko pewne *minimum* pieniędzy, potrzebne do utrzymania w ruchu instytucyi wytwórczych. Suma jednak ta nie wystarczy do zakupienia wszystkich towarów na rynku, gdyż cena ich jest wyższą od kosztów produkcyi o sumę zysków przedsiębiorców. Kapitaliści przytém całego zysku z poprzednich obrotów nie przeżywają, ale zawsze ktokolwiek z nich gromadzi pieniądze; o ile zaś gromadzenie to odbywa się kosztem sumy nieodzownéj do zakupienia wyprodukowanych towarów, — część ich pozostanie niesprzedaną lub sprzedaną ze stratą, co pociągnie czyjąś ruinę. Jeżeli jest w kraju pewien nadmiar pieniędzy, który kapitaliści będą gromadzić, wkrótce się on wyczerpie, gdyż powstaną nowe instytucye przemysłowe (jak widać z szematu), w których pieniądze pozostaną jako niezbędne do utrzymania ich w ruchu kapitały obrotowe; nadejdzie więc chwila, gdy potrzeba dopływu nowych sum pieniężnych zaznaczy się wyraźnie.

Oprócz tego, w wielu państwach europejskich odbywa się proces przemiany gospodarki naturalnéj na swoje potrzeby (chłopi) na gospodarkę pieniężną,—w wypadku zaś tym zachodzi znowu potrzeba wzrostu masy pieniężnéj.

Ostatecznie zaś potrzebę tę potęguje jeszcze fakt, że z procesem ulepszeń w sferze produkcyi łączy się zniżanie wartości pieniędzy względem jednostki pracy ludzkiéj. W przemyśle zaznacza się dążność ku równowadze rynków odpowiednio do włożonego w przedsiębiorstwo kapitału pieniężnego. Jeżeli przy jednakowym stopniu ryzyka, dane przedsiębiorstwo daje większy procent zysków od innych, —

pieniądze skierują się ku zakładaniu tych instytucyi z ujmą dla innych i zwiększona podaż obniży wygórowane zyski. Wprowadzenie zatém nowych maszyn, pociągając za sobą większy nakład, zwiększa zarazem zysk oraz cenę całego wytworu przedsiębiorstwa. Chociaż więc człowiek w ciągu dnia wytworzy więcéj i jednostka towaru stanie się tańszą, ale wytwór pracy dziennéj człowieka (jednostki pracy) będzie droższy — czyli pieniądz względem jednostki pracy ludzkiéj stanieje. Jestto proces nieodłączny od rozwoju ulepszeń w produkcyi, a w obec tego rodzaju tanienia pieniędzy zachodzi nowa potrzeba zwiększania się ich masy.

Rozwój zatém produkcyi wymaga zwiększenia się sum pieniężnych w kraju, a odkryte źródła dopływu pieniężnego wywołują spotęgowanie się tego rozwoju. Nie wynika stąd jednak, że wzrost sum pieniężnych sprawi zawsze w określonym czasie rozwój w jednakowym stopniu, gdyż pieniądze stanowią tylko jeden z wielu czynników, rozwój zaś jest wynikową wielu działających sił. Mogą istnieć jakieś hamulce dla produkcyi, wobec których pobudzające oddziaływanie pieniędzy będzie w mniejszym lub większym stopniu zneutralizowane.

Jednym z takich właśnie hamulców rozwoju jest nieodłączna od dzisiejszych metod wytwarzania rozbieżność między wytwórczością i spożyciem. Główny zastęp spożywców stanowi ludność pracująca, któréj płaca robocza nie wzrasta jednocześnie ze wzmaganiem się wytwórczości pracy. Ulepszenia i wynalazki są dziś zjawiskiem codziennem, kiedy płaca wzrasta względnie zwolna. Statystyka rok rocznie wykazuje we wszystkich krajach kapitalistycznych zwiększanie się wytwórczości rozmaitych zakładów przemysłowych przy jednoczesném zmniejszaniu się ilości pracujących w nich robotników. Przy wyrzucaniu zaś robotników z produkcyi, zmniejsza się ilość miejscowych spożywców przy jednoczesném zwiększeniu masy wytwarzanych towarów. Przytém wyrzuceni robotnicy, szukając sobie zajęcia, obniżają współzawodnictwem płacę roboczą pracujących, co jeszcze bardziéj zwęża spożycie. Produkcya więc musiałaby się przystosować do zmniejszonych wymagań rynku i scieśnić swój zakres. Ale żeby tego dopiąć przy tych ulepszonych metodach wytwarzania, musi znowu wyrzucić na bruk pewną ilość robotników, co przyczyni się do dalszego zwężenia rynku i t. d. Ta właśnie okoliczność w połączeniu z potrzebą zyskania dopływu pieniężnego, zmusza społeczeństwa kapitalistyczne, bez względu na panujące w nich poglądy teoretyczne do szukania bliższych lub dalszych rynków dla swoich towarów, by pozbyć się względnego ich nadmiaru i zdobyć sobie potrzebny dopływ sum pieniężnych.

Rynkami zewnętrznemi dla krajów rozwiniętych przemysłowo stają się zwykle mniéj rozwinięte, z których towarami, wytworzonemi przy pomocy pierwotnych metod, łatwo jest współzawodniczyć. Kraje silniejsze starają się wyssać środki piéniężne słabszych, co się łączyć musi z procesem zastoju kraju wyzyskiwanego (na ile nie ma on sposobu zapełniania jakąbądź drogą swoich braków) i rozwojem wyzyskującego. Odkryte jednak źródło dopływu piéniężnego z biegiem czasu maleje i w końcu nastąpić musi równowaga przywozu i wywozu towarów, a więc i odpływu, oraz dopływu sum piéniężnych, co w kraju wyzyskującym może być powodem kryzysu przemysłowego. Procesy takie, zaznaczające się mocniéj lub słabiéj, można zauważyć wszędzie. Nie będziemy tu dla braku miejsca o tém się rozszerzać, tém bardziéj, że sprawę tę już przed dwoma laty poruszaliśmy.

Kula ziemska przedstawia się w postaci szeregu krajów, mieszczących w sobie ogrom niewyczerpanych jeszcze bogactw naturalnych, pokrytych lasami, obszarami nieuprawnéj, urodzajnéj ziemi. Człowiek wyzyskał na swoją korzyść zaledwie cząstkę otaczających go bogactw, gdyż nie umié on zorganizować odpowiednio swoich sił bez pewnych znaczków metalowych i papiérowych, których ilość jest ograniczoną a wyrób świętością. O te znaczki toczy się zacięta walka, a bronią walczących jest towar. Piéniądz, ściągany przez szczęśliwego zwycięzcę, wywołuje rozwój przemysłu, jednocześnie zaś potęguje się dysproporcya między wytwórczością i miejscowém spożyciem, oraz zmniejsza się zdolność nabywcza wyzyskiwanych rynków; wkrótce więc nagromadza się we względnym nadmiarze i przeléwa przez granicę kraju, pociągając za sobą wychodźtwo względnego nadmiaru ludności. Od czasu do czasu rodzą się nie związane niczém z potrzebami rozwoju nowe masy piéniędzy, potęgując w dalszym ciągu walkę towarową i wywołując rozrost produkcyi na tle zwiększenia się masy piéniężnéj. Emigrujący względny nadmiar piéniężny osiada na nowych przestrzeniach, organizuje tam przemysł i ściąga nowe fale piéniężne, które w dalszym ciągu, przeléwając się przez granicę, podążają na nowe terytorya, by powtórzyć wskazany proces. Tą drogą piéniądz zatacza po świecie coraz szersze kręgi, organizując na tle swojego rozrostu przemysł na coraz dalszych obszarach i pociągając za sobą rozwój ich kulturalny. Ale drogo wypadają ludzkości te żywiołowe zdobycze Musi ona zdobywać kosztem wydatku pracy swoje środki organizacyjne, piéniądze, podczas gdy niezbędnym wydatkiem pracy jest tylko ilość jéj, potrzebna do wytworzenia materyałów do budowy rozmaitych instytucyi wytwórczych i środków utrzymania (żywność i t. d.) dla pracujących przy ich wznoszeniu robotników. Oprócz

téj straty jest jeszcze inna, wynikająca z marnowania pojedyńczych, nie zorganizowanych sił ludzkich, które, wobec istnienia najnowszych metod wytwarzania, mogłyby produkować dziesięćkrotnie więcéj.

Taki jest ogólny obraz rozwoju produkcyi na tle wzrastania masy piéniężnéj, która w procesie tym ulega zmianom wartości. Napływając do rąk spożywców, piéniądz zwiększa zapotrzebowanie na towary, które stają się droższe, czyli piéniądze tanieją. Spotęgowane zyski kapitalistów wywołują rozrost danych gałęzi wytwórczych, a wzmożona następnie podaż obniży cenę towarów, t. j. podwyższy wartość piéniędzy. Spadek wartości będzie tém silniejszy, im większą masę przedstawia przyrost piéniężny w stosunku do istniejącéj już w produkcyi danego kraju. Zależy to również od szerszego lub mniejszego rozprzestrzenienia danego typu piéniędzy. Przyrost naprzykład kosmopolitycznéj monety złotéj rozpłynie się wkrótce po całym wszechświatowym rynku, zaznaczając działalność twórczą na szerokich przestrzeniach, kiedy piéniądz papiérowy musi pozostawać przeważnie w kraju. Możność szybszego lub wolniejszego rozwoju produkcyi, zależna od czynników geograficznych, antropologicznych i społeczno-kulturalnych stanowi także o większym lub mniejszym spadku wartości piéniędzy. wskutek pojawienia się nowéj ich masy. Podobnież wzrost wartości piéniędzy, wywołany zwiększeniem podaży, nastąpi tém szybciéj, im większą zdolność rozwojową posiada dane społeczeństwo, — odpowiednio wysoką kulturę, zapas sił roboczych i t. d., pozwalające na szybkie wzmaganie się produkcyi. Rozrost przemysłowy odbywa się na tle tanienia piéniędzy względem towarów wskutek zwiększania się ogólnéj sumy pierwszych. W miarę osiadania zdobytego przyrostu piéniężnego w postaci kapitałów obrotowych w rozmaitych instytucyach, wartość piéniędzy wzrasta (towary tanieją). Po całkowitém zaś wyczerpaniu dopływu mogłaby dojść do poprzedniego poziomu, lub nawet wyżéj; gdyby nie wytryskały nasze źródła piéniężne, pobudzające dalszy rozwój produkcyi. Urwanie się dopływu piéniężnego wywołać może zastój w przemyśle i szybki wzrost wartości piéniędzy; podczas kryzysów są one najdroższe. Dla produkcyi zatém wysoce nieobojętną jest rzeczą tanienie, drożenie, lub stała wartość piéniędzy względem towarów, gdyż łączyć się w tém może wzmaganie się, słabnięcie, lub stałe *tempo* rozwoju przemysłowego, co wszystko zależném jest od zwiększającego się, zmniejszającego, lub stałego dopływu piéniędzy. Dana zatém wartość piéniędzy jest wyrazem pewnéj chyżości rozwoju; ze zmianami ostatniéj wiążą się różnice w pierwszéj. Dla różnych epok krajów i miejscowości jest ona odmienna i wysokość jéj znajduje się zwykle w stosunku odwrotnie proporcyonalnym względem stopnia ekono-

micznego rozwoju. Tak np. ceny towarów z przed kilkuset lat są znacznie większe od istniejących przed wiekiem. Podobnież w porównaniu cen obecnych z istniejącemi przed 50 laty — łatwo dostrzedz zmniejszenie wartości pieniędzy. Dla poszczególnych krajów, stosownie do stopnia rozwoju ekonomicznego, wartość pieniędzy jest odpowiednio niska; tak np. u nas jest niższa niż w Niemczech, w tych większa niż w Anglii, zaś w Stanach Zjedn. Am. Półn., gdzie rozwój ekonomiczny postępuje względnie najszybciéj, pieniądz posiada o wiele niższą wartość, niż w Europie. Dla istnienia jednak różnéj wartości pieniędzy, nie potrzeba koniecznie, by dane miejscowości oddzielone były granicą państwową, ale wystarcza różnica rozwoju ekonomicznego. Wieś i miasto mają zwykle odmienny już poziom, ale gdy na wsi powstają fabryki — ceny wzrastają i wartość pieniędzy może być nawet niższa, niż w mieście.

Zniżenie się więc wartości pieniędzy nie jest wcale jakiémś szczególném złem, ale związane jest stale z rozwojem kapitalistycznéj produkcyi (nie wynika stąd jednak, żeby każde stanienie pieniędzy było korzystne dla produkcyi; spadek np. wartości srébra w Ameryce nie był wcale rosą ożywczą dla niéj). Ulepszenia techniczne wywołują tanienie pieniędzy względem wytworów jednostki pracy ludzkiéj, rozrost zaś produkcyi na tle zwiększenia ogólnéj sumy pieniężnéj pociąga taniość ich nawet względem jednostki towaru; z wyczerpaniem dopływu pieniężnego — następuje wzrost wartości pieniędzy. Pojedyncza więc fala dopływu wywołałaby tylko wahnięcia wartości, ale po niéj następują inne w czasie, gdy wartość pieniędzy nie powróciła jeszcze do poprzedniego poziomu i wywołuje nową obniżkę. Według Roschera, od chwili odkrycia Ameryki do obecnych czasów wartość złota i srébra obniżyła się 3—4 razy.

Pieniądz od najdawniejszych czasów, skoro tylko pojawiły się towary, oddziaływał na produkcyę, rozrostem swoim zwiększając zapotrzebowanie, a następnie i podaż, i na tém podścielisku występuje jako wszechwładny pan nietylko w produkcyi, ale wogóle w rozwoju społeczeństw ludzkich. Przypadkowe odkrycia kopalni kruszców szlachetnych, lub krajów, w których za towary łatwo jest dostać znacznéj ilości złota i srébra, stawały się potężnym bodźcem dla rozrostu wytwarzania i handlu, a te znowu przyczyniały się do nowych odkryć ulepszeń, zwiększania skali potrzeb człowieka i t. d., wogóle do postępu danego społeczeństwa. Kraje zatém, szczęśliwie położone pod względem łatwości nabycia szlachetnych kruszców, rozwijały się szybciéj od innych i brały na się przewodnictwo kulturalne, a wzrastająca produkcya, przybiérając nowe formy, domagała się zmiany ogólnych warunków

wytwarzania. Tym sposobem rozrost pieniężny, jako czynnik rozwoju produkcyi, przyczynił się również do zmian ustrojów społecznych. Odkrycie np. Ameryki z jéj zapasem złota dało Europie potężny dopływ nowych sum pieniężnych i spotęgowało rozwój jéj produkcyi, następstwem czego był upadek form feodalnych i zapanowania kapitalistycznych. Przewodnictwo kulturalne Stanów Zjednoczonych i wzmaganie się Australii stoi również w związku z tryskającemi w nich źródłami pieniężnemi w postaci kopalni kruszców.

Obecna era dziejowa zaznacza się panowaniem towaru nad swoim wytwórcą. Produkcya, pchnięta w pewnym kierunku — siłą energii postępuje daléj, aż do granic nadprodukcyi,pociągając za sobą kryzysy ekonomiczne. Nad towarami jednak stoją pieniądze, a żywiołowość w zakresie pierwszych wynika w znacznéj mierze z istnienia jéj w drugich. Pieniądz przedstawia sferę, gdzie dotychczas najmniéj dosięga świadome uregulowanie przez człowieka – ujęcie zaś go w odpowiednie karby, nawiązanie łącznika między rodzeniem się jego, a rozwojem przemysłu—poskromiłoby do pewnego stopnia i władzę towaru.

Rozrost pieniężny, jako związany z przypadkowemi odkryciami kopalni kruszcu, przebywał nasilenia i słabnięcia, wskutek których i produkcya potęgowała się lub słabła. Zwiększone wytwarzanie na tle danéj fali pieniężnéj pociągało dalszy ich dopływ z sąsiednich rynków. Moneta jednak na tyle może z nich przybywać, o ile zasila je produkcya metalu—warunkiem zaś, koniecznym dla pieniędzy, jest ograniczoność ilości przerabianego na nie kruszcu. Kopalnie więc nie mogą dostarczać bez końca metalu na monetę, a gdyby tak było — ostatnie musiałyby upaść; dostarczają go one zwykle w pewnych chwilach masowo, poczém się wyczerpują. Rynki zatém odmawiają wkrótce zasiłku pieniężnego, a urwanie się dopływu wywołuje zastój w przemyśle, walkę o pieniądz i reparowanie zagrożonych zysków kosztem ruiny pojedyńczych instytucyi wytwórczych. Pieniądze zatém metalowe, wskutek dowolności swojego pojawiania się i ograniczonéj masy stały się pętami, krępującemi rozwój produkcyi, która domaga się ciągłego ich dopływu, w następstwie czego pojawiły się nowe formy pieniężne, bardziéj elastyczne.

(D. n.). *Kazimierz Pietkiewicz.*



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Najnowsze powieści Maryana Gawalewicza.

„Od jutra" (str. 407). — „Cudak" (str. 235). — „Dusze w odlocie. Z pamiętników młodego lekarza", nowela, z ilustracyami E. Lindemana (str. 169). Wszystkie trzy wydane w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa z datą r. 1895.

Nie nowina to, że jak w życiu fizyczném, tak i w duchowém, trafiają się chwile osłabienia, w których człowiek nie może rozwinąć całego zasobu siły i uzdolnień, jakie tkwią w jego głębi. I wśród talentów pisarskich to samo zjawisko zauważyć można. Zdarza się to między innemi wówczas, gdy kierunek twórczy, do którego pewien autor już nawykł i który w mniejszym lub większym stopniu opanował, ulega jakiéjś zmianie, tkwiącéj nie tyle w saméj duszy twórcy, ile w oddziaływaniu wpływów zewnętrznych.

Najbliższe zastosowanie tego spostrzeżenia możemy miéć w powieściopisarskim talencie p. Gawalewicza. Po „Drugiém pokoleniu" i pierwszéj części „Mechesów", które uważać wypada za najwyższy punkt dotychczasowego wzniesienia się tego talentu, nastąpiły rzeczy słabsze, o których zdawałem już sprawę w „Ateneum" i jeszcze od tamtych słabsze, o których obecnie słów kilka powiedziéć zamierzam.

Poszukując przyczyny ogólniejszéj nad zwykłe zmęczenie lub pośpiech, bodaj czy nie znajdziemy jéj w tym fakcie, że w ostatnich paru latach silnie się zaznaczać zaczął świeży prąd twórczości artystycznéj, prąd, który pod względem wewnętrznym przedstawia się nam jako reakcya uczucia i fantazyi przeciwko wszechwładztwu racyonalizmu, a pod względem artystycznym jako opozycya przeciwko t. zw.

ścisłéj przedmiotowości odtwarzania postaci, scen i widoków bez umyślnego współudziału subiektywnego pierwiastka.

P. Gawalewicz nie liczył się wprawdzie do grona pozytywistów, ale, działając wśród atmosfery przenikniętéj bądź co bądź dążnościami realistycznemi, odbijał je w swoich utworach, tak że w nich ani śladu mistycyzmu nie było. Otóż gdy prąd religijno-mistyczny, lub nawet uczuciowo fantazyjny coraz żywiéj na zachodzie, a zwłaszcza we Francyi, szumieć zaczął, a i do nas częściowo się przynajmniéj przedostawał, autor ten, podobnie jak niektórzy inni, nie omieszkał skorzystać z tego nowego, a raczéj odnowionego środka działania na wrażliwość czytelników. Znaczenie wiary i modlitwy, słabość wiedzy, rozmarzenie uczuciowe, swobodna gra wyobraźni stały się i u niego rzeczami nietylko napomykanemi, ale bardzo ważnemi w rozwoju akcyi powieściowéj. Z tego prądu wynikły „Legendy o Matce Boskiéj", z tego również prądu wywinął się mętny mistycyzm, znamionujący powieść „Od jutra". Dość w téj mierze odczytać ustęp, w którym stary Słowiński wyszedłszy z kościoła i dawszy kilka trojaków dziadom, aby mówili paciérze „do przemienienia Pańskiego", zapewnia następnie żonę, że do Dziadowéj wsi, którą postradali, wrócą niebawem: „No, zobaczysz..." Ty wiész, że jak ci twój Mieczuś co powiedział, to się zawsze sprawdziło. Prędzéj czy późniéj, ale się sprawdziło. Sprawdzi się i teraz, ja mam w Bogu nadzieję. Jeszcze my do Dziadowéj wrócimy, chociażby nasze stare kości złożyć, oho!... Pan Bóg miłosierny!... On nie da, aby się Słowiński tułał po śmierci gdzieindziéj, tylko tam, gdzie mu się należy spoczywać do dnia sądu ostatecznego."

Wiara ta nie jest oparta na żadnéj wyraźnéj wskazówce, ani na usiłowaniach w celu umożliwienia dojścia do skutku tego, co obiecywała; była wynikiem téj lekkomyślnéj ufności w losy Słowińskich, która się wyrażała znaném: „jakoś to będzie". Gdyby p. Gawalewicz kreślił podobną postać w czasach panowania racyonalizmu, nie omieszkałby jéj zapewne oświetlić ironicznie i wskazać zawodność tego zaufania w dobrą gwiazdę Słowińskich bez pracy, starań i wysiłków. Ale że ją przedstawił w czasach reakcyi spirytualistycznéj, więc postaci téj, niedołężnéj życiowo, nietylko nie ośmieszał, ale pozwoliwszy jéj przy pomocy tajemniczo, a w sposób mało prawdopodobny dostarczanych zasiłków przetrwać najgorsze czasy, sprowadza urzeczywistnienie się jego wiary i czyni w końcu swego Słowińskiego wzniosłym, mistycznie nastrojonym patryarchą. Oto scena końcowa, przedstawiająca tego patryarchę pogrążonego w modlitwie: „I wszyscy, jakby pod tajemniczym wpływem czegoś nieokreślonego, co spływało na nich zgó-

ry i nastrajało na ton dziwnie uroczysty, pozostali w miejscu, ze czcią i spółczuciem spoglądając na pana Mieczysława; nie śmieli się poruszyć, ani odezwać, dopóki téj rozmowy z Bogiem nie skończy. On zaś zdawał się wznosić duchem coraz wyżéj i dźwigać coraz silniéj, krzepiony wewnątrz, jakby na swoje błagalne prośby i pytania otrzymywał odpowiedzi zgóry, bo łzy mu z oczu spadały obficiéj, głową potrząsał, ustami ruszał, a coraz więcéj pogodniało mu oblicze cichym spokojem i otuchą. Westchnął nareszcie głęboko, głowę pochylił z pokłonem, w milczeniu zrobił krzyż na piersiach i jakby ocucony z cudownego widzenia, spojrzał dokoła siebie, a po chwili, podniósłszy się z fotelu, głosem łagodnym, pełnym miłości i jakiéjś pokornéj rezygnacyi, odezwał się: — Do jutra, moje dzieci, do jutra!..."

Każdy nastrój w artyzmie ma swe uprawnienie, byleby szczerze i głęboko był odczuty i byleby oddany był silnie i znamiennie. Czy nastrój religijno-mistyczny, z któréj powstała figura Słowińskiego i duch całego utworu, jest u naszego autora szczerym, o tém oczywiście żadnego zdania wypowiedziéć nie mogę, ale że jego artystyczne oddanie albo nie robi wrażenia zgoła, albo nader słabe, to co do siebie przynajmniéj zaznaczyć winienem. Wszystkie te sceny, w których się ów nastrój uwydatnia, wydały mi się sztucznemi, naciąganemi, retorycznie tylko wysnutemi.

Ażeby się czytelnik nie pomylił co do ducha, jaki ożywia starego Słowińskiego, autor stworzył mu przeciwieństwo w osobie jego syna, chorowitego, zatopionego w książkach, który stał się ofiarą analizy rozumowéj, pesymizmu, zniechęcenia do życia, i umiéra przedwcześnie. W rysach charakteryzujących tę postać, jest dużo prawdy, chociaż wogóle należy powiedziéć, iż traktowana była ogólnikowo i pobieżnie.

Inne figury, wypełniające ramy obrazu, nie stanowią ważnego nabytku w naszém powieściopisarstwie, a nawet nie są już nowe i u p. Gawalewicza.

Co do układu, jest on staroświecki, gawędziarski; nie wolna jest powieść od powtarzań, a w motywach bardzo ważnych, bo stanowiących o rozwiązaniu węzła powieściowego, autor posługiwał się takiemi przestarzałemi środkami, jak dokumenta zamknięte w tajemniczéj skrytce, a odnalezione właśnie w chwili, gdy tego autorowi było potrzeba.

Innego rodzaju niewłaściwość roboty artystycznéj znajdujemy w powieści „Cudak". Nie wiem, czy autor opozycyą przeciwko przedmiotowości w ten sposób zrozumiał, iż wprowadzenie odezw pisarza do czytelnika za konieczne poczytał, czy też jakiemi innemi

kierował się względami, dość, że w powieści swéj wrócił do bardzo a bardzo staréj metody objaśniania czytelnikowi od siebie, tego, co na widowni powieściowéj się dzieje, usprawiedliwiania takiego lub innego postępku osób i t. p. To krygowanie się wobec czytelnika robi tak niesmaczne wrażenie, jak ukłony wyszłe z mody. Autor dobrowolnie niszczy złudzenie, jakoby to, co opowiada, odbyło się w rzeczywistości, gdyż ciągle przypomina, że to on, a nie kto inny, rządzi i kieruje stworzonemi przez siebie postaciami i sytuacyami.

Weźmy dla przykładu sam początek. Oto jak swoje jasełka prezentuje p. Gawalewicz publiczności. „Pozwolisz, czytelniku, że zanim podniosę zasłonę, ustawię wpierw dekoracye, bo jeśli życie jest komedyą, to musi mieć swoją scenę odpowiednio urządzoną, swoje tło, swoje kulisy, swoje przystawki i akcesorya i nie może się bez tego wszystkiego odbywać, jak w jakim chińskim teatrze. Mógłbym ci poprostu zaznaczyć krótko i węzłowato, jak w informacyach na początku każdéj sztuki: scena przedstawia to i to, wygląda tak i tak, a ty sobie w wyobraźni wymaluj wszystko w jakim zechcesz stylu, realistycznym, symbolicznym czy impresyonistycznym; — ale ja pragnę być sumiennym autorem, który sam swoje obowiązki wypełnia i dlatego, proszę cię, stań ze mną na tém wyniosłém wzgórzu" i t. d.

I w ten sam sposób ustawicznie, bez żadnéj potrzeby, bez żadnego upowodowania, z zachcianki jedynie, autor wyprowadza swoją osobę i narzuca się ze swemi myślami. Zdawało się już, że tego rodzaju apostrofy autorskie należą do zabytków muzealnych, kiedy u nas już Kraszewski przez 20 ostatnich lat twórczości swojéj zaniedbał ich całkowicie. Tymczasem „Cudak" p. Gawalewicza pokazuje, że u nas i takie zabytki jeszcze są podawane za objaw prądów najnowszych, a brak rzetelnego wykształcenia estetycznego wśród ogółu sprawia, że próby takie bywają przyjmowane bez krytyki, bez napiętnowania ich jako starzyzny artystycznéj. Nie sądzę, ażeby przykład p. G. stał się zaraźliwym, gdyż w życiu nic się nie powtarza w zupełnie tych samych formach; ale uważałem sobie za obowiązek położyć nacisk na to, że owe apostrofy autorskie nic a nic nie mają spólnego z wprowadzeniem żywiołu podmiotowego do powieści, t. j. z otwartém uznaniem faktu, że marzenie o bezwzględnéj przedmiotowości urzeczywistnić się nie da. Zastrzeżenie to nie jest również jednoznaczném z wykluczeniem formy opowiadania w pierwszéj osobie, jeżeli całość utworu jest w téj formie pomyślana i przeprowadzona. Tylko, jeśli dowieściopisarz zdecydował się podać swój utwór jako odtworzenie rzeczywistości niezależnéj od tego, czy w niéj autor odgrywa jaką ro-

lę czy nie, to niechże się trzyma raz obranego i nie miesza rzeczy niedających się pogodzić w sposób artystyczny.

Co do treści „Cudaka", to główną tu osobistością jest dziewczyna, która żyjąc i wychowując się wśród otoczenia bardzo powierzchownego i konwencyonalnego, wyrobiła sobie, nie wiadomo jak, pojęcie odmienne i charakter samoistny. Co prawda, nie jestto postać nowa; od lat 30 przynajmniéj usiłowano nieraz nakréślić takie charaktery kobiéce; ponieważ jednak potrzeba wyrabiania indywidualności silniejszych zawsze istnieje, więc i nowa próba w tym kierunku zasługuje na uznanie. Autor wszakże lubo dał tytuł powieści wzięty z nazwy nadawanéj bohatérce, daleko więcéj zajął się powszedniém jéj otoczeniem, niż nią samą. Jedna tylko scena — uczenia głuchoniemego — wskazuje w niéj dobre i rozumne serce, inne sceny są dosyć dziwaczne, zachowanie się w sprawie narzuconego sobie małżeństwa nie wskazuje również, żebyśmy mieli do czynienia z osobą o wyrobionych pojęciach, a łatwe znalezienie obowiązku nauczycielki w domu książęcym zbyt rychło nagradza objaw samodzielności, ażeby losy Żanci mogły na nas wywrzéć głębsze wrażenie. Pomysł był dobry, ale rozwinięcie słabe.

Stosunkowo najlepszym z trzech tu rozbiéranych utworów są „Dusze w odlocie". Forma pamiętnika nie zobowiązywała do wybitnego kréślenia postaci, dość gdy je zaznaczano; a różnorodność osób, jakie lekarz poznać może w swéj praktyce, ułatwiła kombinowanie efektów—osamotnienia, rzewności, smutku bezbrzeżnego, dobrych popędów i t. d. Lekarz ten wprawdzie jest zanadto literatem, a za mało doktorem—ale przecie i tacy się zdarzają. Sceny lubo tylko szkicowane, przemawiają do duszy, zostawiają w niéj miłe wspomnienie, choć zarysy osób łatwo w pamięci się zaciérają. Wydanie jest bardzo ładne, eleganckie, na wzór francuskiéj *Bibliothèque Guillaume."* Ryciny jeno domagałyby się tu i owdzie lepszego, staranniejszego odbicia.

Muszę w końcu powiedzieć słówko o języku. Nieraz już zwracałem uwagę p. Gawalewicza, że użycie przysłówka więcéj w wyrażeniach przeczących jest germanizmem czy galicyzmem, którego stanowczo unikać należy; nie skutkowały te moje uwagi, błąd ów powtarza się bardzo często i w utworach tu rozbiéranych. A do niego przyłączył się inny, wzięty z bruku warszawskiego, będący tłómaczoném wyrażeniem niemieckiego. Tym chwastem, który p. G. widocznie wziął za kwiatek, jest wyrażenie: „z miejsca" w znaczeniu: zaraz, odrazu. Nie pielęgnować, lecz z korzeniem wyrywać takie chwasty należy w imię czystości języka. Pozwolę téż sobie zauważyć, że forma

wołacza do takich wyrazów, jak Zosia, Rózia, nie jest bynajmniéj Zosio, Rózio, jak to czytamy w powieściach Gawalewicza, ale: Zosiu, Róziu. Niestety! zaczynamy się już mylić nawet w użyciu najprostszych form gramatycznych... *P. Chmielowski.*

Jerzy lord Byron. „Poemata", poprzedzone wstępem krytycznym przez Piotra Chmielowskiego. Warszawa, nakład i druk S. Leweutala, 1895, str. XVIII + 598.

Poeta indywidualizmu i podmiotowości, piewca „chorób wieku", — tak zwyczajnie określamy Byrona. Lecz o tych chorobach XIX-go stulecia wyobrażenia nasze są zawsze jeszcze dość mętne. Nieboszczyk Taine powiadał o tém niegdyś: Ustalona demokracya podnieciła nasze uroszczenia, którym nie można było uczynić zadość; filozofia uznana zapaliła w nas ciekawość, któréj niepodobna było zaspokoić. Stąd w duszach zamęt, stąd okrzyk bólu i rozpaczy, podziśdzień brzmiący... Z szeregu rad i lekarstw, wskazywanych na tę niemoc i przytoczonych przez Taine'a, są do podniesienia dwa główne: „Staraj się poznać samego siebie i swoje otoczenie"; zalecać to miał .za Sokratesem Goethe. „Léj z siebie potoki uczuć gwałtownych i głębokich, aż dopóki machina nie pęknie"; środka tego zażył podobno Byron. Dla reszty śmiertelników pozostały jednak przepisy mniéj ciężkie i ostre: „Pokrop się wodą święconą", „zamknij się w swoim ogródku na lato, wdziéj w zimie świński kożuszek egoizmu", etc. (*Hist. de la Lit. angl.*, t. IV, str. 421—422).

Pokolenia tegoczesne są mniéj jednorodne i proste, przeto i sposoby ratunku są dziś bardziéj złożone. Najczęściéj mieszamy stare recepty i spijamy mikstury słodko-gorzkie. Tak np. lubimy „poznawać siebie" w drugich — sami niepoznani: więc chętnie patrzymy i słuchamy tych, co z siebie „leją potoki uczuć gwałtownych i głębokich" — i pękają w końcu. Dlatego to Byron był i długo zapewne jeszcze pozostanie ulubieńcem publiczności wieku XIX...

Tłómaczy to również bardzo dobrze bogatą bibliografię polskich tłómaczeń Byrona, które dr. Piotr Chmielowski w przedmowie do świeżo wydanych „Poematów" wyliczył z właściwą sobie dokładnością. Wskazał przytém i poczet niemały naszych prac życiorysowych i krytycznych o Byronie, od najdawniejszych, jak np. „Zdanie Francuzów o lordzie Byronie", zamieszczone w „Pamiętniku warszawskim" z roku 1821, aż do najświeższych, jak odczyty Włodzimierza Spasowicza, drukowane najpierw w „Ateneum" z r. 1884, powtórzone następnie w jego „Pismach" (t. II, od str. 67), albo jak studyum Maryana Zdzie-

chowskiego z r. 1894 „Byron i jego wiek". Posiadamy obok tego poglądy celniejszych publicystów cudzoziemskich. Brandes poświęcił Byronowi sześć ostatnich rozdziałów IV-go tomu „Głównych prądów", wydanych w latach 1882 — 1883; ustęp z Taine'a „Historyi literatury angielskiéj" wyszedł w r. 1872-im oddzielnie p. t. „Lord Byron" i t. d.

Co do znaczenia i wartości zbioru „Poematów", ogłoszonych obecnie przez księgarską firmę p. S. Lewentala, a pod kierunkiem redakcyi „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj", dośćby może było nadmienić—gdyby wyłącznie chodziło o przyczynienie się do zasłużonego rozgłosu wydawnictwa — imiona takich tłómaczy, jak Mickiewicz („Giaur"), Odyniec („Korsarz" i „Narzeczona z Abydos"), Antoni Czajkowski („Beppo"), Pajgert („Wyspa"), Korsak („Lara"), F. D. Morawski („Oblężenie Koryntu", „Paryzyna", „Więzień Czyllonu", „Mazepa"). Ale nie stanowiłoby to żadnéj niespodzianki, nie byłoby „nowalią". Więc z najżywszą skwapliwością podnosimy nikomu dotąd nie znane lub bardzo niewiele komu znane przekłady „Melodyi hebrajskich" i sławnych „Wędrówek Childe-Harolda". Częściowo, urywkami, tłómaczyli przed laty „Melodye": Korsak, Odyniec, Chlibkiewicz, Rosołowski, Krauze, etc.; z kawałków tych, jak obecnie oświadcza dr. Chmielowski, możnaby było ułożyć jaką taką całość, ale w niéj znaćby było różnice w sposobie oddania oryginału; dlatego to nowego przekładu w całości podjął się obecnie Adam M-ski, który dał się już poprzednio poznać z pięknego tłómaczenia „Luzyad". Z „Child-Haroldem" inna znowu zaszła historya. Posiadamy już dwa całkowite przekłady tego arcydzieła: Michała Budzyńskiego i Fryderyka Krauzego, ale ponieważ tłómacze ci „nie zachowali formy oryginału, — trudnéj, dziewięcio-wierszowéj zwrotki Spencerowskiéj", przeto zadanie to — męczeńskie zaprawdę — powierzone zostało... — komużby, jeżeli nie Janowi Kasprowiczowi, który oddawna już złożył zaszczytne rękojmie umiejętnego „przejmowania się tonem i nastrojem poetów obcych".

Zgoda. Niepodobna było postąpić inaczéj. Tylko-że, czy nakłaniając tłómacza do przebrnięcia przez to piekło spencerowskiéj zwrotki dziewięcio-wierszowéj i do ścisłego trzymania się „tonu" — właściwie zaś rytmicznéj skorupy pierwowzoru Byrona, nie narazilişmy Jana Kasprowicza na nieuniknioną konieczność zasklepienia, zasuszenia w téj skorupie ducha utworu byronowskiego, czy dla ściśle odwierszowanéj maski nie poświęciliśmy „oblicza poezyi"?... Odpowiedzą na to znawcy. Rola sprawozdawcy nakazuje tylko wytknąć to,

na czém się najpospolitszy czytelnik poznać może bez wysilenia, a z czego złośliwość ludzka skorzystać nie omieszka z ujmą daléj, niż się godzi sięgającą. Najświeższy przekład „Childe-Harolda” nie wygląda wcale świéżo, jest ciężki, jakby archaiczny, bardziéj licujący ze stylem Szekspira np., niż Byrona. Trzeba wielkiego skupienia myśli i uwagi, aby najpierw zrozumiéć, następnie zaś odczuć wzniosłość, przepaścistość, to znów niby włoskiego orzecha pomarszczoną twardość téj zwrotki Spencerowskiéj. Zapewne, gdy się nareszcie przezwycięży tę chropawość kamienną, gdy ząb z nią się oswoi, jądro występuje przedziwnie smakowite. Trzeba jednak mieć dobre i zdrowe zęby,—przedewszystkiém zaś zawczasu poopędzać ze strofek rozmaite naleciałości, osiadłe na nich najzwykléj pod postacią nadmiernie obfitych przecinków. Z tego powodu wzrok wolałby nieraz, żeby wiersz przesypany był na szyk prozaiczny, jak np. (IV, 98): „Jednak wolności! chociaż na łachmany zdarty, twój sztandar wbrew burzom powiewa, jak błyskawica; głos twój popękany, zamierający ponad orkan śpiéwa! Opadło wszystko kwiecie z twego drzewa, korę mu topór poszarpał zawzięty, lecz sok pozostał... I duch się spodziéwa...”

Naturalnie, najpierw i najciekawiéj w nowym przekładzie szukaliśmy—i każdy niewątpliwie uczyni to samo — przecudnéj pożegnalnéj pieśni Harolda (I, 13), w celu zestawienia jéj ze słynném tłómaczeniem Mickiewicza: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!” I zniewoleni jesteśmy wyrazić p. Janowi Kasprowiczowi podziękowanie pełne czci serdecznéj, że nietylko nie usiłował stawać do porównania z blaskami i chwałą tradycyjnie już uświęconego spolszczenia, lecz poniekąd — widać to najwyraźniéj — umyślnie się w tym punkcie zaniedbał z codziennym nawet, powszednim nastrojem swéj lutni poetyckiéj:

O kraju mój, ach! żegnam cię!
Giniesz już w głębiach wód,
Wały się rwą, wiatr nocny dmie
I mew zawodzi ród.
Ostatni blask słoneczny drga
Śród fal — my śpieszym tam!
Dobranoc ci, ojczyzno ma,
O słońce, żegnaj nam!

Wraz z „Don Żuanem” w wyborném tłómaczeniem Porębowicza, które przed kilku laty ukazało się w téjże zasłużonéj „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiéj”, obecny zbiór poematów Byrona obejmuje—w zarysach grubszych—całość przyswojonéj literaturze naszéj spuścizny olbrzyma-wieszcza wieku XIX. Możemy teraz

przyjrzéć się posępnemu temu posągowi. Ale jeżeli uczynić to chcemy bez poniesienia strat dotkliwszych na potędze i głębokości wrażeń, musimy pomnik umieścić na piedestale — musimy Byrona oglądać na wyżynie naturalnego jego otoczenia, w warunkach jego burzliwéj epoki i rozszalałego życia. Przeniesiony, ot, tak doraźnie, na tegoczesne niziny, owiany powietrzem teraźniejszości naszéj, dzisiejszéj, zatroskanéj o chléb, o sól, o kawałek mięsa do jutrzejszego rosołu, wyda się on nam czémś wprost niemożliwém,—mieszaniną zagadek promiennych a wściekłych, pół-bogiem i pół-upiorem, — niekiedy zaś nawet plugawém, odrażającém bydlęciem. Był to — pomimo pogardy dla swéj ojczyzny, jeden z najdumniejszych jéj synów i przedstawicieli, pomimo modłów do wolności, jeden z najtwardszych despotów. Pan i arystokrata całą gębą od kolébki, geniusz w chwilach pełnego uświadomienia swych sił, miał duszę wspaniałomyślną i tkliwą, ale od dzieciństwa toczoną robactwem chuci i zachcianek swawolnych. Doniosłe, płomienne idee pokoleń, które brocząc same po kostki we krwi, za jego jeszcze pamięci konały na gilotynie,—chłosnęły go po oczach i piersi. Widział, jak się ziarno życia wydzierało z pod zmartwiałéj powierzchni pokładów dziejowych, ale był téż i świadkiem procesu, który całą tę roślinność nową z korzeniem zdawał się wyrywać i w niwecz obracać. Więc i wiara i niewiara, zapał i zniechęcenie, pioruny i glisty wpełzały powoli w to serce wielkie i dumne, ale nieustannie wysysane do sucha pompami rozkoszy nienasyconéj, bo wszechdostępnéj. Czy targany temi jędzami sprzeczności, twórca „Giaura" i „Child-Harolda" istotnie „wylał" z siebie — według wyrażenia Taine'a — całą powódź zwątpień i walk wewnętrznych, rozdzierających łono społeczności nowożytnéj i czy dobra tego starczy nam aż do samego wieczora 31-go grudnia 1900 roku, — o tém wolno dziś mieć zdanie odmienniejsze od przekonania ojców i dziadów naszych. Ale, jeżeli dobrze się wczytamy w niektóre zagłębienia myśli brytańskiego wieszcza, wijącéj się jak salamandra w ogniu, jeżeli przypomnimy sobie kilka jego smutniejszych przejść życiowych — a zwłaszcza ten jego zgon niezwykły kędyś na krańcach ówczesnéj cywilizacyi, niechybnie poczujemy w tętnie własnéj skroni i w rytmie własnego oddechu czerwoną krwistą kuleczkę téj saméj gorączki, która przed laty trawiła Byrona.

J. T. H.

„Kniaziowie litewsko-ruscy“, przez Józefa Wolffa. Warszawa, 1895.

W szóstym zeszycie naszego pisma (czerwiec, str. 596) zaznaczoném już zostało wyjście nowéj pod powyższym tytułem pracy znanego dostatecznie w piśmiennictwie historyograficzném z dawniejszych jego dzieł poważnych, p. J. Wolffa, z zapowiedzią obszerniejszego niebawem o niém sprawozdania. Przystąpimy tedy obecnie do wywiązania się z owéj zapowiedzi, zastrzegając się z góry, iż dokonać tego będziemy zmuszeni jedynie w rozmiarze, na jaki pismo nasze, nie specyalno-historyczne, pozwala.

Nie potrzebujemy tu zgoła rozwodzić się nad tém, że nowa ta praca autora jest równie poważną, jak wszystkie jego inne („Senatorowie i dygnitarze w. ks. litewskiego”, „Ród Gedymina” i t. d.), że z równą ścisłością, tyle w źródłowych badaniach pożądaną, wykonana. Co natomiast winniśmy z góry szczególniéj uwydatnić, że jest ona zasobem swéj treści, od poprzednich obfitszą, bogatszą, więcéj może jeszcze nowego przynoszącą. Posiada też podwójną wartość: raz —jako wyczerpująca niemal, w obecnéj dobie badań, monografia przedmiotu samego w sobie, a powtóre — jako tyle nam brakujące dotąd w odnośnym zakresie, dzieło informacyjne, niezbędny podręcznik przy specyalnych badaniach. Jako monografia kniaziów litewsko-ruskich, jest niepowszednim dla historyografii nabytkiem, ile że podaje nam dzieje szczegółowe téj grupy rodów, które — dynastyczne ze swego pochodzenia — odegrywały długo rolę pierwszorzędną wśród przewodniczącego możnowładztwa w. ks. litewskiego wogóle, następnie razem z niém, a nawet po nad niém, decydowały częstokroć o losach całéj rzpltéj. Wobec dzisiejszego zaś zwrotu ku badaniom wewnętrznego przedewszystkiém jéj życia, nad którém, razem z całém możnowładztwem, tyle — czasem wyłączniéj nawet — dynastowie litewsko-ruscy ciążyli, monografia ta nabiéra zarazem znaczenia nowego specyalnego źródła informacyjnego. Co więcéj—źródła specyalnych informacyi, niezbędnego już nawet, przy poszukiwaniu — przedewszystkiém — pewnych, mniéj rozjaśnionych dotąd, objawów i ewolucyi życia wewnętrznego w bardziéj zamkniętym obrębie w. ks. litewskiego; by w następstwie tém łatwiéj zrozumiéć istotne przyczyny znanéj potęgi wpływu przybranych litewsko-ruskich żywiołów możnowładczych w organizmie rzpltéj po unii 1569 r. „Przedewszystkiém” — powtarzamy, nie mówiąc już o tylu poważnych specyalnych kwestyach. Tak np. obecna praca p. Wolffa staje się niezbędném źródłem pomocniczém dla każdego,

ktoby chciał badać proces powstawania i utrzymywania się owych kolosalnych latyfundyi oligarchicznych, które *„perdidere Poloniam"*. Albo odkryć tajemnicę dróg, jakiemi sobie zdobyły taką potęgę na południu, skromne w swéj kolébce, rody zachodnie, że aż były w stanie oparte na niéj, miotać niejednokrotnie nawą całéj rzpléj. A nawet — ktoby potrzebował zajrzéć aż na dno przyczyn owéj fatalnéj ukraińskiéj wojny domowéj, którą zła wiara podaje a naiwna nieświadomość za walkę narodowo-religijną, a jakową tłómaczy dopiéro należyte zrozumienie wyrazów i haseł: „kniaź" a „kozak". Zbytecznie więc dodawać, jak uprzejmie powitaliśmy ten nowy zasób źródeł, jaki nam autor w należytém skupieniu podaje.

Potrzeba takiéj monografii oddawna już czuć się dawała: artykuły z tego zakresu J. Bartoszewicza w Encyklopedyi Orgelbranda nie wystarczały; zaś „Poczet rodów w w. ks. litewskiém w XV-tym i XVI-m wieku" p. A. Bonieckiego, z powodu szerszego założenia, ogarniając całą szlachtę, nie mógł miéć dosyć miejsca dla kniaziów, zresztą ograniczonym był chronologicznie. Wystąpili tedy pp. Wacław Rulikowski i Zygmunt Radzimiński z zapowiedzią specyalnego, dotyczącego kniaziów (szczególnie) dzieła; ale cóż — na téj zapowiedzi skończyli: ujrzał świat początek tylko szeroce zakréślonego wstępu, a bogaty, nagromadzony materyał spoczywa gdzieś martwo! A szkoda; niejedno tam z owego zasobu p. Wolffowi napewno wcale nieznane. Zaradził on przecie i bez tego naglącéj potrzebie, nie ociągając się dłużéj z wydaniem swéj pracy, któréj téż słusznie sprawozdanie obszerniejsze się należy. Na nieszczęście, nie posiadając żadnego nie spożytkowanego przezeń materyału rękopiśmiennego, musimy poprzestać na uwagach, jakie się nam nastręczą przy rozważaniu samego układu treści na podstawie użytych przez autora źródeł.

Otóż, wnioskując ze „spisu" tych źródeł, poprzedzającego wstęp samego dzieła, widzimy, iż przystąpił on do swej pracy uzbrojony należycie we wszystko, co tylko odnośnego gdziekolwiek już wydaném zostało lub stało mu się dostępném w zbiorach rękopiśmiennych. Trzeba zaś do tego przedewszystkiém zaliczyć kilkanaście tysięcy dokumentów, wypisanych całkowicie lub w streszczeniu, z metryki litewskiéj. Oparty na takiéj podstawie, roztoczył on przed nami treść, która ogarnia całą dziedzinę odrębnego świata społeczno-rodowego wschodniéj połaci zgasłéj rzpléj; świat kniaziowski, świat — o ile z jednéj strony zléwający się wprawdzie z zastępem jéj możnowładczo-ziemiańskim, o tyle z drugiéj — wyosobniający się z niego w długie

czasy. Zabytek to dalekiéj przeszłości zespolonych ściśléj od r. 1569 z Polską Piastowską krain litewsko ruskich, szczątki panujących tam niegdyś dynastyi różnego pochodzenia i mocy nierównéj.

Nagromadzony przez autora materyał rozpada się na dwa główne działy, tworzące dwie osobne części samego dzieła. W pierwszéj z nich, zasadniczéj, stanowiącéj właściwy zakres onego, rozgrupowane zostały rzeczywiste rody kniaziowskie litewsko-ruskie; druga zaś, dodatkowa jedynie, szczuplejsza znacznie, obejmuje: kniaziów tatarskich, kniaziów na wsiach wołoskich, nakoniec pseudo-kniaziów. W każdym z tych działów rody poszczególne podane są alfabetycznie, tak, że dzieło to całe przedstawia się jako specyalny dykcyonarz historyczny, bardzo dogodny dla oryentowania się w treści onego.

Przejdźmy też z kolei do saméj téj treści, do rozejrzenia się w jéj układzie, poczynając od zasadniczéj części dzieła, najprzód od wstępu.

Nie mamy powodu zastanawiać się nad wypowiedzianemi tam poglądami autora na stanowisko zmienne kniaziów w polityczno-społecznym organizmie w. księstwa litewskiego i t. p., o ile takowe mogłyby wywoływać za daleko idącą dyskusyę; chętniéj za to wskażemy na parę tez jego, na jakie sami się również piszemy. Tak np., że wogóle kniaziowie, jako potomkowie dynastów, stanowili stan zamknięty w sobie: kto nie był kniaziem, nie mógł nim zostać; a kontyngens kniaziostwa powiększali tylko przybysze analogicznego pochodzenia — z Moskwy, czy ze świata tatarskiego. Że twierdzenia Bartoszewicza, jakoby w świecie litewsko-ruskim kniaź niekoniecznie znaczył księcia z rodu, a do zastępu kniaziów wdziérały się rody ziemian możniejsze — w zasadzie swéj zupełnie błędne. Co zaś do onéj osławionéj rojności kniaziostwa: nie było odrębnych rodów onego tak wiele, skoro się wykryje główne konary wspólne owych licznych naprawdę rozgałęzień.

Autor przyjmuje tedy 4 grupy kniaziów. Do 1-széj zalicza kniaziów pochodzenia litewskiego, rozdzielonych: *a)* na potomków książąt litewskich, panujących do XIII-go wieku włącznie i *b)* na potomków Gedymina. Do 2-giéj—kniaziów pochodzenia ruskiego, t. zw. Rurykowiczów, rozdzielonych na potomków książąt: *a)* połocko-witebskich, *b)* czerniehowskich, *c)* smoleńskich i *d)* pińsko-turowskich. Do 3-ciéj grupy kniaziów przybyszów, rozdzielanych na: *a)* wychodźców z Moskwy i *b)*— od Tatarów i Czerkiesów. Do 4-téj nakoniec — kniaziów pochodzenia dotąd nie wykrytego, „ale niewątpliwie podpadającego pod jedną z trzech powyższych grup”.

Na ile podział ów jest w zasadzie — nie do zachwiania—rzecz inna; przemawia za nim przecie większa dogodność na razie. Prościéj bowiem i skuteczniéj naprawdę stworzyć dla jakich 30-tu nazw kniaziów nieznanego pochodzenia zupełnie osobną grupę, aniżeli męczyć się, w obecném stadyum badań napróżno, wykrywaniem ich rodowodu. Mniejsza już, iż samo brzmienie tych nazw, wśród których, obok Kroszyńskich, Lichodziejewskich, Lizinosowiczów i t. p., spotykamy — i Domontów, i—Bachtów, Kindirów, Kuraszów, Munczów, Tetów i t. d., wskazuje na tak różne etniczne ich źródła. Nie tyle jest już uzasadnioném—skupienie rodów w grupie 3-ciéj, działy, które łączy jedynie wspólny charakter wychodźtwa. Właściwie dział tu drugi (*b*) obejmujący 4 tylko rodów krwi turskiéj, a w ich liczbie kn. Hlińskich i Petyhorskich, tém się tylko różni genetycznie od kategoryi kniaziów czysto tatarskich, iż rody te przyjęły chrystyanizm, a kn. Hlińscy wcześnie weszli w szeregi najnowszéj arystokracyi w. księstwa. Składające zaś dział 1-szy téjże grupy rody—wszystkie, za wyjątkiem Chowańskich (Gedyminowiczów), jako rody czysto ruskie, mogłyby być śmiało włączone do grupy (2-giéj) Rurykowskiéj, w któréj nawet część ich tylko (z 15—9) należałoby odnieść do osobnego działu Suzdalskiego, gdy Boratyńscy, Oboleńscy, Łykowie, Razańscy, przecież to odrośle konaru czerniehowskiego, Selechowscy— smoleńskiego, a Podhorcy — nieznani na północy wcale. Więc nic dziwnego, że i p. Wolff nie jest pod tym względem stanowczym: najbliższych sobie krewniaków — kniaziów Razańskich, jakeśmy to tylko co widzieli, do grupy 3-ciéj, Prońskich zaś, równie wychodźców, do 2-iéj zalicza. Grupę (2-gą) kniaziów pochodzenia ruskiego autor słusznie oznacza mianem t. zw. (tylko) Rurykowiczów, wskazując przez to omówienie, że przyznaje heraldyczną jedynie, legendową wspólność ich źródła. Rozkłada ją na 4 wyłącznie, wyżéj podane działy, wśród których wcale już halicko-włodzimierskiego (Monomachowiczów) nie widzimy, gdyż autor wszystkie gałązki kniaziów wołyńskich do linii pińsko-turowskiéj zalicza: nietylko ród Zbarazki (Nieświcki) oczywiście, lecz Ostrogskich, a nawet „Kożanowiczów" Wielickich. Przy okoliczności tych ostatnich dodamy tu, iż p. Wolff, przyjmując legendową tylko jedność Rurykowiczów, nie uznaje przecie, z zasady jakby domieszki wśród nich krwi turskiéj: nie zatrzymuje go przypomnienie zapomnianych kniaziów Bołochowskich, ani wystąpienie późniejsze Połowców ze Skwyrą Rożynowskich, którym (nie samozwańcom), jakby jakim Kozarom i t. p., tytułu nawet kniaziowskiego odmawia. Przypływ krwi turskiéj — dopiéro w Tatarach tylko i Czerkiesach widzi; chociaż nawiasem mó-

wiąc, owym Berdibiakowiczom i Ingildejom zapoczesne dał miejsce. Wracając do grupy kniaziów pochodzenia czysto ruskiego, możemy nadto nadmienić, iż p. Wolff jeszcze bardziéj stanowczo teraz wyłącza z niéj Czartoryskich, a gniazdo pierwotne Zbaraskich i t. d. widzi podawnemu w Nieświczu wołyńskim, nie zaś lit. Nieświeżu. Rozstrzelone w wieloliczne nazwy gniazdo kniaziów Druckich sprowadził on ostatecznie do jednego, że tak powiemy, mianownika i t. d. W zakresie nakoniec grupy pierwszéj, szczero-litewskiéj, po wyjaśnieniu dawniejszém, w osobnej monografii, zawiłości stosunków genealogicznych w rodzie Gedymina, daje nam obecnie autor po raz pierwszy dokładniejsze pojęcie i o rozłamach też potomstwa „udzielnych książąt litewskich, panujących do XIII-go wieku włącznie". Teraz więc dopiéro będziemy w stanie oryentować się nieco swobodniéj śród tych klanów istnych—Gedrojckich a Swirskich i t. d. „kunigasów".

W drugiéj części swéj pracy podaje nam autor najprzód wykaz tych muzułmańskich rodów Tatarów litewskich, które tytuł kniaziów nosiły, jako pochodzące od beków, murz i wogóle starszyzny ordyńskiéj; daléj — potrąca pobieżnie znaczenie miana „kniaziów" w osadach wołoskich; zamyka zaś część tę i całe dzieło ustępem bardzo ciekawym o „pseudokniaziach".

Istotnie ustęp bardzo ciekawy! Naprawdę możnaby go pominąć w tak poważném, jak obecne, dziele, traktując puste pretensye próżności *per non sunt* milczeniem; ale cóż, straciłoby się niby okoliczność przyjrzenia się bliżéj owemu *curiosum* litewsko-ruskich stosunków szlacheckich. Boć to nie kilka lub kilkanaście, jakby się zdawało, lecz kilkadziesiąt conajmniéj domów tak litewskich jak ruskich dobija się, z całą świadomością gry naiwnéj, o cześć pochodzenia kniaziowskiego. Nie obcą jest wprawdzie owa, heraldycznie nawet zadeterminowana, *fausse pretension* stosunkom „noblessy" i gdzieindziéj; ale u nas przekracza ona już miarę wszelką, dochodzi do *absurdum!* Czepia się też absolutnie wszystkiego: podobieństwa przydomków, jednobrzmiącéj patronimicznéj nazwy, majątkowego jednostajnego miana; wreszcie, w braku tego, niczém zgoła nie dającego się upozorować, zmyślenia nawet. Tak jest; przypomnijmy sobie, z owego nieprzebranego tłumu choćby owych: Dowmontów, Gedyminów, Korybutów, Świętopołków, albo Aleksandrowiczów, Daszkiewiczów, Jurjewiczów, Matuszewiczów, Zdanowiczów; lub też Jełowickich (Bożeńców, zamiast Kropotków), Gorskich (zamiast Horskich); czy nakoniec „Światopełków"-Mirskich, podobnie jak Radziwiłowie i Sapiehowie „książąt" nie „kniaziów" (w tytule „książęcym",

przez heroldyę Cesarstwa Rosyjskiego dopiéro uznanych), chociaż i pochodzenie od w. ks. kijowskiego Świętopełka (nb. II-go) Czerwertyńskich nawet „nie jest niemożebne” tylko, zdaniem znawcy; czy takich Świdrygiełłów-Świderskich, na dowód szczytu pomysłowości! i t. d. I niech kto nie sądzi, żeby to się stało manią, modą, potrzebą karnawałową późniejszych czasów dopiéro; początek temu dali w XVI-tym wieku jeszcze prawdziwi nawet kniaziowie, potrzebujący podnieść niejako wyżéj jeszcze swą rodowość; tacy Sanguszkowie, którzy woleli uchodzić za Lubartowiczów, taki ród Zbarazki, który pragnął być przyznawanym za potomków Korybutowych, więc Gedymina nie Ruryka i t. d. Zdziwi się nadto i sam p. Wolff, gdy mu powiemy, że, mimo wszystko, nie wyczerpał jeszcze i on listy pseudo-dynastów: nie wié chyba o całéj plejadzie kniaziów perejasławskich *in partibus infidelium;* choć zna i takich na Litwie, co powstali przez zamianę litery K na P.

Po przejrzeniu, z konieczności pobieżném tylko, tak rozległéj pracy p. W., przy całém uznaniu, jakiém przejęci zostajemy dla jéj wysokiéj wartości wewnętrznéj, nie możemy nie dostrzedz i pewnych w niéj usterek. Ogarnia ona zbyt wiele szczegółów już z samego swego założenia, by się uchronić od wszelkich niedokładności, opuszczeń i t. p. Zakres naszego pisma nie dozwala nam dotykania drobiazgowego faktów, pozwolimy sobie przecie, choć dla przykładu tylko, parę z nich wskazać. Tak oto, nie wychodząc po za obręb południowych ziem ruskich, zaznaczamy: że Konstantyn Iwanowicz Wiśniowiecki został starostą żytomirskim (str. 569) nie zaraz po kn. Romanie Sanguszce; w lipcu 1572 r. sprawcą st-stwa tego był Zaborowski (Źr. dziej. t. XX, str. 33). Kn. Matys Wojnicz Woroniecki (str. 582) nabył Chodosowkę w pow. kijowskim, bliżéj rzeki Stuhny, od metropolity kijowskiego przez zamianę 1598 r. na Siwoków (Słow. geogr. I, 612). Zwiahel, zaraz po wygaśnięciu kniaziów téj nazwy, spadł był na króla (str. 620) zanim został nadanym 1499 r. kn. Konstantynowi Iwanowiczowi Ostrogskiemu, miał swych namiestników, jakimi byli: 1485 r. Okuszko-Kalenikowicz (M. L. ks. zap. IV, k. 23), w r. 1496 Jacek Mez (Anton. *Hram.* 21). I podobnych dopełnień, ze źródeł samemu p. W. znanych, a nie robiących zgoła ujmy ścisłości dzieła, można byłoby niemało zrobić.

Na co wypada téż wskazać, to na spotykaną nierzadko niedokładność nomenklatur miejscowości; co może pochodzić w części z braku ścisłości w odpisach mniéj czytelnych litewsko-ruskich hramot. Cza-

sem zdradza się też niezrozumienie pewnych terminów w źródłach. Tak np. w ustępie o kn. Hlińskich (str. 87) autor, idąc za Arch. kij. (cz. VII, t. II, str. 133 wst.) zaznacza dokonany 1498 r. dział między braćmi „z linii czerkaskiéj tego rodu, mocą którego jeden z nich (Bohdan) otrzymał z majątku ojczystego: „Sewer sulską i rzekę Sułę z góry do ujścia", drugi zaś (Hrehory) Sewer-Hlińszczyznę i w Worskle i t. d. i na rzeczce Udoj-Sewer". Które to wyrażenie tłómaczy przez: „północno"-Sulskie obszary i t. d., oraz „północną" Hlińszczyznę i t. d. i „północne" części rz. Udoju i t. d. Gdy tymczasem termin „Sewer", „Sewera", „Siwera" (skąd „Sewruk"), pokrewny pierwiastkowi turskiemu „Sawrug" (Słown. Redhouse'a), oznacza jedynie „wchód" myśliwski „w łowy", lub „łowy" poprostu; a więc w tym razie: „Sewer-Sulska"—tyle, co „wchody" na Sule, „z góry do ujścia" wyraźnie, nie zaś „północne"; „Sewer Hlińszczyzna" i t. d.—tyle, co „wchody", „łowy" w Hlińszczyźnie i t. d. Ale w tym razie nie możemy autorowi, nie obeznanemu bliżéj z warunkami bytu ukraińskiego Zadnieprza — w oddalonéj onego przeszłości, robić zarzutu wielkiego z tego, że błędnie zrozumiał zawiłe wyrażenia źródła, témbardziéj zaś, ile że i sam podający (z *Dworc. Razr.*) fakt ten w Arch. kij., nie pojął go, zdaje się, należycie.

Nie więcéj może uzasadnionemi okazałyby się i inne zarzuty, czy raczéj dezyderata, jakiebyśmy wystosować mogli pod adresem p. Wolffa. Niewątpliwie praca jego zyskałaby wiele na pełni, gdyby opatrzoną była „Skorowidzem" zaznaczanych w niéj osób i miejscowości. Co do pierwszego wszakże, — zaradza nieco potrzebie sam alfabetyczny, podług rodów, układ treści. Co do drugiego — chociaż byłoby to oczywiście nieskończenie dogodniejszém dla poszukujących informacyi w jego dziele — znaléść tam i materyał też geograficzny równie dobrze opracowanym, rozjaśnionym, a nadto i w skorowidzu odpowiednio podanym; ale cóż — przysporzyłoby to drugie tyle pracy autorowi, zmuszonemu w ten sposób wkroczyć na zupełnie obce sobie pole geografii historycznéj. Więc na teraz poprzestańmy już na tém, co nam dał, nie szczędząc ani kilkoletniego, w całém znaczeniu mozołu, ani donośnego kosztu; zastrzegając sobie atoli niepłonną otuchę, że to jeszcze nie stracone i że po paru latach, dopełniając nowemi wykryciami swą pracę obecną, wzbogacić ją też tyle pożądanym skorowidzem.

Oto i wszystko, co mogliśmy, w pobieżném przejrzeniu, powiedzieć na razie o téj ostatniéj pracy p. Wolffa. Za szczupłe mieliśmy

ramy na sprawozdanie obszerniejsze, miejsce którego zresztą w specyalném czasopiśmie historyczném. Nie wątpimy nadto, że ci, w których ręku zastrzągł odnośny materyał, martwy dotąd, zechcą przecie uchylić nieco korzec je pokrywający. Co więcéj, podnosząc rycerską rękawicę, jaką im cisnął oto, pracą swą obecną, p. Wolff, wystąpią z nim w szranki, uzbrojeni w nieznany mu rynsztunek, a który i my radzibyśmy również poznać. Czekamy tedy; boć wszelaka *nobilitas* wszędy *obligat!* *Aleksander Jabłonowski.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Bronisław Łoziński.* **Prawo zwierząt.** We Lwowie, Jakubowski i Zadurowicz, 1895, str. 83.—„Wśród téj gęstéj, a dziś już tak szybko opadającéj mgły fantastycznych hypotez o powstawaniu świata i życia, któremi materyalizm usiłował zasłonić światło prawdy objawionéj”,—od tych słów zaczyna się rozprawa o potrzebie ochronienia „starszéj braci człowieka” (termin jakiegoś religianta-darwinisty), to jest zwierząt, od znęcania się nad niemi „brata młodszego”, stworzonego, jak nas pouczają księgi Rodzaju, nieco późniéj od wołu i osła. Jednakże powołanie się autora na obrządek, do którego należy, i na doktrynę, któréj hołduje, było całkiem zbyteczne w wywodzie, opartym na erudycyi tak szerokiéj, że w dziełku więcéj naliczyćby można cytat, przychylnych dla zwierząt, z dzieł materyalistów, niźli z autorów, zaliczających się do przeciwnego obozu. Przeładowanie traktatu, w założeniach i celach nader prostego, materyałem postronno-źródłowym, w sporéj części polemicznym, zaciemnia téż znacznie wątek osobistych rozumowań d-ra Br. Łozińskiego. Rozprawa z Savigny'm, dlaczego z trzech kategoryi prawa rzymskiego — *jus civile*, *jus gentium*, *jus naturale* — usiłował uprzątnąć kategoryę trzecią, wspólną ludziom i zwierzętom, jest bezwątpienia piękną, ale zadługą, jak na treść główną zagadnienia, które, co do Rzymian, dość stanowczo, o ile się nam zdaje, rozstrzygnął Pliniusz, podając, jako fakt, że „pewien Rzymianin surowo ukarany został za zabicie wołu” (str. 10). Wieki średnie nićby również nie straciły na zwięzłości lub nawet opuszczeniu. Wygrałoby natomiast ustawodawstwo tegoczesne, w którém, co do praw zwierząt, równie, jak i w wielu innych dziedzinach, góruje i przoduje Anglia (str. 21), a wtyle za innemi podążają Austro-Węgry, gdzie

ochrona zwięrząt unormowaną została jedynie rozporządzeniem ministeryalném z d. 15 lutego 1855 r. (str. 26). Rozdział drugi o psychologii i socyologii zwierzęco-ludzkiéj rozszerzyl jeszcze bardziéj ramy rozdziału pierwszego i zagadnienie główne pogrążył w jakimś słodkim i miłym śnie, jakby o raju pierwotnym, straconym późniéj. Dopiéro w rozdziale trzecim wracamy do rzeczywistości i jesteśmy wymownymi, trzeźwymi, treściwymi jak nigdy. Złe, nieludzkie obchodzenie się ze zwierzętami należy do t. zw. przestępstw małych. Małe przestępstwa wymykają się z pod czujności i akcyi władzy prokuratorskiéj. Tym sposobem wytwarza się zatruta i trująca atmosfera społeczna, w któréj dziś schniemy i marniejemy. Oto dlaczego niezbędném byłoby zaprowadzenie innego systemu prawnego ścigania przestępstw i być może odnowienia rzymskiego *actio popularis* (str. 79). Wszystko to teraz odczytuje profan z tém większą przyjemnością, że język d-ra Łozińskiego jest jędrny, czysty, rzeźwy, bez śladu ociężałych owych germanizmów, któremi nas do niedawna Galicya zasypywała.

= **I. Koniczyny i lucerny. II. Rośliny groszkowe. III. Rośliny okopowe.** Napisał *A. Śniegocki.* — Do niedawna jeszcze silnie dawał się uczuwać brak popularnych, tanich wydawnictw ludowych, które w formie przystępnéj, łatwo zrozumiałéj, dawałyby szerokim masom ludu wiejskiego elementarne wiadomości z nauk przyrodniczych i rolnictwa, tak niezbędnych przy coraz wzrastającéj konkurencyi i doskonaleniu uprawy gleby. Téj potrzebie za inicyatywą tak zaszczytnie na tém polu znanéj redakcyi „Zorzy" zaradziło kółko ludzi dobréj woli, dając szereg broszur, z różnych gałęzi wiedzy, wydanych starannie, dobrym drukiem, z zupełnie poprawnemi ilustracyami, po cenie tak niskiéj, że najuboższy ziemianin kupić je może. Mamy więc dział książek rolniczych, do których wliczają się trzy powyższe książeczki, traktujące wyczerpująco i przystępnie, jakie rośliny uprawiać należy na paszę z największą korzyścią w drobnych gospodarstwach, daléj dział książek lekarskich, wreszcie książeczki o treści przyrodniczéj, historycznéj, oraz powiastki. Cena tych broszurek waha się od 4 do 40 kop. Wszystkie zaś zasługują na szczere pochwały i rozpowszechnianie. Mogą być najstosowniejszemi podarkami dla wiejskich czytelni, przy tak niskiéj swojéj cenie każdy niemal zamożniejszy obywatel może sobie pozwolić na zbytek rozrzucenia wśród gromady kilkunastu egzemplarzy. Nader byłoby pożądaną rzeczą, aby w rzędzie tych popularnych wydawnictw pojawiły się broszurki o drobnym przemyśle włościańskim, koszykarstwie np. i tak wielu innych działach pracy zyskownéj, a ledwo rozkwitającéj wśród ludu. W trzech wymienionych wy-

żéj broszurkach p. Śniegocki, b. nauczyciel wyższéj szkoły rolniczéj w Żabikowie, zaczynając od koniczyn, lucerny, objaśnia szczegółowo i wyczerpująco, ilustrując tekst doskonałemi rysunkami, uprawę tych roślin; poczém daje opis roślin groszkowych, nakoniec okopowych, gdzie zatrzymuje się najdłużéj nad racyonalną uprawą kartofli, radząc włościanom uprawę wybrednych stołowych odmian na zbyt do miast lub dworów. Broszurki pomienione, których skład główny ma księgarnia tanich wydawnictw M. Wizbeka, polecić możemy bez wyjątku wszystkim, życząc tak autorom jak i wydawcy powodzenia na téj drodze cichéj, a wytrwałéj i tak pożytecznéj pracy ludzi, którzy wzięli sobie za godło te słowa poety, że „jako kto może, ku dobru ogólnemu niechaj dopomoże". *K. D. S.*

= *Zygmunt ks. Czartoryski:* **O drogach żelaznych podrzędniejszych i najodpowiedniejszéj szerokości toru dróg żelaznych wązkotorowych.** Wydanie drugie. Poznań, nakładem Biblioteki kórnickiéj r. 1895, str. 99. — W książce pod powyższym tytułem mamy do czynienia z gruntownie obmyślaną i na bliższych studyach opartą pracą w sprawie, stojącéj dzisiaj niemal wszędzie na porządku dziennym i wkraczającéj w sferę zagadnień zarówno natury technicznéj jak i ekonomicznéj. Wprawdzie autor za punkt wyjścia postawił sobie przedewszystkiém kwestyę, jaki tor uznać należy za odpowiedniejszy dla kolei wązkotorowych, a w traktowaniu przedmiotu miał na uwadze głównie doniosłość kolejek dla potrzeb rolnictwa; jednak w szerokim, chwilami drobiazgowym wykładzie zdołał oświetlić sprawę wszechstronnie, roztrząsając różnorodne kwestye, wedle własnych, bardzo trafnych zapatrywań, oraz w powołaniu się na poglądy innych autorów. Rzecz rozpoczyna porównanie kolei wązkotorowych z szerokiemi podług referatu, złożonego przez dyrektora dróg żelaznych Kurth'a na walném zgromadzeniu niemieckiego Towarzystwa rolniczego w Berlinie w r. 1892. Z przytoczonych cyfr dowiadujemy się, że budowa szos w Niemczech kosztuje więcéj od budowy kolei wązkotorowéj, że koszt utrzymania kilometru szosy wynosi od 200 do 1,000 marek rocznie, że szosy są arcyniewytrzymałe wobec wymagań zwiększonego ruchu i transportu ciężarów, że w skutek tego w wielu miejscowościach, np. w Holsztynie, w okolicach cukrowni i fabryk, musiały być zastąpione przez drogi żelazne. Lecz stawianie w podobnych razach kolei o zwykłym torze 143.5 ctm. autor słusznie uważa za zbyt kosztowne i nieodpowiadające zadaniu ze względu na niepodatność toru normalnego do częstych zboczeń i nagłych zakrętów. Jako linie dojazdowe, z ruchem ograniczonym i przeważnie miejscowym, rekomendowane być

mogą jedynie kolejki wązkotorowe, do najcenniejszych zalet których autor zalicza: taniość budowy, lekkość i równoczeście trwałość konstrukcyi, łatwość odprowadzania odnóg w każdém miejscu, oraz możność robienia kolejek stałemi lub przenośnemi. Ten ostatni wzgląd zniewala autora do stanowczego odrzucenia toru metrowego, który nie nadaje się do wyrobu koléjki przenośnéj. Mając zaś na uwadze, że linie, dzisiaj mało uczęszczane, z czasem mogą pozyskać znaczną ilość ładunków i pasażerów i że każda kolejka powinna być przygotowaną do zadośćuczynienia potrzebom zwiększonego ruchu, autor oświadcza się za torem 75 centymetrowym, który, przy większéj zdatności przewozowéj w porównaniu np. z torem 60 ctm., jaknajlepiéj zastosować się daje przy budowie kolejek przenośnych. Autor zastanawia się bliżéj nad użytecznością torów ruchomych dla gospodarstwa folwarcznego i z praktyczną znajomością rzeczy wykazuje wpływ kolejek przenośnych na zmniejszenie ilości inwentarza pociągowego, na udoskonalenie uprawy buraków, nawożenie pól i inne melioracye rolne. Do budowy i eksploatacyi dróg wązkotorowych autor zachęca prywatne kapitały, będąc jednak zdania, że prywatnemu przedsiębiorcy przyjść muszą z pomocą miejscowi właściciele ziemscy, oraz władza powiatowa. Pierwsi ponoszą koszta prac przedwstępnych, oddają darmo grunta pod budowę i gwarantują przedsiębiorcy pewien dochód *brutto* pod formą deklaracyi, że corocznie pewną ilość ładunków drogą żelazną przewozić będą. Powiat zaś prowadzi układy z rządem o koncesyę, wykupuje drogą dobrowolną lub przymusową grunta włościańskie i miejsce pod koléj potrzebne i bierze na siebie uzupełnienie rękojmi dochodu *brutto*. Przedsiębiorstwo kolejek autor radzi powierzać przedewszystkiém fabrykantom toru i wagonów, ostrzegając przed spekulantami, nieposiadającymi własnych materyałów. Chcąc gwarantować przedsiębiorcy jedynie dochód *brutto*, autor przeléwa nań pewną część ryzyka. Jestto warunek niewątpliwie bardzo korzystny dla powiatu i okolicznych właścicieli, bo uwalnia je od utrudnionej kontroli nad wydatkami przedsiębiorstwa i od odpowiedzialności za nieprzewidziane zdarzenia. Być może wszakże, że w niejednym wypadku warunek taki stanie na przeszkodzie zjednaniu chętnego przedsiębiorcy; wówczas wypadnie prawdopodobnie przejść do rękojmi czystego zysku. W zasadzie jednak myśl gwarantowania dochodu *brutto* uważać należy za bardzo szczęśliwą. Daje ona również pojęcie o tym wysokim obywatelskim nastroju i poczuciu dobra ogólnego, jakim książka ks. Czartoryskiego nawskroś jest ożywiona.

S. H.

= *Albert Mockel.* **Propos de Littérature** (Paris. Libr. de l'Art Indépendant). — Książka niniejsza, dzieło krytyka i poety belgijskiego, autora *Chantefable un peu naïve* — stanowi rodzaj studyum nad dziełami dwóch poetów francuskich, Henri de Regnier i Francis Vielé-Griffina. Autor stworzył sobie pewien syntetyczny pogląd na poezyę współczesną — i, wybrawszy tych dwóch poetów, których najwyżéj w dzisiejszém pokoleniu ceni — znajduje w nich typowe cechy dążeń poetyckich naszego czasu. Regnier i Griffin są dla niego nie tyle poeci, co typy poetów—i dlatego, o ile książka traci na tém, że niezbyt wyraźnie w niéj występują fizyognomie tych głównych postaci, o tyle znów zyskuje, gdyż ogarnia niejako całość ruchu poetyckiego Francyi współczesnéj. P. Mockel postępuje w ten sposób, że najpierw oznacza pewną tezę, a późniéj do niéj stosuje utwory R. i G. Przysłużył się on zarazem obu poetom, którzy dotąd budzili zachwyt w czytelnikach, ale których nie odróżniano od siebie; zdawało się wszystkim, że obaj dają to samo. A. Mockel dopiéro niezmiernie zręcznie i przenikliwie wykazał, że ci „bracia syamscy" stanowią dwa typy wprost przeciwne i dopełniające się nawzajem. Autor dzieli swoją książkę na kilka rozdziałów, z których I-szy rozbiéra filozofię i etykę R. i G.; II-gi — metodę tworzenia; III-ci—formę ich sztuki w czasie (melodyą); w przestrzeni (plastykę); nakoniec ich osobistość. — Przez filozofię rozumié autor ten nastrój uczuciowy, zmysłowy, który stanowi główne tło twórczości poety. Pod tym względem znajduje on u Griffina — przewagę energii życiowéj, miłości, siły woli (walki), działania; u Regniera przeciwnie, przeważa idea, poczucie *fatum*, rezygnacya, kontemplacya; Griffin jest raczéj optymista, Reg.—pesymista; Griffin jest podmiotowy, Reg.—przedmiotowy. Metodą jest dla p. Mockela umiejętność używana symbolów; i Reg. i Grif. piszą symbolami, ale Griffin często wyraża się po prostu bez omówień, a czasem nawet w dydaktykę przechodzi; Regnier przeciwnie, osłabia symbol w alegoryę. — U Grif. przeważa melodya, u Reg. — plastyka. A co do melodyi — to widzimy u Grif. rytm i ruch, gdy u Reg.—jest harmonia i *timbres*; co do plastyki — Griffin lubuje się w kolorycie, gestach, ruchu; Regnier—w proporcyach świetlnych, postawach jakby posągowych, nieruchomości: jednego cechuje elegancya, drugiego — szlachetność. — Co do twórczości, znajdujemy u p. Mockela jedną myśl dość oryginalną: rozróżniając geniusz i talent, twierdzi on, że poeta powinien w równéj mierze posiadać geniusz i talent; geniusz—jestto samorzutna siła twórcza, talent — jestto artyzm, sztuka. Owóż u Gr. znajdujemy więcéj samorzutności, maluje on życie i naturę; Reg. jest bardziéj sztuce oddany, kocha się w legendzie. Grif. jest więcéj poeta, R.—bardziéj sztukmistrz; u Grif. prze-

waża instynkt, naiwność, pewna płynność, ruch, gdy u R. znajdujemy wielki zmysł równowagi, artystyczny rozmysł, nieruchomość i stałość plastyczną; R. jest nieosobisty, Grif. ma swoją manierę; Grif. posiada swój styl (*un style*), Reg. ma styl (*le style*). — Takie są przeciwieństwa tych obu poetów, a jak łatwo czytelnik zauważy, zredukować je można do przeciwieńswa podmiotowości i przedmiotowości, przeciwieństwa w widzeniu rzeczy już to bezpośredniém, już to w ich związkach i analogiach. Szematyczny nieco wykład zaciéra — jak mówiliśmy—fizyognomie własne obu poetów; uwydatnia natomiast dwie typowe fale współczesnego ruchu poetyckiego: jedna z nich płynie w kierunku Griffinowskim—instynktowéj, naiwnéj podmiotowości, druga w kierunku Regnierowskim—artystycznéj, świadoméj podmiotowości. Autor książki podaje również daty niektóre z życia obu poetów: obaj pochodzą z Bretanii, ale Griffin rodził się w Ameryce, a uczył w Niemczech; Regnier zaś urodził się w Szampanii i uczył w Paryżu. Griffin przypomina dawnego opowiadacza (*conteur*), gdy Regnier jest czystym trubadurem. Na końcu dzieła podaje autor wyczerpującą bibliografię dzieł obu poetów. Po drodze mnóstwo ciekawych uwag o współczesnych pisarzach, o kwestyach sztuki, o harmonii, malarstwie, o twórczości i t. d. Książka ze wszechmiar godna przeczytania. W każdym razie zaznaczyć należy godło, jakie autor nie bez słuszności na książce swéj położył: *non hic piscis omnium.* *A. L.*

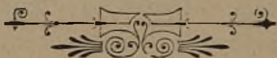
= *Charles Morice.* **Paul Verlaine** (Léo Vanier). — Autor téj rozprawy był niegdyś przeciwnikiem Verlaine'a, późniéj jednak został również gorącym jego zwolennikiem. Paweł Verlaine jedną rzecz zrobił: stworzył nowe Piękno, co E. Poe uważa za jeden z czterech warunków szczęścia. Jestto może jedyny dziś poeta, który nietylko pisze, ale i żyje; żyje—nie po mieszczańsku, lecz tak jakoś dziwnie, że jego pisanie zléwa się z jego życiem, i pod tym względem przypomina Byrona, tylko że Byron uciekał od siebie w poezyi, wpędzał tam siebie niejako, Verlaine siebie w niéj szuka. Jestto człowiek, który nie miał chwili nudy, ponieważ wiecznie cierpiał, lub—rzadziéj—radował się; nie miał on jednéj godziny bez wrażenia, jednéj godziny bez tworzenia. Żyje gorączkowo i tworzy gorączkowo. O życiu jego chodzą legendy: jego małżeństwo, przyjaźni, upadek, udział w komunie, nawrócenie, błądzenie, pijaństwo, pobyt w szpitalu, szaleństwa jego — wszystko to tworzy jakąś mityczną atmosferę około jego postaci. Jestto dusza nieśmiertelnie dziecinna, spragniona czynu, a nie mogąca znaléść właściwego ujścia: dlatego, że działać nie może (może nie umié) — pisze. Pisma jego są liczne i dziwnie rozmaite. Zaczął

Verlaine jako parnasczyk (*Poèmes Saturniens*), ale już w *La bonne chanson*, *Fêtes galantes*, *Romances sans paroles* — zaczął swoich dróg szukać. Były to rzeczy idyliczno-zmysłowe, pogańskie i serdeczne. — Po komunie autor zamilkł i dopiéro koło r. 1880 ogłosił nowy tom, *La Sagesse:* jestto zbiór najcudowniejszych hymnów do Matki Boskiéj, gdzie autor mimowiednie stanął na stanowisku pierwotnego chrześciaństwa. Był to przełom w twórczości Verlaine'a, ale wkrótce znów autor rzucił się w orgie zmysłowe — i tak kolejno dawał dzieła mistyczne i zmysłowe; w końcu, wyjaśniwszy sobie te przeskoki jako cechę swéj natury, dał tom *Paralellement*, gdzie równolegle oba tony się odzywają. Pisał téż prozą; z rzeczy tych zasługują zwłaszcza na uwagę: *Poètes maudits*, gdzie ocenia niektórych nowych pisarzy, jak Mallarmé, de l'Isle-Adam, Rambaud i Corbière (ci dwaj ostatni znikli zupełnie, ale dzieła ich mają wielką wartość); opisuje tu wreszcie siebie samego anagramem: *Pauvre Lélian*. *A. L.*

= P. *A. Czarnomski* rozpoczął wydawać w Berlinie **Przewodnik Zdrowia**, pismo poświęcone pielęgnowaniu zdrowia i sposobowi życia według praw i wskazówek przyrody; wychodzić będzie w połowie każdego miesiąca (cena u nas wraz z przesyłką wynosi 1 rubla półrocznie). W pierwszym numerze znajdują się następujące artykuły: Słowo wstępne;—Nieco o nerwowości; — Dlaczego w lecie tak wiele dziatek umiéra;—Napar z czarnych jagód; — Tajemnicze środki i ich składniki;—Rozmaitości;—Przestrogi i rady.—(Adres: A. Czarnomski, Berlin, Karlstrasse, 32).

= Tygodnik „Głos", po długiéj przerwie, zacznie wychodzić znowu od 1 października r. b. — Pismo przeszło na własność i pod redakcyę p. *Tadeusza Strzembosza*. Warunki przedpłaty pozostają dawne, t. j. rs. 2 kop. 25 kwartalnie (na prowincyi z przesyłką). Prenumeratę, listy i rękopisy wysyłać można od 20 sierpnia pod adresem: Warszawa, Żórawia, 31.

= Zarząd **Wystawy Hygienicznéj** (1896 r.) niniejszém zawiadamia, że biuro wystawy (wydział budowlany w magistracie) otwarte zostało dla interesantów. Program wystawy, regulamin i blankiety deklaracyjne można otrzymywać w biurze wystawy w godzinach 5—7 po południu, oprócz niedziel i dni świątecznych.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miasto i wieś. — Mieszkania letnie i ich potrzeby. — Zastosowanie samopomocy.— Wypoczynek niedzielny. — Towarzystwo przeciwżebracze. — Wystawa metalowa i przemysł artystyczny.

Lato, pogodne, skwarne lato, osuszające bagna ku zmartwieniu myśliwych, a pozbawiające nas wody filtrowanéj, zapanowało nad Warszawą. Nadeszła pora wakacyi, pora zbliżenia się miasta do wsi, zakosztowania tych przyjemności, które tak ponętnemi wydają się mieszkańcom miast z wiosną, w epoce, poprzedzającéj wyjazd, a które powszednieją następnie i tracą nareszcie urok po pierwszéj trzydniówce wrześniowéj.

Im bardziéj się miasto rozrasta, im mniéj drzew i krzewów widzimy na przedmieściach, im więcéj z drugiéj strony słyszymy skarg na nerwy i płuca, a czytamy rozpraw o zgubnym wpływie powietrza miejskiego, tém skorsi się stajemy do wyjazdu. Ludzi, którzy, mogąc opuścić miasto, nie czują potrzeby zmiany pobytu, na palcach policzyćby można. Czasem tylko spotkać się zdarzy zdeklarowanego mizantropa, który, przez cały rok krytykując wszystko, co się innym w Warszawie podoba, zaczyna się przekonywać w porze, w któréj świat cały jéj unika, że przy wszystkich wadach ma zalety, stawiające ją bez porównania wyżéj od miejsc kąpielowych i klimatycznych. I ten atoli krytyk niepoprawny nie dotrwa na stanowisku do końca pory letniéj; i on ulegnie prądowi ogólnemu, zastrzegając się uroczyście, iż czyni to tylko dlatego, by się raz jeszcze przekonać, że świat cały jest w błędzie i że rogatek przejeżdżać nie warto.

Dowodzić, że pobyt na wsi powraca nam siły i zdrowie, byłoby to powtarzać rzeczy zbyt znane. Któż jednak, odwiédzając znajomych, spędzających lato za miastem, nie spostrzegł zmiany w usposobieniu i wesołości. Po kilku tygodniach nabrali odrobinę tego, co nas na pierwszy rzut oka uderza w stałych mieszkańcach wsi. I dziwić się nie trzeba. Przez dni kilkadziesiąt nie potrzebowali się śpieszyć ani razu. Nie trwożyła ich nigdy myśl, że się spóźnią na tramwaj, nie zrywali się z za stołu w obawie, że już nie zdołają stawić się na oznaczonę godzinę. Nie przyśpieszali gorączkowo pracy, by nie ominąć rozrywki, i nie niecierpliwili się przed końcem zabawy przewidywaniem, że zabraknie im czasu na spoczynek. Na wsi nie braknie go nigdy tym, co tam spędzają wakacye, a więcéj od nas mają go nawet stali jéj mieszkańcy. Nie potrzebować się śpieszyć! w tych krótkich słowach mieści się jedna z najskuteczniejszych recept na nasze nerwy.

Dobrodziejstwa wsi nie kończą się atoli na tém. Słodkiém jest uczucie, że się ma czas na wszystko, słodszém, że, używając tego czasu, jak nam się podoba, nie potrzebujemy zważać na nikogo. Żeby się przekonać, jak dalece uczucie to jest złudném, trzeba spędzić tam czas nieco dłuższy. Człowiek jest stworzeniem społeczném i z więzów tych tylko na bezludnéj wyspie może się wydobyć. Wieś ma także swe pęta, które uczuwa każdy, kto tam żyć i pracować musi. Ci nawet, którzy uwolnili się od wszelkich względów życia towarzyskiego, liczą się i liczyć się muszą z otaczającym ich ludem, ze służbą i z całą tą nieuchwytną opinią parafii, która w odległym zakątku przywłaszcza sobie takie same prawa, jakiemi się pyszni opinia towarzyska w Warszawie. Nie czuje tego atoli gość, przybywający na lato. W poczuciu jakiéjś nieograniczonéj swobody zazdrości tym, którzy, według jego pojęć, używają jéj przez całe życie, a porównywając swą dolę z tém, co go czeka w zimie, znosi bez szemrania wszelkie niewygody naszych siedzib letnich.

Czyż te niewygody i braki nie dadzą się wistocie usunąć? Czyż wszystko, na co się skarżą mieszkańcy Otwocka, Mińska, Wołomina, Jabłonny, Grodziska, Brwinowa, ma pozostać bez zmiany po wieczne czasy? Widzimy wszyscy ogromną różnicę między okolicami Warszawy a otoczeniem każdego wielkiego miasta na zachodzie. Zmiana na lepsze nie odbędzie się bez przezwyciężenia wielkich trudności, ale, nie pomyślawszy o ich przezwyciężeniu, nie usuniemy ich nigdy.

Radykalne usunięcie złego wymaga przedsiębierczości i kapitałów. Brakuje nam obu tych warunków, a chcąc dopiąć celu, potrzebowalibyśmy ich w wyższym stopniu, niż ich potrzebowano za granicą. Kapitalista, który postanowił zamienić jakąś miejscowość pod Berlinem, Dreznem lub Wiedniem w schludne i wygodne uzdrowisko letnie, dające mu odpowiednią intratę, zastał na miejscu mnóstwo urządzeń, które u nas dopiéro stwarzać potrzeba. Gdzie we wsi znajduje się gospoda czysta i obszerna, rzeźnia, urządzona odpowiednio, sklep z żywnością, poczta i telegraf, gdzie mieszka ludność, utrzymująca czysto i starannie mieszkania, dbająca o porządne drogi i ścieżki, gdzie tuż obok znaléść można pomoc lekarską i aptekę, tam stworzenie czegoś nowego wymaga bez porównania mniéj trudu i kosztów. Możnaby jednak mniemać, że nie kusząc się odrazu o rzeczy wielkie, wspólne siły podołałyby na razie mniejszym. Nie wiemy, czy warszawianie, zamieszkujący którąkolwiek z miejscowości pobliskich, pomyśleli o tém, o czém pomyślanoby niezawodnie w Niemczech, nie wiemy, czy starano się kiedykolwiek o pozwolenie zawiązania stowarzyszenia, które nie mogąc przeobrazić całéj osady, starałoby się przynajmniéj uzupełnić to, co już zrobiła przyroda. Każda miejscowość niemiecka, do któréj ktoś czasem zagląda, posiada podobne stowarzyszenie. Najgorliwszymi jego członkami są goście, przybywający co roku. Rzecz oczywista, iż od instytucyi, opartéj na bezinteresowności ludzkiéj, zbyt wiele wymagać nie można. Przysłowie: według stawu grobla, powinno i tu znaléść zastosowanie. Ale bo téż niejedno da się zrobić bez nadzwyczajnego wysiłku. Każdy ślad ręki ludzkiéj, kierowanéj rozumną myślą i poczuciem estetyczném, nadaje okolicy piętno odmienne i przykuwa do niéj oko, a każdy ślad pracy własnéj przywiązuje do miejsca i zachęca do powrotu. Rzucenie kładki przez strumyk, ustawienie ławki w miejscu, przed którém roztacza się szerszy widok, przeprowadzenie ścieżki, którą obejść można trzęsawisko, zbudowanie altanki, służącéj za schronisko, nie są to zaiste dzieła, o którychby marzyć nie można, a jednak od takich mostków i ścieżek zaczynano w wielu miejscowościach, które dziś posiadają eleganckie parki, kursale i teatry.

Gdy nikt inny zrobić czegoś za nas nie chce, trzeba się uciekać do samopomocy, zwłaszcza, jeżeli idzie o nasze własne dobro.

Upiększenie okolic Warszawy byłoby piękną pamiątką po tylu tysiącach rodzin, które czerpiąc w tych wioskach zdrowie, zaciągają wobec nich dług wdzięczności. Czy atoli pobyt tylu osób z inteligencyi warszawskiéj pozostawia ślad jakiś w umysłach tych

ludzi, z którymi przez całe lato się stykają? Godziłoby się przypuszczać, że intelektualny poziom osady takiéj, podnosić się musi w sposób widoczny. Dziać się to może bez uciążliwéj pracy, wskutek łatwego a naturalnego zetknięcia, o którém obszerniéj mówi w zeszycie niniejszym p. Hodi. Nie chcemy wpadać w optymizm, lecz trudno nam uwierzyć, iżby przedział między ludnością wiejską, a jéj gośćmi miejskimi stał temu na przeszkodzie.

Warszawa wydaje się pustą, a jednak drobna tylko stosunkowo część jéj mieszkańców oddycha powietrzem wiejskiém. Mówimy, że wyjechali wszyscy, a naprawdę wyjechała tylko warstwa, pracująca umysłowo, lub nie pracująca wcale. Krocie tysięcy tych, którzy w pocie czoła pracą fizyczną zarabiają na chléb, pozostały w mieście. Niektóre zaledwie z tych rodzin znalazły dzięki koloniom letnim możność wysłania swéj dziatwy. Ilość dzieci, wyjeżdżających co roku dla nabrania sił i rumieńców, zwiększa się stale. Ci, którzy czas i pracę poświęcają koloniom, widzą ze słuszném uczuciem dumy, że ludność Warszawy umié oceniać wyświadczone jéj dobrodziejstwo. Równocześnie musi ich jednak smutkiem napełniać widok tych matek, które napróżno proszą o przyjęcie dziecka. Miejsc jest zawsze za mało. Dobroczynność publiczna znajdzie tu zawsze pole obszerne i wdzięczne, a oddanie stosownego budynku na wsi na pomieszczenie kolonii staje się prawdziwą zasługą obywatelską.

Inną sprawę, która zagranicą stanowiła przedmiot długich narad parlamentarnych, a ostatecznie załatwioną została w drodze prawodawczéj, postanowiło społeczeństwo warszawskie załatwić przez dobrowolną umowę ogółu.

Mówimy tu o przywróceniu zwyczaju świętowania w niedzielę.

Jeżeli są jeszcze u nas ludzie, którym reforma, tak pożądana, wydaje się niebezpieczną innowacyą, to może uspokoi ich nieco przypomnienie faktu, że wypoczynek niedzielny, zastosowany nawet w bardzo obszerném znaczeniu nie będzie zupełną nowością. Tym zaś, których zaniepokoić może rzucone tu i owdzie porównanie z miastami angielskiemi, słynącemi z ogólnéj martwoty, panującéj tam w dzień niedzielny, przypomniéć-by można, że nie idzie tu o naśladowanie tego, co jest wyłączną właściwością Anglików, o powstrzymywanie się od zabaw i uciech, lecz o zaprowadzenie zmiany, którą bez szkody dla ogólnego ruchu miejskiego zaprowadziły u siebie kraje sąsiednie. Na zapytanie, jak Warszawa będzie wyglądała, gdy handel w niedzielę ustanie, jest odpowiedź łatwa i pro-

sta. Będzie wyglądała tak, jak wyglądają dziś Kraków i Wiedeń, Wrocław, Poznań i Berlin. Żadne z tych miast nie przypłaciło téj reformy bankructwem, żadne nie skarży się na zmniejszenie liczby przyjezdnych, żadne nie żałuje, że subjekci i panny sklepowe przez dzień cały nie stoją za ladą. Skądże więc naraz biorą się u nas przestrogi i obawy, które znalazły już odgłos w prasie, a które w dalszym ciągu rzecz całą zwichnąć mogą.

To, co dotychczas zdziałano w tym kierunku, kosztowało niemało pracy i zabiegów. Myśl, ażeby dokonać tego dzieła przez odezwanie się do dobrych chęci kupców, powstała przed kilku laty w Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych miasta Warszawy. Cztery lata mijają od chwili, w któréj zarząd towarzystwa rozesłał odezwę do właścicieli firm, przedstawiając im dobroczynne skutki wypoczynku niedzielnego. Nie wiele znalazło się sklepów, które odtąd skróciły godziny handlu niedzielnego, odezwa nie pozostała jednak bez skutku. Po czterech latach można się nareszcie zdobyć na nowy krok w obranym kierunku. Gdyby nawet prawdą było, że zwyczaj taki da się zakorzenić tylko stopniowo i powoli, to i w takim razie okres czteroletni jest już dosyć długą epoką przejściową.

W chwili obecnéj ożywił się znowu ruch, któremu Towarzystwo pracowników handlowych dało początek. Nowy ten impuls jest zasługą p. Polacka, który postanowił nakłonić właścicieli sklepów korzennych do zobowiązania się, iż w niedzielę zakłady ich będą zamknięte od godziny 11-éj przed południem. Śmiałe przedsięwzięcie jednostki uwieńczył tym razem skutek pomyślny. Dowiadujemy się z pism codziennych, że na spisie firm, które na to wezwanie odpowiedziały przychylnie, przybywają codzień nowe nazwiska. Pokazuje się znowu, że szczere oddanie się dobréj sprawie, gdy idzie w parze z wiarą w powodzenie i niezrażaniem się przeciwnościami, musi dobre wydać owoce.

Jesteśmy gorącymi zwolennikami wypoczynku niedzielnego. Utwierdziły nas w tém i rozprawy, jakie toczyły w krajach ościennych przed wskrzeszeniem tego odwiecznego zwyczaju i doświadczenia, jakie tam poczyniono po dokonaniu reformy. Z prawdziwą zatém radością czytamy o rozszerzaniu się koła zwolenników wypoczynku niedzielnego, o krzewieniu się myśli zbawiennéj.

Świętowanie w jednym z siedmiu dni tygodnia łączy się z mnóstwem szczegółów domowego i społecznego życia. Chcielibyśmy zwrócić na tém miejscu uwagę na doniosłość, jaką ma pod względem hygienicznym i moralnym.

Wiemy wszyscy, że społeczeństwo nasze nie należy do tych, które pochlubić się mogą wielkim zasobem zdrowia fizycznego. Świadczą o tém głosy lekarzy, zwracające od czasu do czasu uwagę na groźne widmo zwyrodnienia, świadczą o tém rezultaty poborów wojskowych, świadczy o tém wygląd publiczności, snującéj się po ulicach i ogrodach Warszawy. Społeczeństwo wié, co mu zagraża i z chwalebną gorliwością toczy walkę z niebezpieczeństwem. Każde ulepszenie hygieniczne, każde nowe stowarzyszenie sportowe, każdy kurs gimnastyki jest wielką wygraną na tém polu. Usuwając złe jedną ręką, nie należy tamować postępu drugą. Niejednemu Warszawianinowi, przechodzącemu koło sklepu, którego drzwi nie zamykają się przez cały tydzień, nie przyjdzie namyśl, że płuca istot, kręcących się za ladą sklepową, nie oddychają niekiedy przez całe miesiące świeżém powietrzem, że wzrok ich odwykł już zupełnie od światła słonecznego, że młody organizm nie porusza się nigdy swobodnie i śmiało. Niemal to samo powiedziećby można o tych sklepach, które po krótkiéj przerwie w czasie nabożeństwa, otwiérają swe podwoje w południe. A pamiętajmy, że w wielu gałęziach handlu pracuje nietylko młodzież męska. Walcząc o wypoczynek niedzielny, walczymy o zdrowie tych, które mają być matkami przyszłego pokolenia.

Niedziela wolna od pracy, to dla wielu rodzin jedyny dzień w tygodniu, który poświęcić mogą życiu rodzinnemu, jedyny dzień, który dziecko spędzić może z rodzicami, jedyny dzień, w którym myśl może się skupić i zwrócić ku przyszłości. W imię etyki, w imię ogniska rodzinnego dobijano się przez długi czas o wypoczynek niedzielny tam, gdzie zaprowadzeniu go sprzeciwiał się egoizm przedsiębierców.

Nie bez zdziwienia zdarzyło nam się ostatniemi czasy czytywać uwagi nad ujemnemi stronami téj reformy. Wiemy dobrze, iż każda ważniejsza zmiana w stosunkach społecznych wywołuje narzekania pokątne, szkodzi interesom téj lub owéj jednostki, a tych, dla których najrozumniejszém jest zawsze to, co istnieje, zniewala do wygłaszania złowrogich przepowiedni. Budowa kolei żelaznych naraziła na straty właścicieli furmanek i zajazdów przydrożnych, rozpowszechnienie nafty było straszném dla kupców, sprzedających oliwę, oświetlenie elektryczne przeraża akcyonaryuszów fabryk gazowych. Bez wywołania pewnych niedogodności nie dokonano żadnéj reformy. Pamiętajmy atoli, że podkréślając zbyt skrupulatnie każdą przewidywaną trudność i trwożąc się na myśl o każdéj możebnéj przeszkodzie, odstraszyć możemy tych, którzy chcieli już

przyłożyć ręki do dobrego dzieła. W Austryi i Niemczech nie brakło zaciętych przeciwników świętowania. Wielkie i wpływowe dzienniki otworzyły im swe szpalty. Żadne z tych pism nie dowodziło, że subjektów należy zatrzymywać przy pracy przez siedm dni w tygodniu. Poprzestały one na ostrzeganiu czytelników przed niewygodami, jakie ich czekają. Na szczęście cały ten prąd przeciwny zdołał jedynie opóźnić ostateczne załatwienie sprawy. Świętowanie w niedzielę to jedna z tych ogólno-ludzkich kwestyi, o których każda redakcya mogłaby pod koniec wieku XIX-go mieć już nareszcie wyrobione zdanie. Kwestyi takich prasa nasza nie porusza zbyt wiele. Gdy sama konieczność zniewala ją niejako do zabrania głosu, czytelnik i prenumerator mają prawo wymagać, by im powiedziano, czy rzecz, o któréj słyszą, jest dobrą, czy złą.

Stanowczo zaś zaprotestować musimy przeciw nieuzasadnionemu, a szerzącemu się mniemaniu, że zasadę wypoczynku niedzielnego wprowadzać można tylko powoli i stopniowo, tudzież, że reformy takiéj nie wykonano nigdzie odrazu. Jak błędném jest to twierdzenie, przekonać się może każdy z naszych czytelników, przejechawszy przez granicę. Tam, gdzie na mocy ustawy ożyła dawna tradycya kupiecka, stało się to w całym kraju w tę samą niedzielę, w dniu, w którym ustawa obowiązywać zaczęła. I przeciwnicy i zwolennicy tego aktu prawodawczego zgadzali się na to, że, ze względu na konkurencyę między kupcami, przymus świętowania musi być wszystkim narzucony równocześnie.

Co do nas, sądzimy, że chwalebne przedsięwzięcie jednostek uda się niezawodnie, jeżeli opinia publiczna gorąco je poprze. Poparcia tego potrzebuje ono tém bardziéj, iż zamykanie sklepów w niedzielę nie jest całkowitém rozwiązaniem kwestyi. Pozostanie do spełnienia trudniejsza część zadania, a mianowicie usunięcie pracy niedzielnéj stamtąd, gdzie jéj nie widzi oko przechodnia, usunięcie jéj z kantorów wielkich przedsiębiorstw. Każdy mieszkaniec Warszawy potrafi wymienić przynajmniéj jedną instytucyę, w któréj w niedzielę do godziny trzeciéj można zastać wszystkich pracowników przy robocie; w dzień świąteczny, w dzień wypoczynku, opuszczają porą zimową biuro, gdy słońce zniża się ku zachodowi. Tu będzie można liczyć na zwycięstwo dopiéro wówczas, gdy świętowanie w niedzielę stanie się regułą powszechną, a praca w ten dzień anachronizmem.

Innego rodzaju anachronizmem było żebractwo na ulicach Warszawy. Walkę z nim rozpoczęło zawiązane niedawno z inicyatywy gen. Kleigelsa Towarzystwo przeciwżebracze. Środki, jakie

mu dano w rękę w chwili zawiązania, stawiają je od razu w rzędzie instytucyi zasobnych i silnych. Pod zarząd Towarzystwa oddano trzy przytułki noclegowe, dziewięć garkuchni i dwa domy zarobkowe. Czém są dla ludności ubogiéj te zakłady, wskazuje odezwa komitetu Towarzystwa, pomieszczona w zeszycie czerwcowym „Ateneum" (str. 601). W garkuchniach wydano w roku zeszłym trzy miliony porcyi ciepłéj strawy, a około 800,000 porcyi kawy i herbaty; w domach zarobkowych pracowało w ciągu roku 10 tysięcy osób. Inwentarz, jaki Towarzystwo objęło w posiadanie, oceniono na 70 tysięcy rubli.

Dla obserwatora, przypatrującego się naszemu społeczeństwu z zajęciem, a znającego słabe jego strony, nasuwała się kwestya, czy zrozumié ono doniosłość wezwania, z jakiém się do niego zwrócono, i czy odpowié na nie tak, jak odpowiedziéć należy. Przez chwilę mogła w umyśle pesymisty panować obawa, iż zamiłowanie w słodkiéj bezczynności weźmie górę nad poczuciem obowiązku i zdrowym instynktem społecznym.

Bolesném byłoby rozczarowanie, gdyby się ta obawa była spełniła. Usuwanie się od udziału w pracy dla dobra publicznego, uchylanie się od kontroli, jaką nam nad sprawami publicznemi powierzają, jest jedną z najstraszniejszych chorób, jakim podlegają społeczeństwa przeżyte i zniedołężniałe. Pozór do zamaskowania takiego niedołęstwa znajdzie się zawsze. Pierwszym i najważniejszym może objawem zdrowia jest ochocze rwanie się do roboty, skoro się nadarza sposobność, jest szybkie zapełnianie każdéj otwiérającéj się luki, przyjmowanie na siebie coraz nowych zadań i nie trwożenie się tém, iż ciężar w pierwszéj chwili wydaje się za ciężkim.

Obawa była nieuzasadnioną. Znalazło się grono pracowników, wiedzących, że podejmują się trudu, za który niejednokrotnie znajdą nagrodę we własném tylko sumieniu.

Cyrk przy ulicy Ordynackiéj i przyległy ogród instytutu muzycznego, malowniczo zniżający się ku Wiśle, były areną wystawy metalowéj, która przez parę miesięcy stanowiła silny magnes dla mieszkańców miasta i przejeżdżających przez Warszawę o téj porze podróżnych.

Przemysł metalowy zajmuje w Królestwie Polskiém tak wybitne stanowisko, a w okresie ostatnim rozrósł się i zmężniał tak potężnie, iż wystawa, gromadząca jego płody, musiała wyglądać okazale, jeżeli nie miała być przedsięwzięciem nieudaném. Jeżeli wyjście z tego dylematu było trudném, to przyznać trzeba, że komitet

wystawy pod dzielném przewodnictwem p. Wrotnowskiego przezwyciężył trudności powodzeniem, a wystawa udała się świetnie i podobała powszechnie.

Ileż to razy rozprawiano nad kwestyą, dlaczego producenci garną się do sal wystawowych mimo nieuniknionych kosztów. Wyliczanie korzyści, jakie ich tam czekają, powtarza się zawsze, gdy przed nową jakąś wystawą wypada ich namawiać do wzięcia w niéj udziału. Pobudki, jakie nimi kierują, są tak rozmaite, jak rozmaitém jest ich położenie, jak rozmaitemi są gałęzie przemysłu i drogi zbytu.

Zaledwie część wystawców czyni to rzeczywiście w chęci współzawodniczenia z innymi i pokonania współzawodników. Tym zależy w istocie na otrzymaniu nagród, na odniesieniu palmy pierwszeństwa. Są to zazwyczaj przedstawiciele nowych rodzajów wytwórczości, są to ludzie, którym zależy na tém, by się świat o nich dowiedział, dla których powodzenie na wystawie może rozstrzygać o powodzeniu w życiu.

Inni, znani światu i mający klientelę zapewnioną, wysyłają tam swe wyroby bez gorączkowego wysiłku, bez żarliwości, która cechuje tamtych, bez nadziei i obawy. Nie usuwają się zaś od udziału bądź dla honoru firmy, któréj nie wypada nie być tam, gdzie będą wszyscy, bądź przez poczucie obowiązku obywatelskiego, który nakazuje przedstawić przemysł krajowy w całości, bądź przez wrodzoną przemysłowcowi zasadę, iż nie należy pogardzać żadnym środkiem przypominania o sobie.

Na wystawie, o któréj mowa, łatwo było można odróżnić obie wymienione powyżéj grupy.

Przemysł wielki wystąpił tak, jak występują ci, którzy nie chcą narażać się na zbyt wielkie koszta, ani téż nie marzą o olśnieniu widzów. Publiczność nabrała wyobrażenia o tém, co Królestwo w tym dziale wyrabia, ale żaden zakład nie otworzył przed nią swego wnętrza tak, jak to czynią wielkie zakłady zagraniczne na wystawach tamtejszych. Pamiętać téż trzeba, że znaczna część tych właśnie producentów, pracujących przeważnie dla gubernii Cesarstwa, nie liczyła wcale na jakieś materyalne zyski, zajmując miejsce w cyrku na Ordynackiém.

Inny widok przedstawiały wyroby przemysłu rzemieślniczego, przedewszystkiém zaś ozdobne okucia, wyrabiane w warsztatach warszawskich. Tu mamy przed sobą ludzi, dla których wysłanie wyrobów na wystawę było czémś więcéj, niż zastosowaniem się do ogólnego zwyczaju, lub spełnieniem aktu grzeczności i przyzwoito-

ści. Dla tego działu wystawa stanowić może rzeczywiście epokę. Warszawa dowiedziała się nareszcie, jakich rzemieślników mieści w swych murach i w jakie przedmioty zaopatrywać się może u siebie.

Tłum, przesuwający się przez środek cyrku, gdzie właśnie rozłożyli się ci wystawcy, zobaczył, jeżeli patrzéć umiał, że wielki powiew artystyczny, który za dni naszych odświéżył produkcyę rzemieślniczą na zachodzie, dotarł ostatecznie i do nas. Powinniśmy go powitać serdecznie, jako czynnik ożywczy, uszlachetniający produkcyę ręczną i zapewniający jéj prawo bytu obok produkcyi fabrycznéj.

Czy te piękne początki przemysłu artystycznego rozwiną się na naszéj niwie? Jak zawsze tak i w tym razie rozwój przemysłu zależéć będzie od popytu. Nie dosyć jest podziwiać wyroby artystyczne na wystawie; trzeba uczuć potrzebę zdobienia niemi domu i mieszkania. Dopiéro wówczas przykład, dany przez parę jednostek, znajdzie w świecie rzemieślniczym liczniejszych naśladowców. Gdy zwiększy się pokup, a w miarę tego rozwinie się produkcya, wymagania publiczności i ceny wyrobów będą mogły ułożyć się do jednego poziomu. Wówczas dopiéro nadejdzie pora, w któréj to, co jest dzisiaj w zawiązku, będzie mogło wznieść się znowu o jeden szczebel wyżéj, a przemysł artystyczny, będący dziś odblaskiem wzorów zagranicznych, zacznie żyć życiem samodzielném i na swojskiéj glebie świéżą wypuści latorośl.

Tadeusz Smarzewski.

= **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém** podaje do wiadomości pp. artystów rzeźbiarzy, iż stosownie do regulaminu corocznéj Wystawy Konkursowéj Towarzystwa, odbędzie się w styczniu 1896 r. **konkurs rzeźbiarski**.—Do przyjęcia na konkurs kwalifikują się wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonywane w ciągu lat trzech ostatnich. — Nie kwalifikują się na konkurs wszelkie kopie, tudzież dzieła artystów, zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowéj.—Deklaracyę w formie listu przesyłać należy pod adresem Komitetu Towarzystwa, najpóźniéj 31 grudnia do godz. 6 wieczorem. — Koszt transportu z zagranicy, *par petite vitesse*, rzeźb konkursowych, o ile przyjęte będą przez cenzurę rządową i Towarzystwo, nie przenoszących wagi 10 pudów *brutto*, i opłatę cła ponosi Towarzystwo za wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.—Nagrody konkursowe wynoszą: pierwsza rs. 600, druga rs. 300 i trzecia rs. 200, płatne w biletach bankowych. Oprócz nagród piéniężnych przyznawane będą listy pochwalne, czyli odznaczenia w porządku kolejnym.—Regulamin szczegółowy wystawy konkursowéj na żądanie wydaje na miejscu i przesyła pocztą Kancelarya Towarzystwa.

NEKROLOGIA.

---

† Ś. p. **Władysław Matlakowski**, urodzony 19 listopada 1851 r. w Warce nad Pilicą, nauki gimnazyalne i uniwersyteckie odbył w Warszawie. Poświęciwszy się chirurgii, 1876 r. został ordynatorem przy klinice chirurgicznéj uniwersytetu warszawskiego, a w r. 1882-im na mocy konkursu był mianowany lekarzem w oddziale chirurgicznym szpitala Dzieciątka Jezus. Studya jego fachowe drukowane naprzód w „Medycynie", a potém w „Gazecie Lekarskiéj", któréj był jednym z założycieli, zjednały mu głośne imię. Ważniejsze z nich są: „Wycięcie krtani, dotkniętéj rakowcem", 1876; „Wypiłowanie żeber przy ropniach pozażebrowych", 1878; „O zatruciu kwasem karbolowym", 1880; „Obecne stanowisko metody Listerowskiéj z uwzględnieniem głównie zarzutów przeciw niéj wymierzonych", 1881; „Naftalina jako środek opatrunkowy". Króciutki rys literatury lekarskiéj w ostatnich latach, zawarty w „Zarysie literatury polskiéj" Piotra Chmielowskiego jest także pióra ś. p. Matlakowskiego. Zagrożony chorobą piersiową, musiał przerwać swe prace zawodowe i wyjechać do Zakopanego. Wówczas zajął się kwestyami estetycznemi, które go zawsze ku sobie pociągały. Wówczas to ogłosił: „Budownictwo ludowe na Podhalu z 23 tablicami litograficznemi i 25 rysunkami w tekście" (Kraków, nakład Akademii Umiejętności, 1892). Wydrukował też przekład dosłowny „Hamleta" z tekstem oryginalnym obok, ale go nie rychło puścił w świat, gdyż chciał go przedmową poprzedzić. Pisanie i druk téj przedmowy zajmowały go jeszcze w ostatnich miesiącach życia; miał tę pociechę, że egzemplarz wydrukowany widział przed zgonem. Zmarł w Zbijewie w pobliżu stacyi Ostrowy kolei warsz.-wiedeńskiéj 25 czerwca r. b.

† Ś. p. **Zdzisław Hordyński**, literat, urodził się we Lwowie roku 1856, gdzie skończył gimnazyum, szkołę politechniczną, a następnie studya uniwersyteckie na wydziale filozoficznym w r. 1882, w 3 lata zaś późniéj otrzymał w uniwersytecie lwowskim stopień doktora filo zofii. Od grudnia 1880 do marca 1882 r. pracował jako wolontaryusz przy bibliotece Ossolińskich we Lwowie, a potém przy bibliotece uniwersyteckiéj, w r. 1888 wybrany został członkiem komisyi historycznéj w Akademii Umiejętności w Krakowie, a nadto był członkiem komitetów redakcyjnych kilku zbiorowych wydawnictw literackich i historycznych. Nadzwyczaj czynnie zajmował się w Towarzystwie imienia Mickiewicza i w „Rocznikach" tego towarzystwa zamieścił bardzo wiele treściwych, gruntownych i pięknie pisanych ocen. Osobno jako odbitki wyszły dwie obszerniejsze jego prace: „Towarzystwo Szubrawców", 1883 i „Lata szkolne Brodzińskiego", 1887; w obu zużytkowane zostały odszukane przez samego autora rękopiśmienne materyały. Zmarł w Brzuchowicach pode Lwowem 26 czerwca r. b.

† Ś. p. **Hilary Jaworowski** bardzo czynny dziennikarz lwowski, zmarł w Dolinie, gdzie był dyrektorem powiatowéj kasy oszczędności.

† Ś. p. **Józef Stummer**, znany ze swéj działalności lekarskiéj i filantropii w Warszawie i Szczawnicy, zaznaczył też życie swoje pracami specyalnemi w piśmiennictwie, jako to: „O kretynizmie", „O chorobach mózgowych", „O raku", „Apteczka wiejska" i wielu innemi. Przez czas znaczny był opiekunem „Instytutu poprawy moralnie zaniedbanych dzieci" w Mokotowie. Zmarł w Warszawie 8 lipca r. b. w 63 roku życia.

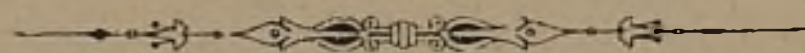
† Ś. p. **Władysław Jażdżewski**, urodzony 29 sierpnia 1835 roku w Poznaniu, kształcił się tamże w gimnazyum ś. Maryi Magdaleny, a następnie w uniwersytecie berlińskim i wrocławskim, gdzie poświęcił się nauce prawa a w r. 1862 patent asesorski uzyskał. Po dziesięcioletniéj praktyce w miasteczkach niemieckich Bleichrode i Nordhausen, gdzie jako adwokat i notaryusz na chléb zarabiał, oraz po odbyciu dwóch kampanii r. 1866 i 1870/71 uzyskał translokacyą do Poznania i wkrótce rozwinął tu energiczną działalność. Za młodu już zajmował się gorliwie archeologią, gromadząc obfite zbiory numizmatyczne. Za jego inicyatywą zawiązała się w r. 1885 sekcya archeologiczna w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, a wybrana w tym celu komisya rozpoczęła niebawem wydawnictwo „Zapisków archeologicznych", zostające pod redakcyą ś. p. Jażdżewskiego, radcy d-ra Koehlera, d-ra B. Erzepkiego i d-ra Karola Szulca. Wyszło 5 zeszytów, w których ś. p. Jażdżewski pomieścił następne prace: w zeszycie 1-ym: „Kluczewo powiat szamotulski", „Szeląg pod Poznaniem"; w zesz. 2-im: „Bytko-

wo, powiat poznański", „Sulmierzyce, powiat odolanowski", „Gród w Trzeku, powiat średzki", „Wykopaliska monet średniowiecznych z pod Szeląga pod Poznaniem"; w zesz. 3-im: „Wyspa na Lednicy, pow. gnieźnieński", „Zapinki z dwoma i trzema wałkami z pod Kalisza", „Szczątki fibul italskich, znalezionych w Gorszewicach, w pow. szamotulskim", „Siekierka żelazna z Biezdrowa, pow. szamotulski"; w zesz. 5-ym: „Wykopaliska denarów z wieku X — XI w Poznańskiém". „Zapiski" ukazały się także po niemiecku w tłómaczeniu i nakładem ś. p. Jażdżewskiego. Prócz tego, ogłosił osobno w Poznaniu r. 1879 po polsku i po niemiecku „Wykopaliska jarocińskie, a mianowicie monety Bolesławów czeskich", a na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk odczytał następne rozprawy: „O paleniu ciał umarłych u Słowian północnych i zachodnich w wieku VI po Ch. i następnych aż do zaprowadzenia chrześciaństwa", „Opis złotych przedmiotów z czasów przedhistorycznych", „O autentyczności wykopalisk mnikowskich", „O charakterze wykopalisk po prawym brzegu Wisły", „O monetach Bezbraima, także Ottonem zwanego, syna Bolesława Chrobrego". Pisywał téż artykuły do „Wiadomości archeologicznych" wydawanych w Krakowie przez T. Ziemięckiego i do kilku czasopism niemieckich. Ostatnie lat kilka ciężką złożony chorobą, zaprzestać musiał wszelkiéj działalności. Zmarł w Poznaniu w początkach lipca r. b.

† Ś. p. **Władysław Motty**, krytyk artystyczny i felietonista utalentowany, rodem z W. Ks. Poznańskiego, zmarł tamże w końcu czerwca r. b. Praca dziennikarska pochłonęła go całkowicie, a przygnębiająca atmosfera otoczenia zniechęcała do prac na szerszą skalę.

† Ś. p. **Emanuel książę Światopełk-Czetwertyński** umarł 2 lipca r. b. w Drążgowie (gub. Siedleckiéj) w wielu lat 45, literat, autor dramatów „Patkul" i „Maja", kilkoletni współpracownik „Wieku".

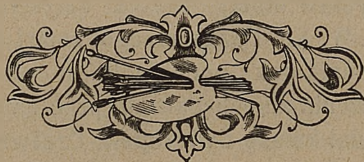
† Ś. p. **Konrad Kuczyński**, b. sędzia trybunału, a późniéj pisarz wydziału hypotecznego w Warszawie, zakończył życie 3 lipca r. b. w Zaliwiu (gub. Siedleckiéj) w wieku lat 64. Między rokiem 1869 a 1880 umieszczał cały szereg prac z dziedziny nauk społecznych i prawnych, przeważnie w „Gazecie Warszawskiéj".



SPROSTOWANIE.

W marcowym zeszycie „Ateneum" r. b., pisząc recenzyę o „Historyi filozofii" prof. Straszewskiego, mimowoli popełniłem błąd, który należy spostować. Przytaczając piękne tłómaczenie prof. Straszewskiego hymnu z „Rig-Vedy", mylnie podałem je za tłómaczenie d-ra Hanusza. Nieporozumienie to wynikło z fałszywéj interpretacyi przypisku prof. Straszewskiego, umieszczonego na str. 119-éj jego dzieła. W przypisku tym autor przytacza przekład d-ra Hanusza, drukowany w „Bibliotece Warszawskiéj", nie zaznaczając wyraźnie, że podany w tekście „Historyi filozofii" przekład jest jego własnym i różni się od przekładu d-ra Hanusza.

W. Lutosławski.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Іюля, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Warsz., 1895, wielkie 8-vo, zesz. XLV, XLVI i XLVII, str. 161 — 384 („Klimat"—„Koń").
2. **Towaroznawstwo.** Podręcznik dla kupców, przemysłowców i szkół handlowych ułożył *Karol Jacobson*. Warsz., skład gł. u Gebethuera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 190 + II + IX z tabl. rysunków.
3. *Fryderyk Queyrat.* **Wyobraźnia u dzieci** i jéj odmiany. Studyum psychologiczno-pedagogiczne. Przełożyła *Eugienja Piltz*. Warsz., nakł. księg. Wendego i S-ki, 1895, 8-vo, str. VIII + 148 + IV.
4. *Alojzy Winiarz.* **O zwodzie zwyczajów prawnych** Mazowieckich układu Wawrzyńca z Prażmowa. Krak., nakł. Akademii umiej., 1895, 8-vo. str. 30.
5. **O drogach żelaznych** podrzędniejszych i najodpowiedniejszéj szerokości toru dróg żelaznych wązkotorowych. Skreślił *Zygmunt ks. Czartoryski*. Wyd. drugie. Poznań, nakł. Biblioteki Kórnickiéj, 1895, 8 vo, str. 99.
6. *Jan Bloch.* **Bank włościański** a parcelacya (Odbitka z „Gazety rolniczéj". Warsz., 1895, 4-to, str. 20.
7. **Das liebreiche Religionsgespräch** zu Thorn 1645. Von *Franz Jacobi*. Gotha, Fried. Andr. Perthes, 1895. 8-vo, str. VI i 99.
8. *K. Fedorowicz.* **Czterdzieści dni** na morzu. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz 1895, 8-vo, str. 159.
9. *Marya br. Hagenowa* (Alces). **Szalone serca.** Powieść współczesna. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 419.
10. *Teodor Tomasz Jeż.* **Żusia.** Powieść współczesna w trzech częściach. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 585.
11. **Walka o tron krakowski** w roku 1228. Napisał dr. *Kazimierz Krotoski*. Podgórze-Kraków, skład głów., w księg. Poturalskiego, 1895, 8-vo, str. 77.
12. *Sylweryusz Kondratowicz.* **Bez woli** Powieść. Warsz., nakł. S. Lewentala (1895). 8-vo, str. 312.
13. **Poezye** *Władysława Stankiewicza*. Warsz., 1895, 8-vo, tom I, str. 238; tom II str. 183.
14. **Sprawozdanie trzynaste** z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowém im. d-ra med. Józefa Mianowskiego za rok 1894, Warsz., 1895, str. 102.
15. **Dzieła dramatyczne** *Williama Shakespeare* (*Szekspira*) w dwunastu tomach. Przekład *L. Ulricha* z objaśnieniami *J. I. Kraszewskiego*. Tom XI. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, str. 351.
16. **O winie** i o przemyśle winnym w Warszawie ze stanowiska sanitarnego napisał *J. Polak*. Warsz., 1895, 8-vo, str. 23.
17. *Plato v. Reussnera.* Najlepsza metoda czyli **Samouczek** polsko-francuski. Zeszyty XIX—XXII. Warsz., 1895, 8-vo, str. 297—360 (cena zesz. kop. 15).
18. *Publiusza Korneliusza Tacyta* **Żywot Juliusza Agrykoli** i **Roczniki** tłómaczył *Władysław Okęcki* dr. O. P. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1895, 8-vo, str. 459.
19. *Konstanty Wojciechowski.* **Młodość Stanisława Konarskiego** (1700 — 1725). Lwów, nakł. „Czasopisma Akademickiego", 1895, 8-vo, str. 28.
20. **W drodze do prawdy.** Studyum nad wpływem woli skreślił *Juljusz Święcianowski*. Warsz., nakł. Noskowskiego, skład głów. w księg. Paprockiego, 1895, 8-vo, str. 41.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich kraj ach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

